

Zioto-Puzuk:
Ewaluacja zgodnie z planem

Bujnicki, Kuźnicki:
Rewolucja w recenzjach

Nowak:
Nauka i biznes (w Davos)

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 2/2025

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



Uspółcześniona nauka

Lewicka i in.:
Miasto w centrum uwagi

Pukocz:
Innowacje i klasyka

Kędziora:
Ambient jako doświadczenie



Fot. P. Skraba



Fot. P. Skraba



Fot. Michał Szyplński



Fot. P. Skraba



Fot. P. Skraba



Fot. P. Skraba



Fot. P. Skraba



Akademicki
Związek
Sportowy

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Czy Narodowe Centrum Nauki i sztuczna inteligencja są na siebie gotowe? – Janusz M. Bujnicki, Jacek Kuźnicki	6
Kopernikański uniwersytet ma 80 lat	9
Miejsce PAN w Europie i na świecie – Andrzej Piłc	10
Mariaż nauki i biznesu – Alojzy Z. Nowak	12
Uniwersytet, który chce się zmieniać – Ewa Ger	14
Wrócili z Turynu z 14 medalami – artykuł sponsorowany	15
Blisko morza – artykuł sponsorowany	16
Geniusze nie tylko z Azji – Piotr Kieraciński	18
Jak naprawić system publikacyjny? – Paweł Kasprowski	19
Nie taki SZSP straszny... – Marek Kosmułski	36
Nowi profesorowie	54, 62

ROZMOWA FORUM

Ewaluacja odbędzie się zgodnie z planem – rozmowa z dr Karoliną Ziolo-Pużuk, wiceministrą nauki	20
--	----

USPOŁECZNIONA NAUKA

Uniwersytet, bożyszczka rynku i ewaluacja nauki – Jerzy Kociatkiewicz, Monika Kostera	24
Nie tylko AI – Regina Lenart-Gansiniec, Wojciech Czakon	27

MIASTO W CENTRUM UWAGI 2

Psychologia miasta jako psychologia miejsca – Maria Lewicka	31
Od miasta socjalistycznego do globalnej metropolii – Maciej Smełkowski	36
Miejskie wyspy ciepła – Magdalena Kuchcik	39
Rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady? – Katarzyna Kajdanek	43

ŻYCIE NAUKOWE

Z archiwum nieuczciwości naukowej (210)

Plagiatowa habilitacja, unieważniony doktorat – Marek Wroński	46
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	50
Akademickie klimaty – Zbigniew Drozdowicz	51
Nie jest moim celem zasiewanie wątpliwości – Rozmowa z prof. Januszem Reykowskim, jednym z założycieli Uniwersytetu SWPS	54
Mandat na drugą kadencję – rozmowa z prof. Wojciechem Pukoczem, artystą-malarzem, rektorem ASP we Wrocławiu	57

Publikuj lub giń

Dobre obyczaje – Marek Misiak	62
----------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

Od Tinctorisa do Spotify ze słuchaniem w tle – Piotr Kędziora	65
--	----

W STRONĘ HISTORII

Uczony i reformator oświaty weterynaryjnej – Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało	69
--	----

Portrety nauki polskiej

Jadwiga Staniszkis – życie w rekonstrukcji – Marcelina Smużewska	73
---	----

OKOLICE NAUKI

Pogoń za uciekającym czasem – Aneta Zawadzka	80
---	----

Książki

Tylko prawda jest ciekawa – Marek Misiak	77
Myślmy samodzielnie – Anna Jawor	77
Imperium i naśladowcy – Bogdan Bernat	78
Beckett na scenie – Jacek Hnidiuk	78
Ekspонат jako delikt – Juliusz Gałkowski	79
Książki nadesłane	79

Projekt okładki – Paweł Kaniuk	
--------------------------------	--

Tym razem jeden Proof of Concept

POZNAŃ Dr hab. Kinga Kamieniarz-Gdula z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zdobyła swój drugi grant ERC, tym razem Proof of Concept. W 2022 r. otrzymała pierwszy w historii UAM grant ERC – Starting, w ramach którego



Fot. Adrian Wykrota

bada mechanizm leżący u podstaw przecięcia i terminacji RNA oraz alternatywną ekspresję genów, które mają dać możliwość manipulowania wyborem miejsca przecięcia dla celów terapeutycznych. Opracowała innowacyjną metodę do poszukiwania nowych leków, które kierują wyborem, gdzie kończy się gen. Pozwala ona na wysokopręciowe oraz bezpośrednie monitorowanie tego procesu. W nowym granicie, o wartości 150 tys. euro, zamierza przebadać tysiące potencjalnych leków w celu znalezienia nowych oraz bardziej efektywnych terapii dla pacjentów onkologicznych. Kamieniarz-Gdula jest biologką doświadczalną i obliczeniową. Ukończyła studia na UAM, pracowała m.in. w Oksfordzie, gdzie zaczęła studiować powiązania między transkrypcją a przetwarzaniem RNA. Po 13 latach pracy za granicą wróciła do Poznania, aby w październiku 2019 r. założyć własną grupę badawczą.

Astronom z UMK na czele VLBI

TORUŃ Dr hab. Krzysztof Katarzyński, dyrektor Instytutu Astronomii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, został wybrany na przewodniczącego Rady Dyrektorów Konsorcjum Europejskiej Sieci VLBI. Gremium to koordynuje współpracę



Fot. Bruce Boyd

wielkości europejskich obserwatoriów radioastronomicznych oraz podobnych instytucji z Chin, Korei Południowej oraz Republiki Południowej Afryki. VLBI (ang. Very Long Baseline Interferometry) to technika prowadzenia wspólnych obserwacji, przez kilka radioteleskopów równocześnie. Pozwala znacznie poprawić „ostrość” otrzymywanych obrazów. Toruńscy badacze zaangażowani są w badania VLBI w europejskiej sieci radioteleskopów od lat 80 ub.w., początkowo przy pomocy małego

15-metrowego radioteleskopu RT3, a od 1996 r. nowoczesnego, średniej wielkości instrumentu o średnicy 32-metrów, czyli radioteleskopu RT4 nazwanego imieniem Mikołaja Kopernika, ulokowanego w Centrum Astronomii UMK Piwnicach. To jedyny radioteleskop tej klasy i wielkości w Europie Środkowo-Wschodniej.

„Niedźwiedzica” czeka na polarników

LONGYEARBYEN Na Svalbardzie otwarto Centrum Logistyczno-Naukowe BERA (nazwa wywodzi się ze staronordyckiego słowa oznaczającego „niedźwiedzicę”). Jego powstanie wieńczy wieloletnie starania polskiego środowiska polarnego o wsparcie działań logistycznych i naukowo-badawczych prowadzonych w oparciu o miasto Longyearbyen. W przedsięwzięcie zaangażowały się: Uniwersytet Śląski w Katowicach (lider), Instytut Geofizyki PAN, Instytut Oceanologii PAN w Sopocie, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz Uniwersytet Wrocławski. Dzięki nowej placówce naukowcy będą mogli rozwijać projekty badawcze z zakresu zmian klimatycznych, ochrony środowi-

ska i badań geologicznych, mających kluczowe znaczenie dla regionu Arktyki. Jeszcze w tym roku ma powstać laboratorium pozwalające na wstępną obróbkę zebranych próbek (woda, sedimenty, skały itp.) w celu ograniczenia ich pojemności i rozmiaru, dokonania wstępnych analiz i przygotowania ich do transportu do Polski (m.in. zamrażanie i przechowywanie próbek lodu oraz śniegu). BERA umożliwi również systematyczny monitoring kriosfery, ekosystemów lądowych, a także badania nad pokrywą śnieżną i lodowcami.



Fot. Instytut Oceanologii PAN

Polska logopedka pokieruje ICA

ŁÓDŹ Dr Monika Kaźmierczak z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego została wybrana na stanowisko przewodniczącego-elekta Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Stowarzyszenia Giełkotu. Jest pierwszą polską logopedką, która obejmie tę funkcję. Giełkot (ang. *cluttering*) to zaburzenie mowy, które objawia się m.in. występowaniem tzw. zwykłych niepełności, nieprawidłowym stosowaniem pauz, akcentów wyrazowych i zdaniowych, nadmierną koartykulacją (wymawianie głosek z wykorzystaniem układów narządów mowy właściwych dla głosek sąsiednich). Wśród cech giełkotu wymienia się również chaotyczny sposób językowego formułowania myśli. Szacuje się, że giełkotem może być dotkniętych około 1,2% dzieci w wieku 10–12 lat. Mowa bezładna często współwystępuje z innymi zaburzeniami, m.in. z jękaniami, trudnościami w nauce czy ADHD. Pierwsza wzmianka o giełkocie pojawiła się w 1717 roku. W 2007 roku powołano Międzynarodowe Stowarzyszenie Giełkotu (International Cluttering Association, ICA).



Fot. UL

Muzeum Narodowe z nową dyrektorką

WARSZAWA Dr hab. Agnieszka Lajus z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego objęła z początkiem lutego stanowisko dyrektorki Muzeum Narodowego w Warszawie. Przez ostatni rok pełniła funkcję p.o. dyrektorki. Z placówką związana jest zawodowo od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych. Ukończyła studia w Instytucie Historii Sztuki UW, z którym związana jest do dziś. Pracuje w Katedrze Historii Sztuki Nowoczesnej. W latach 2012–2016 była wicedyrektorką ds. studenckich IHS UW, a następnie w latach 2017–18 p.o. kierowniczką Zakładu Historii Sztuki i Kultury Nowoczesnej. Od 2018 roku jest kuratorką Zbiorów Sztuki Polskiej do 1914 roku Muzeum Narodowego w Warszawie (obecnie Zbiorów Malarstwa Polskiego do 1914 r.), w latach 2019–2020 pełniła funkcję przewodniczącej Kolegium Kuratorów MNW. Zajmuje się polskim i europejskim malarstwem i krytyką artystyczną XVIII i XIX wieku. W IHS UW prowadzi zajęcia z zakresu historii sztuki nowoczesnej polskiej i powszechnej (wykłady, seminaria, proseminaria, konwersatoria).



Fot. Bartosz Bajęski

Pomiar smogu świetlnego już możliwy

TORUŃ Urządzenie do pomiaru smogu świetlnego skonstruowali naukowcy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Pozwala ono na bezprzewodowy, automatyczny i długoterminowy pomiar zanieczyszczenia nieba sztucznym światłem w nocy. To niedawno zdefiniowana forma zanieczyszczenia środowiska natu-

ralnego. Badaniem tego zjawiska zainteresowali się naukowcy z UMK, którzy stworzyli narzędzie do pomiaru smogu świetlnego. Interdyscyplinarnym zespołem kierował dr hab. Mieczysław Kunz, prof. UMK. Wynalazek ma na celu rejestrację smogu świetlnego dzięki czujnikowi światła o wysokiej czułości – sensor pozwala na pomiar natężenia światła z dokładnością do ułamkowych części luksów. Urządzenie jest automatyczne i niskokosztowe, przystosowane do warunków umiarkowanego klimatu. Nie wymaga także stałego nadzoru, ponieważ samodzielnie monitoruje stan baterii, wilgotność i temperaturę obudowy, a o ewentualnych stanach awaryjnych informuje automatycznie. Eksperti alarmują, że w 2022 r. nie było w Polsce miejsca, które można byłoby uznać za wolne od zanieczyszczenia światłem. Ponad połowa ludności naszego kraju nie ma szans, by po zachodzie Słońca dostrzec Drogę Mleczną.

Wrotki na pomoc oczyszczalniom

KRAKÓW Na Uniwersytecie Jagiellońskim opracowano sposób na ograniczenie puchnięcia osadu czynnego w oczyszczalniach ścieków. Polega na utrzymywaniu w równowadze mikroorganizmów odpowiadających za kontrolowanie liczebności bakterii nitkowatych. Ich wysokie zagęszczenie powoduje, że oczyszczalnie ponoszą wysokie koszty, zmniejsza się ich efektywność, a stosowane dotychczas działania prewencyjne mają negatywny wpływ na środowisko naturalne. Istotą nowej metody jest utrzymywanie stosunkowo wysokiego zagęszczenia populacji wrotków *Lecane inermis* wchodzących w skład osadu czynnego. Są to mikroorganizmy żerujące na bakteriach nitkowatych, co w sposób naturalny ogranicza puchnięcie osadu czynnego, zmniejsza produkcję biomasy, a tym samym ilość tzw. osadu nadmiernego. Gdy wrotków jest wystarczająco dużo, nie ma mowy o niekontrolowanym rozroście populacji bakterii. Nowe rozwiązanie pozwoli zmniejszyć koszty eksploatacji oczyszczalni oraz ograniczyć ilość stosowanych przez nie odczynników chemicznych. Opracowana na UJ technologia może być stosowana w oczyszczalniach z dopływem różnego rodzaju ścieków, zarówno komunalnych, jak i z przemysłu spożywczego.

Wspólne badania nad Zagładą

WARSZAWA Rozpoczęła działalność Europejska Infrastruktura Badań nad Holocaustem. To pierwsza ponadnarodowa organizacja skupiająca kluczowe europejskie instytucje zajmujące się dokumentacją i badaniami nad Zagładą. Porozumienie o wzajemnym wsparciu podpisali przedstawiciele państw założycielskich EHRI-ERIC: Austrii, Chorwacji, Czech, Niemiec, Polski, Rumunii, Słowacji i Wielkiej Brytanii. Koordynatorem polskiej struktury jest Żydowski Instytut Historyczny, a włączyły się w nią Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN oraz Centrum Badań Żydowskich na Uniwersytecie Łódzkim. Nadzór nad polskim węzłem EHRI sprawować będzie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nowo utworzone konsorcjum zapewni szeroki międzynarodowy dostęp do źródeł archiwalnych dotyczących Zagłady, nawiązywanie i zacieśnianie współ-



Fot. Maciek Jazwinski

pracy przez badaczy i badaczki tego tematu z kraju i zagranicą, a także wytyczy nowe kierunki badań i podejść metodologicznych.

Wręczono Heweliusze

GDAŃSK Profesorowie: Tomasz Szudlarek i Rafał Dziadziuszko zostali tegorocznymi laureatami Nagród Naukowych Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza. Laury wręczono już po raz 37. Prof. Dziadziuszko jest specjalistą w dziedzinie onko-



Fot. Grzegorz Mehring

logii klinicznej oraz radioterapii onkologicznej, kieruje Kliniką Onkologii i Radioterapii i Centrum Badań Klinicznych Wczesnych Faz Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Uhonorowano go za wybitne osiągnięcia naukowe w zakresie diagnostyki, prognostyki i leczenia nowotworu płuc. Prof. Szudlarek jest pedagogiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Gdańskiego. Specjalizuje się w teorii i filozofii edukacji, bada relacje między edukacją, kulturą i polityką. Doceniono go za wybitne osiągnięcia naukowe w zakresie filozofii wychowania oraz konceptualizację relacji między kulturą, polityką, tożsamością i edukacją. Każdy z laureatów otrzymał dyplom, statuetkę Heweliusza oraz nagrodę finansową w wysokości 25 tys. zł brutto.

Ossolineum z grantami dla humanistów

WROCŁAW Zakład Narodowy im. Ossolińskich i Fundacja Lanckorońskich podpisały umowę, która otwiera nowy rozdział współpracy obu instytucji. Na jej mocy Ossolineum będzie organizować konkursy, przyznawać środki i nadzorować reali-



Fot. Ossolineum

zacji finansowanych przez Fundację projektów badawczych, wydawniczych i konferencyjnych z zakresu szeroko pojętych nauk humanistycznych, a szczególnie badań nad historią i historią sztuki Polski oraz krajów sąsiadujących z ziemią dawniej Rzeczypospolitej, których horyzont czasowy nie przekracza 1945 roku. Współpraca obu podmiotów rozpoczęła się w 2016 roku, kiedy uporządkowano status prawny kilkudziesięciu miniatur przekazanych w czasie II wojny światowej przez rodzeństwo Lanckorońskich do Ossolineum we Lwowie. Obecnie miniatury znajdują się w zbiorach Ossolineum, a część z nich można oglądać na ekspozycji w Muzeum Pana Tadeusza. Fundacja założona przez prof. Karolinę Lanckorońską od sześćdziesięciu lat wspiera badaczy polskich i badaczy polskiej historii z całego świata.

Osiągnięcia medycyny w nowoczesnej formie

WROCŁAW Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu otworzy w 2027 roku Centrum Odkryć Medycznych. Będzie ono popularyzowało wiedzę medyczną oraz osiągnięcia, które pozostawiły trwały ślad w historii medycyny. Powstanie w zabytkowym budynku przy ul. Curie-Skłodow-



Fot. UMW

skiej 66/68, w którym przez lata (od 1883 roku) funkcjonowała Klinika Chirurgii Ogólnej. Gmach, w którym pracowali m.in. prof. Wiktor Bross czy prof. Jan Mikulicz-Radecki, stoi pusty. Po odrestaurowaniu w części przywrócone zostaną dawne układy pomieszczeń, a następnie – na powierzchni 9 tys. m² – ulokowana będzie nowa jednostka, która połączy historię, innowacje oraz edukację. Do prezentacji wiedzy medycznej oraz promocji zdrowia i profilaktyki wykorzystane zostaną nowe technologie. W planach, obok budowy stref (Odkryć Medycznych, Future Medicine, Historii Medycyny, Wystaw Czasowych i Warsztatowo-Laboratoryjnej), jest stworzenie części konferencyjnej dla 400–1000 osób. Koszt inwestycji wyniesie około 120 mln zł.

Nie od miedzi, lecz ołowiu

KRAKÓW/WARSZAWA/OTWOCK Za pomocą metod protonenicyzacji izotopowej polscy naukowcy dowiedli, że do wyrobu ozdób ołowianych z wczesnej epoki żelaza wykorzystywano olkuskie złoża siarczku ołowiu. To najstarsze potwierdzone świadectwa wydobycia i wytopu z rud jakiegokolwiek metalu na ziemiach polskich. Metoda



Fot. UI

protonenicyzacji izotopowej opiera się na odkryciu, że proporcje izotopów ołowiu różnią się w poszczególnych złożach geologicznych. Naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Narodowego Centrum Badań Jądrowych w Otwocku i Uniwersy-

tetu Warszawskiego poddali analizie 11 ozdób ołowianych z cmentarzysk późnej kultury łużyckiej na terenie Śląska i Wyżyny Krakowskiej. Dowodzą, że wykonano je z miejscowej rudy, co świadczy o wczesnej eksploatacji olkuskich złóż ołowiu, obecnie datowanej o 1000 lat wcześniej niż dotychczas sądzono. Uzyskane wyniki stanowią najstarszy dowód wytopu jakiegokolwiek metalu z rud pozyskanych na ziemiach polskich. Oznaczałoby to, że wydobycie i hutnictwo rud metali na ziemiach polskich rozpoczęło się nie od miedzi, ale od ołowiu około VIII–VII w. p.n.e.

Powstaje Wrocław BioTech Hub

WROCŁAW Siedem wrocławskich ośrodków naukowych konsoliduje swoje działania, by wspólnie budować silne zaplecze badawczo-rozwojowe i wzmacniać pozycję stolicy Dolnego Śląska jako znaczącego ośrodka naukowego. To pierwszy krok w drodze do wrocławskiego centrum doskonałości. W skład konsorcjum wchodzi: Uniwersytet Wrocławski, Politechnika Wrocławska, Uniwersytet Przyrodniczy

we Wrocławiu, Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej PAN, Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych PAN, Łukasiewicz – PORT. Wrocław BioTech Hub ma integrować środowisko naukowe, prowadzić wspólne aplikacyjne projekty badawcze, utworzyć interdyscyplinarną szkołę doktorską, zoptymalizować wykorzystanie infrastruktury badawczej.



Fot. UMW

Przedsięwzięcie ma przygotować Wrocław do bycia w przyszłości częścią europejskiego Excellence Hub, którego interesariuszami zostaną jednostki naukowe, przedsiębiorcy, start-upy, miasta i mieszkańcy regionu. W projekcie będą prowadzone prace m.in. nad wdrożeniem we Wrocławiu medycyny spersonalizowanej i wczesnym wykrywaniem chorób nowotworowych.

Konstruują odbiornik atomowy

WARSZAWA Na Uniwersytecie Warszawskim powstaje prototyp odbiornika dla misji kosmicznych. Idealny satelita radiowy powinien być lekki i wszechstronny – z jednej strony nie może dużo ważyć, żeby koszt jego wystrzelenia był niski, z drugiej powinien móc wykrywać szerokie spektrum częstotliwości. Warunki te spełniają odbiorniki oparte na atomach, jako że potrafią wykryć bardzo wiele częstotliwości przy pomocy tylko jednego urządzenia. Konwencjonalne anteny nie mają takich możliwości. Odbiorniki atomowe wykorzystują specjalnie powiększone przy pomocy laserów atomy, tzw. atomy rydbergowskie, potrafiące wykrywać promieniowanie mikrofalowe, terahercowe oraz inne częstotliwości radiowe. Ta najnowocześniejsza technologia łączy w sobie badania w dziedzinie optyki kwantowej z zastosowaniami komercyjnymi. W Centrum Optycznych Technologii Kwantowych UW od kilku już lat zajmują się badaniem rydbergowskich odbiorników radiowych. Kolejnym celem naukowców jest postawienie pierwszego kroku w transferze technologii, żeby przyszli inżynierowie kosmiczni wiedzieli, jak zaprojektować nowatorskie atomowe odbiorniki. Grupa dr. hab. Michała Parniaka skonstruuje prototyp rydbergowskiego odbiornika do misji kosmicznych. Projekt realizowany jest na zlecenie Europejskiej Agencji Kosmicznej. Jego wartość to 600 tys. euro.

Zatrzymać utratę zmienności genetycznej

WARSZAWA Naukowcy z Instytutu Ochrony Przyrody PAN wzięli udział w największej przeprowadzonej do tej pory globalnej analizie różnorodności genetycznej. Zespół 57 naukowców z 20 krajów przeanalizował ponad 80 tys. artykułów naukowych analizujących zmienność genetyczną gatunków z wszystkich ekosystemów. Udowodniono, że zmienność genetyczna jest tracona we wszystkich grupach organizmów, szczególnie wśród ptaków i ssaków. Kiedy dochodzi do zmian w siedliskach, wybuchów epidemii, klęsk żywiołowych czy intensywnej działalności człowieka, utrata zmienności genetycznej jest jeszcze bardziej dramatyczna. Co może ją powstrzymać? Do najskuteczniejszych metod zaliczono translokacje osobników między zagrożonymi, izolowanym populacjami, odbudowę siedlisk i zwiększenie łączności między nimi. Czasami pomaga również usuwanie osobników z populacji, żeby poprawić warunki dla pozostałych. Wtedy należy zachować osobniki o jak największej różnorodności genetycznej. Równie ważne jest kontrolowanie gatunków inwazyjnych.

Zbadali rolę strażników mózgu w ewolucji

WARSZAWA Astrocyty, uznawane za komórki opiekuńcze neuronów, zdają się mieć większą rolę w ewolucji mózgu, niż się do tej pory wydawało – przekonują naukowcy z Centrum Dioscuri Biologii Chromatyny i Epigenomiki Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego w Warszawie. Astrocyty można nazwać strażnikami mózgu, nie istnieją one właściwie choroba neurologiczna, która nie byłaby związana z zaburzeniami w ich aktywności. Zespół kierowany przez dr hab. Aleksandrę Pękowską odkrył, że bardzo duży odsetek genów, silnie aktywnych u człowieka niż u szympansa czy makaka, może uczestniczyć w tworzeniu tzw. pęcherzyków zewnątrzkomórkowych, których ludzkie astrocyty produkują najwięcej. Pęcherzyki znajdują się we wszystkich płynach ustrojowych, mogą przenosić białka, lipidy, DNA czy RNA, są ważne dla prawidłowego rozwoju neuronów. Okazało się, że komórki małpie rosną i stają się bardziej skomplikowane pod wpływem pęcherzyków ludzkich. Zdaniem badaczy oznacza to, że cząstki te przyniosły jakąś informację potencjalnie mającą wkład w ewolucję morfologii (wyglądu) astrocytów. Okazało się również, że geny związane z chorobami mózgu są częściej „wyciszone” niż „aktywowane” w astrocytach człowieka w porównaniu z komórkami naszych małpich pobratymców. Wyciszenie tych genów najprawdopodobniej zapewnia naszemu mózgowi dodatkowe funkcje.



Fot. Hericki

Technologie w służbie zdrowia

WARSZAWA List intencyjny o powołaniu Konsorcjum Polskiej Grupy Chirurgii Robotowej, Sztucznej Inteligencji i Telemedycyny podpisał Wojskowy Instytut Medyczny – Państwowy Instytut Badawczy i sześć wiodących ośrodków medycznych oraz akade-



Fot. MMSiW

mickich: Uniwersytet Warszawski, Świętokrzyskie Centrum Onkologii, Uniwersytecki Szpital Kliniczny Nr 4 w Lublinie, Uniwersytecki Szpital Kliniczny Nr 1 w Lublinie, Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Lublinie i Uniwersytet Medyczny w Lublinie. Umowa dotyczy współpracy w zakresie rozwoju chirurgii robotowej, sztucznej inteligencji (AI) i telemedycyny, z naciskiem na innowacyjne technologie w medycynie, badania naukowe oraz edukację. Sygnatariusze mają stworzyć Rejestr Procedur Robotycznych. Będą prowadzić badania retrospektywne i prospektywne dotyczące skuteczności operacji z wykorzystaniem robotyki i sztucznej inteligencji, ze szczególnym uwzględnieniem chorób nowotworowych, takich jak rak płuca, jelita grubego czy żołądka. Zaplanowano również opracowanie programów edukacyjnych adresowanych do studentów oraz kadry akademickiej.

FNP stymuluje współpracę

WARSZAWA Trzy projekty uzyskały od Fundacji na rzecz Nauki Polskiej finansowanie w łącznej kwocie blisko 33 mln zł w pierwszym naborze wniosków TEAM NET FENG. Zgłoszono do niego 74 projekty z 81 organizacji badawczych. Najwyżej oceniono projekt z Uniwersytetu Jagiellońskiego (we współpracy z Instytutem Genetyki Człowieka PAN), dotyczący produktów leczniczych nowej generacji opartych na pęcherzykach zewnątrzkomórkowych dla zastosowań w kardiologii. Laureatami zostali również badacze z Uniwersytetu

Warszawskiego (w konsorcjum z Instytutem Wysokich Ciśnień PAN i Politechniką Łódzką), którzy opracują zasilane elektrycznie kompaktowe źródła pojedynczych fotonów pracujące w temperaturze pokojowej, oraz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (partnerzy: UJ i UW), którzy stworzą innowacyjną, wysokoprzepustową platformę do funkcjonalnych badań przesiewowych ludzkich komórek endokrynnych trzustki.

Gwiazdy i studenci

GDAŃSK Jak co roku osoby angażujące się w proces umiędzynarodowienia polskich szkół wyższych zostały uhonorowane Gwiazdami Internacjonalizacji. W tym roku laureatami zostali: prof. **Andrzej Kraśniewski** (Politechnika Warszawska), dr hab. **Danuta Gutowska-Owsiak** (Uniwersytet Gdański), dr **Małgorzata Bonikowska** (Uniwersytet Warszawski),



Fot. MMSiW

Edyta Lachowicz-Santos (Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach), dr hab. **Małgorzata Włodarczyk-Biegun**, (Politechnika Śląska, Uniwersytet w Groningen), prof. **Janusz Szpytko** (Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie), dr hab. **Katarzyna Antosz** (Politechnika Rzeszowska), dr **Tomasz Maliszewski** (Uniwersytet Medyczny w Białymstoku), **Bartłomiej Kowalik** (Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie). Nagrodzono także najlepszych studentów zagranicznych w Polsce. Statuetki INTERSTUDENT odebrali: **Kateryna Fadiejewa** z Ukrainy (studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie), **Gregory Phelan** z Irlandii (student Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie), **Safya Elsharkawy** z Egiptu (doktorantka Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie), **Anastasiia Kononenko** z Ukrainy (studentka Politechniki Łódzkiej), **Michail Koutentakis** z Grecji (student Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego), **Hatice Kübra Öz** z Turcji (studentka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), **Nasim Mondal** z Indii (doktorant na Uniwersytecie Warszawskim).

Stuletni UEK w EUA

KRAKÓW Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie dołączył do grona członków European University Association. Jest tym samym 44 polską uczelnią należącą do tej organizacji. W tym roku UEK obchodzi stulecie istnienia. Został powołany w 1925 roku jeszcze jako Wyższe Studium Handlowe. Po kilkakrotnych zmianach szyldu (Akademia Handlowa, Wyższa Szkoła Ekonomiczna, Akademia Ekonomiczna), w 2007 r. przyjął obecną nazwę. Na 30 kierunkach kształci 15 tys. studentów. EUA to największa organizacja reprezentująca europejskie szkoły wyższe. Zrzesza ponad 900 uniwersytetów i krajowych konferencji rektorów z 49 krajów (w tym KRASP). Na wszystkich uniwersytetach należących do EUA studiuje ok. 20 mln osób.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Katarzyna Górowicz-Mačkiewicz, Anna Modzelewska, Małgorzata Poszwa, Iwona Ptaszek-Zielińska, Małgorzata Rybczyńska, Anna Szejda, Katarzyna Uczkiewicz, Dominika Wojtyśiak-Łańska, Łukasz Wspaniały

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku   i na platformie X 

Czy Narodowe Centrum Nauki i sztuczna inteligencja są na siebie gotowe?

W odpowiedzi na artykuł dr. Tomasza Ratajczyka *Rzetelna analiza czy pozory oceny?*, opublikowany w styczniowym numerze „Forum Akademickiego”, profesorowie Janusz M. Bujnicki i Jacek Kuźnicki z Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej przedstawiają rewolucyjną propozycję zmian w systemie oceny wniosków składanych do konkursów Narodowego Centrum Nauki.

Narodowe Centrum Nauki (NCN) jest organizacją dla naukowców i prowadzoną przez naukowców. Naukowcami są dyrektor i jego zastępca, członkowie Rady NCN i koordynatorzy paneli. Jest to więc z oczywistych względów grupa osób otwarta na dyskusję, krytykę i gotowa do zmian. I taka jest piętnastoletnia historia NCN, które wsłuchując się w głos środowiska stale zmienia się i modyfikuje procedury; wysoka częstość tych zmian jest czasem nawet krytykowana.

Uważamy, że powstanie NCN było i jest największym sukcesem zmian w organizacji nauki w Polsce. Co nie znaczy, że działa ono idealnie. Nieuzasadnione w naszej opinii są jednak głosy krytyczne co do ogólnych zasad jego funkcjonowania i procedur, choć można zrozumieć niezadowolonych osób, których projekty nie zostały ocenione pozytywnie. Trzeba jednak pamiętać, że w każdej procedurze konkursowej są zwycięzcy i pokonani, a w przypadku najlepszego finansowania NCN, które było kilka lat temu, zadowolonych mogło być co najwyżej 30% osób aplikujących w danym konkursie. Centrum stara się, by procedury oceny wniosków grantowych były prowadzone z dbałością o unikanie konfliktu interesów, bez faworyzowania określonych grup, środowisk, organizacji, tematów, czy konkretnych osób.

To, co napisaliśmy powyżej, nie oznacza, że nie zgadzamy się z niektórymi głosami krytycznymi wobec efektów działalności NCN. Na przykład uważamy za słuszne opinie wyrażone przez dr. Tomasza Ratajczyka w artykule *Rzetelna analiza czy pozory oceny?*, opublikowanym w „Forum Akademickim” 1/2025 oraz komentarze czytelników tego tekstu, dotyczące decyzji i recenzji pierwszego etapu oceny grantów przez panel ekspertów. Tak, opinie ekspertów są często bardziej przydatne dla panelu, a mniej dla aplikujących. Tak, czasem zawierają błędy merytoryczne. Zdarza się nawet, że zawierają logiczne błędy lub wskazują na niezrozumienie niektórych aspektów projektu przez eksperta. Warto przy tym pamiętać, że błędy językowe, merytoryczne i niejasności zdarzają się całkiem często w samych wnioskach grantowych. Zupełnie nie zgadzamy się natomiast z opiniami, że eksperci rutynowo nie czytają wniosków i przesyłają bezsensowne recenzje, choć pobierają za to wynagrodzenie. Takie oskarżenia nie powinny mieć miejsca bez dowodów.

W tytule postawiliśmy prowokacyjne pytanie: czy NCN i AI są na siebie gotowe? To, czy NCN jest gotowe, będzie zależało od jego Rady, dyrektora, koordynatorów, a na koniec od oceny społeczności naukowej. Natomiast wydaje się, że metody AI są już w dużej mierze gotowe

do wspomaganego procesu oceny recenzji. Modele językowe mogłyby m.in. weryfikować adekwatność tekstu recenzji (nawet bez porównywania recenzji z wnioskiem), sprawdzając poprawność językową i logiczną tekstu, a także zgodność z instrukcjami dla recenzentów. Możliwe byłoby również wykrywanie nieodpowiednich lub nacechowanych emocjonalnie sformułowań oraz recenzji z prawdopodobnymi ingerencjami AI, a nie stworzonymi przez człowieka.

Jeżeli AI miałyby dostęp do tekstu wniosku, mogłyby analizować, czy recenzja odnosi się do właściwego dokumentu oraz na ile zawarte w niej uwagi są zgodne z faktami związanymi z wnioskiem. Na przykład AI mogłyby ocenić, czy recenzent słusznie wskazuje brak określonych informacji we wniosku lub czy rzeczywiście zawiera on wskazane treści bądź błędy. Tego typu analiza mogłaby być przeprowadzana automatycznie, natychmiast po wprowadzeniu recenzji do systemu. Wyniki takiej analizy przeprowadzonej przez AI mogłyby wspierać pracowników NCN w podejmowaniu decyzji o akceptacji recenzji lub

odesłaniu jej do poprawy.

Niezależnie od analizy samych recenzji, recenzenci mogliby być rutynowo oceniani pod kątem jakości sporządzanych opinii, co sprzyjałoby podnoszeniu standardów ich przygotowywania. Wprowadzenie takiego procesu mogłoby znacząco poprawić jakość typowych recenzji merytorycznych oraz wyplenić przypadki recenzji byle jakich i nieprofesjonalnych.

Na całym świecie występują problemy z oceną wniosków grantowych i poszukiwane są sposoby na ich przezwyciężenie. A. Recio-Saucedo i współautorzy w obszernym artykule *What works for peer review and decision-making in research funding: a realist synthesis* („Research Integrity and Peer Review”, 2022 Mar 4;7(1):2) opisują wyniki 50 zmian wprowadzanych na różnych etapach recenzji eksperckich zebranych z 96 publikacji i 36 stron internetowych. Działania, które wydają się najbardziej skuteczne w ulepszeniu recenzji w różnych obszarach badawczych, to skrócenie wniosków grantowych, szkolenie recenzentów, wprowadzenie wirtualnych zamiast klasycznych paneli oraz ulepszone modele decyzyjne, np. z wykorzystaniem odpowiednich programów komputerowych, jak ProGrid czy Teamworker. Autorzy zwrócili też uwagę, iż jednym ze sposobów zwiększenia finansowania prawdziwie innowacyjnych projektów jest np. nieujawnianie osiągnięć naukowych aplikujących oraz tzw. złoty bilet dla recenzenta, czyli prawo do nominowania jednego projektu, który nie musi spełniać oficjalnych kryteriów. Stwierdzając, że żadna ze zmian zebranych w tabeli zawierającej kilkadzie-



Prof. Janusz M. Bujnicki

siąg pozycji nie jest uniwersalna, autorzy uznają, iż mechanizmy podejmowania decyzji, w tym sama recenzja ekspercka, muszą być poddawane ciągłej ocenie, usprawniającym modyfikacjom i kontroli publicznej. To zdaniem autorów może sprawić, że finansowanie badań będzie bardziej skuteczne, uczciwe i adekwatne do potrzeb społeczeństwa.

Czy możemy pozostać przy obecnym systemie oceny wniosków grantowych oraz publikacji, w którym biorą udział wyłącznie ludzie? Na niedostosowanie do współczesności dotychczasowych sposobów oceny typu peer review w aspekcie ocen artykułów naukowych zwrócił uwagę R.M. Montgomery (*The Obsolescence of Traditional Peer Review: Why AI Should Replace Human Validation in Scientific Research*, Preprint, Nov 4, 2024). Uważa on, że tradycyjna recenzja stała się przestarzałym, nieefektywnym i ostatecznie wadliwym mechanizmem zapewniania jakości badań, a obecny system oceny, charakteryzujący się znaczącymi opóźnieniami i kosztami oraz możliwościami do wykazania uprzedzeniami recenzenta wobec określonych zagadnień czy autorów, znacząco ogranicza postęp naukowy. Zdaniem autora współczesne algorytmy sztucznej inteligencji wykazują możliwości kompleksowej analizy metodologicznej, statystycznej i literaturowej, a są przy tym pozbawione ludzkich uprzedzeń poznawczych, rywalizacji i instytucjonalnej polityki. Autor proponuje wprowadzenie w pełni zautomatyzowanej oceny prac naukowych opartej na AI działającej w czasie rzeczywistym, identyfikującej wady metodologiczne, weryfikującej błędy w analizach statystycznych i oceniającej ich znaczenie w szerokim kontekście naukowym. Entuzjazm autora do kompleksowego wykorzystania obecnych narzędzi AI może wynikać ze stosowania ich przez coraz większą liczbę instytucji wydawniczych. Sądzymy jednak, że problemem może być np. to, że AI może lepiej oceniać wnioski stworzone przez AI niż przez ludzi, mimo że takie wnioski będą wykorzystywać nieprawdziwe dane, w tym całkowicie zmyślane publikacje.

Wskazany przez dr. Tomasza Ratajczyka problem z recenzjami w pierwszym etapie oceny grantów przez panel ekspertów w NCN był wcześniej dostrzeżony i dyskutowany w czasie, gdy Jacek Kuźnicki był przewodniczącym Rady NCN. Nie udało się jednak znaleźć sposobu jego naprawy. Teraz proponujemy, by rozważyć wprowadzenie AI jako pomocy dla koordynatorów i ekspertów NCN. Nie jest to wbrew pozorom pomysł innowacyjny, bo NCN nie byłby pierwszą agencją, która wprowadziła AI do pomocy przy ocenie projektów grantowych. Jedną z takich agencji jest hiszpańska Fundacja „la Caixa”, jedna z największych na południu Europy organizacji finansująca badania naukowe w Hiszpanii i Portugalii. C.C. Cortés ze współautorami w swoim artykule *AI-assisted prescreening of biomedical research proposals: ethical considerations and the pilot case of „la Caixa”* (Foundation Data & Policy (2024), 6: e49) opisał literaturę dotyczącą zastosowania AI przez wydawnictwa do recenzji prac naukowych oraz przez organizacje grantowe do pomocy w analizie wniosków grantowych. Zebrali i przedyskutowali różne wątpliwości związane z takimi procedurami łącznie z kwestiami prawnymi i etycznymi. Wskazali też na potencjalne problemy wynikające z zastosowania AI do oceny projektów oraz szczegółowo opisali różne aspekty, które muszą być wzięte pod uwagę. I tak, aby uznać wyniki działania AI za wiarygodne i akceptowalne, muszą być one zgodne z prawem i etyką. Autorzy wymieniają 7 cech, które są istotne przy omawianym wykorzystaniu

AI. Są to: nadzór człowieka; techniczna solidność i bezpieczeństwo danych; zachowanie prywatności w zarządzaniu danymi; przejrzystość; różnorodność, brak dyskryminacji i uczciwość; akceptacja przez środowisko i społeczeństwo oraz odpowiedzialność wobec aplikujących. Autorzy opisali, jak na podstawie przeprowadzonych analiz podjęto w Fundacji „la Caixa” decyzję, by wprowadzić eksperymentalny system oceny w naukach biomedycznych, w którym AI pomaga zidentyfikować wnioski, które nie powinny być skierowane do recenzji eksperckich.

Program „CaixaResearch Health” (HR) to flagowy program Fundacji „la Caixa”, który obejmuje onkologię, neurobiologię, choroby zakaźne, choroby układu krążenia i metaboliczne oraz wspomagające technologie. Spośród 500-700 corocznych aplikacji kilkanaście procent wniosków przechodzi do końcowego etapu w wyniku zdalnej oceny przeprowadzanej przez około 200 ekspertów (peer review). W trakcie indywidualnych bezpośrednich rozmów kwalifikacyjnych (interview) do finansowania zostaje wybranych około 30% wniosków, co daje wskaźnik sukcesu od 5% do około 7%. Ponieważ etap zdalnej ewaluacji stanowi poważne wyzwanie z powodu dużej liczby wniosków o różnej tematyce oraz potrzeby zorganizowania ekspertów o zróżnicowanej wiedzy i doświadczeniu, już wcześniej Fundacja „la Caixa” zdecydowała się na wykorzystanie AI do wyboru recenzentów, a ostatnio rozpoczęła stosowanie AI do identyfikacji wniosków, które mają nikłe szanse na uzyskanie finansowania. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż usunięcie przez AI wniosku z listy do dalszej oceny jest tylko rekomendacją, i że wszystkie takie wnioski są następnie sprawdzane przez ekspertów, którzy mają pełną autonomię, by rekomendację algorytmu zignorować. Można oczywiście kwestionować sens takiej podwójnej analizy, najpierw przez AI, a potem przez ludzi, jednak zdaniem autorów tego artykułu, pracujących w Fundacji „la Caixa”, jest to korzystne, bo

zmniejsza obciążenie ekspertów.

W artykule, na który się powołujemy, opisano wyniki wprowadzenia AI do selekcji wniosków w dwóch konkursach. W konkursie HR22 z 546 wniosków eksperci wycofali 466 z dalszej analizy. Pozostałe 80 skierowano do panelu, który przeprowadził rozmowy z aplikującymi. W ich wyniku 33 wnioski zostały skierowane do sfinansowania. W przypadku wykorzystania AI z tych samych 546 aplikacji tylko 116 zostało wskazanych do odrzucenia, ale eksperci 30 z nich wskazali jako warte tradycyjnej analizy. Co ciekawe, żaden z tych 30 wniosków nie trafił do panelu w wyniku tradycyjnej oceny. Wśród pozostałych odrzuconych przez AI wniosków były dwa, które były wśród 33 na liście skierowanych do finansowania. W konkursie HR23 eksperci „uratowali” 35 wniosków z 98 zatrzymanych przez AI. Wśród nich jeden był oceniany przez panel ekspertów, ale ostatecznie nie został sfinansowany. To pokazuje, że zastosowane algorytmy były bardziej liberalne niż eksperci, a ich ocena wydaje się tylko częściowo przydatna.

Podsumowując doświadczenie z pilotażowego wykorzystania AI w konkursach HR22 i HR23, autorzy konkludują, iż skuteczne decyzje muszą być wynikiem odpowiedzialnego wykorzystania mocnych stron sztucznej inteligencji, takich jak szybkie przetwarzanie ogromnych ilości danych, zidentyfikowanie ukrytych wzorów i ocen stronniczych. Do sensownego wykorzystania wyników automatycznych procesów wymagane jest jednak doświadczenie ekspertów wnoszących możliwość zrozumienia niuansów i dostrzeżenia kontekstu.



Prof. Jacek Kuźnicki

Wykorzystanie sztucznej inteligencji w procesie podejmowania decyzji niesie ze sobą liczne wyzwania, w tym ryzyko „odhumanizowania” ocen, nawet jeśli ostateczna decyzja pozostaje w rękach człowieka, a AI jedynie dostarcza rekomendacji. Recenzenci, którzy otrzymają do oceny kilkadziesiąt wniosków z dołączonymi sugestiami AI, mogą ulec pokusie szybkiej i pobieżnej weryfikacji, co zwiększa prawdopodobieństwo błędnych decyzji. Szczególnie problematyczne mogą być skrajne przypadki. Wniosek o niskiej wartości merytorycznej, ale świetnie napisany z pomocą zaawansowanego AI, może otrzymać pozytywną ocenę zarówno od algorytmu, jak i nieuwważnego recenzenta. Z kolei projekt proponujący realizację prawdziwie nowatorskiego i przełomowego pomysłu badawczego, napisany przez naukowca bez wsparcia AI i obciążony językowymi czy strukturalnymi niedociągnięciami, może zostać niesłusznie oceniony negatywnie przez AI i na tej podstawie odrzucony przez recenzenta.

Sztuczna inteligencja nie jest z natury obiektywna. Jej stronniczość może wynikać z danych użytych do trenowania, samego algorytmu lub generowanych przez nią przewidywań. Może to odzwierciedlać i utrwalać ludzkie uprzedzenia, różnice kulturowe, czy nierówności społeczne. Styl pisania naukowców z różnych obszarów geograficznych czy kultur różni się, nawet jeżeli weźmie się pod uwagę pisanie wniosków grantowych w tym samym języku (np. angielskim). Elementy takie jak bezpośredniość lub dystans, stopień pewności w argumentacji, styl opisowy lub perswazyjny, zdania długie i skomplikowane lub krótkie i konkretne, skromność lub podkreślanie własnego wkładu – to wszystko może wpływać na percepcję tekstu przez AI. W związku z tym algorytm wytrenowany na wnioskach grantowych pisanych przez Polaków może inaczej oceniać wnioski składane do NCN przez cudzoziemców pracujących w Polsce lub Polaków z doświadczeniem zagranicznym (i odwrotnie). Należy podkreślić, że tego typu uprzedzenia są również powszechnie obecne w interpretacji ludzkiej, a recenzenci wniosków grantowych także im nieświadomie ulegają. W przypadku stosowania AI istotne jest uwzględnienie i kontrolowanie tych stronniczości oraz dążenie do ich zminimalizowania, co nie jest łatwe, ponieważ wymaga dużej ilości odpowiednio zbalansowanych danych. Eliminowanie uprzedzeń w uczeniu maszynowym przy trenowaniu i testowaniu nowych metod jest skomplikowanym zadaniem. Ponadto istnieją udokumentowane przypadki umyślnego wprowadzania uprzedzeń i ograniczania dostępu do niektórych treści przez twórców metod AI, np. poprzez ukrywanie niewygodnych politycznie faktów oraz adaptowanie narracji do aktualnych norm politycznej poprawności (Jeremy Baum and John Villasenor, *The politics of AI: ChatGPT and political bias*, 2023).

Biorąc pod uwagę powyższe uwarunkowania, wracamy do tytułowego pytania: czy NCN jest gotowe na stosowanie AI przy ocenie wniosków grantowych oraz ich recenzji, by wyeliminować potencjalną stronniczość, wyrównując szanse aplikujących i radykalnie ograniczyć niesłuszne, niewystarczające, nielogiczne i błędne recenzje pierwszego etapu oceny? Odpowiedź nie jest prosta. Wydaje się, że pewien postęp uzyska się, wykorzystując AI do oceny samych recenzji i ewentualnie korelacji treści recenzji z samym wnioskiem. AI mogłaby też identyfikować najbardziej adekwatnych recenzentów do oceny wniosków w drugim etapie, tym samym eliminując obawy niektórych aplikujących o niewłaściwy ich wybór.

Jeśli jednak AI miałyby być zastosowana do wspomaganie ekspertów, to można by zrezygnować z krótkiej wersji wniosku, utrzymując dwustopniową ocenę. Nowy formularz składałby się z dwóch części ocenianych osobno: jedna to część merytoryczna bez możliwości identyfikacji osoby aplikującej, jej statusu naukowego i afiliacji, a druga to opis dorobku osoby aplikującej. Algorytm analizowałby naukową część wniosku pod kątem poprawności ze stanem wiedzy i wska-

zywał, jakie wnioski mają niskie szanse na dobrą ocenę w procesie recenzji przez specjalistów oraz uzasadniał to odpowiednim komentarzem. Ekspertiści mieliby za zadanie ocenić, czy wnioski, które zdaniem AI nie mają szans na pozytywną ocenę, zostały właściwie ocenione i czy komentarz AI jest uzasadniony. Jeśli przynajmniej jeden ekspert nie zgodziłby się z negatywną oceną, wniosek wróciłby do puli przesyłanej do drugiego etapu.

Czy AI miałyby oceniać dorobek aplikujących, czy jedynie sam projekt? Wnioski w najbardziej powszechnym konkursie OPUS są przygotowywane przez osoby na bardzo różnym etapie kariery naukowej i dlatego taką ocenę należałoby całkowicie pozostawić ekspertom. Natomiast w konkursach dedykowanych dla określonych grup badaczy, jak Preludium, SONATA czy MAESTRO, można by rozważyć wykorzystanie AI do wstępnej oceny dorobku takich osób jako materiału pomocniczego dla ekspertów. To mogłoby im pomóc zidentyfikować merytorycznie nieuzasadnioną ocenę wykonaną przez człowieka, gdyby taka ocena znacząco odbiegała od oceny AI.

Ewentualne wprowadzenie AI do wspomaganie pracy koordynatorów i ekspertów w NCN należałoby robić stopniowo, w wybranej grupie paneli i pilotażowo porównać efekty tradycyjnej oceny z efektami pracy wspomaganie przez AI, czyli tak, jak to zrobiła Fundacja „la Caixa”. Należy wyraźnie podkreślić, że na każdym etapie oceny to ludzie powinni decydować o rankingu wniosków i ocenach aplikujących, a ostateczną decyzję o skierowaniu wniosków do finansowania podejmowałby, tak jak obecnie, panel ekspertów.

Fundacja „la Caixa” nie jest jedyną, która wprowadziła AI do asystowania przy ocenie wniosków grantowych. Oprócz niej AI stosują m.in. National Natural Science Foundation of China, Canadian Institutes of Health Research oraz The Research Council of Norway. Należy jednak zauważyć, że niektóre duże organizacje sprzeciwiają się takiemu stosowaniu AI. Jedną z nich są Narodowe Instytuty Zdrowia (NIH) w USA i Australijska Rada Badań (ARC), a naukowcy związani z Europejską Radą Nauki (ERC) podkreślają, że AI może mieć tylko rolę wspierającą w automatyzacji powtarzalnych i administracyjnych zadań oraz w sprawdzaniu faktów, podsumowaniach i tłumaczeniach (C.C. Cortés i inni, j.w.).

Punktem wyjścia naszego artykułu było przywołanie licznych głosów krytyki i przyznanie, że procesy oceny wniosków grantowych w NCN wymagają modyfikacji, a w szczególności pierwszy etap oceny, w wyniku którego bardzo duża liczba wniosków jest odrzućcana. Zasadniczym pytaniem jest, jak to zrobić, by system rzeczywiście poprawić, nie opóźniając ostatecznych decyzji. Biorąc pod uwagę globalne problemy z oceną artykułów i projektów naukowych, zaproponowaliśmy, iż jedną z możliwych zmian jest wykorzystanie algorytmów sztucznej inteligencji do wspomaganie pracy koordynatorów, ekspertów i recenzentów.

Na początek AI mogłaby zostać zaangażowana w weryfikację zgodności recenzji z wymaganiami formalnymi oraz w podnoszenie ich jakości. Jeśli to rozwiązanie okazałoby się skuteczne, możliwe byłoby wprowadzenie systemów AI w kontrolowany sposób do wspomaganie recenzentów w ocenie zgodności wniosków z kluczowymi kryteriami NCN. We wszystkich tych przypadkach całkowita odpowiedzialność musi spoczywać na człowieku, który powinien być odpowiednio przeszkolony i świadomy wyzwań oraz ryzyka związanego z wykorzystaniem AI w procesach decyzyjnych.

Zdajemy sobie sprawę z tego, iż zgoda na takie działanie wywoła burzliwą dyskusję. Chcielibyśmy zasugerować, by oprócz krytyki dyskutanci i komentatorzy zaproponowali inne rozwiązania. Miejmy nadzieję, że w wyniku takiej wymiany opinii członkom Rady NCN i jej pracownikom uda się wypracować oczekiwane zmiany w procedurach oceny wniosków grantowych, które będą dobrze przyjęte przez środowisko naukowe.

Kopernikański uniwersytet ma 80 lat

Dekretem Rady Ministrów z 24 sierpnia 1945 r. został powołany Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, który w tym roku kończy 80 lat. Pierwszym rektorem był prof. Ludwik Kolankowski, lwowski historyk, który w 1919 r. tworzył Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, a wiosną 1945 r. pomagał w zakładaniu Uniwersytetu Łódzkiego. Pierwsze zajęcia akademickie – wykłady profesorów Tadeusza Czeżowskiego i Stefana Srebrnego – odbyły się 24 listopada 1945 r. Pierwsza oficjalna inauguracja roku akademickiego miała miejsce w styczniu 1946 r., a wykłady inauguracyjne wygłosili w Collegium Maius UMK: historyk prof. Kazimierz Hartleb i astronom prof. Władysław Dziewulski. Kształcenie podjęło 1605 studentów. Na uczelni działało wówczas 76 katedr, a kadrami akademicką tworzyło 60 samodzielnych i 69 pomocniczych pracowników nauki. Byli to pracownicy uniwersytetów Jana Kazimierza we Lwowie i Stefana Batorego w Wilnie, którzy po wojnie trafili do Torunia. W roku rozpoczęcia działalności UMK powstały trzy wydziały: Humanistyczny, Matematyczno-Przyrodniczy oraz Prawno-Ekonomiczny i Sztuk Pięknych.

W 1984 roku na bazie Zamiejscowego Wydziału Lekarskiego Gdańskiej Akademii Medycznej w Bydgoszczy utworzono Akademię Medyczną im. Ludwika Rydygiera. W roku 2004 została ona włączona w struktury toruńskiego uniwersytetu, była to druga taka sytuacja w Polsce po powrocie do Uniwersytetu Jagiellońskiego Akademii Medycznej w Krakowie w roku 1993. Wspomniane wydarzenia pozwalają UMK obchodzić w tym roku potrójny jubileusz: 80 lat uniwersytetu, 40 lat Akademii Medycznej, zamienionej 20 lat temu w uniwersyteckie Collegium Medicum.

Obecnie strukturę UMK tworzy 16 wydziałów. W Toruniu mieszczą się tradycyjne wydziały uniwersyteckie: Chemii, Filozofii i Nauk Społecznych, Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej, Humanistyczny, Matematyki i Informatyki, Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych, Nauk Ekonomicznych i Zarządzania, Nauk Historycznych, Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie, Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej, Prawa i Administracji, Sztuk Pięknych oraz Teologiczny. W Bydgoszczy zlokalizowane są wydziały medyczne, skupione w Collegium Medicum UMK: Farmaceutyczny, Lekarski i Nauk o Zdrowiu.

UMK oferuje 111 kierunków studiów. Kształcą się tam 17 807 studentów, w tym 16 740 Polaków i 1067 obcokrajowców (6%). W kampusie toruńskim jest 12 049 studentów, a w bydgoskim 4691. W roku akademickim 2023/2024 uczelnia wydała dyplomy 4092 absolwentom. W ciągu osiemdziesięciu lat dyplomy UMK uzyskało prawie 225 tys. absolwentów.

Uczelnia prowadzi 5 dziedzinowych szkół doktorskich: Nauk Humanistycznych, Nauk Teologicznych i Artystycznych, Nauk Medycznych i Nauk o Zdrowiu, Nauk Ścisłych i Przyrodniczych oraz Interdyscyplinarną Szkołę Doktorską Nauk Społecznych, Interdyscyplinarną Szkołę Doktorską „Academia Copernicana”. Uczestniczy w nich 434 doktorantów. Kolejne 74 osoby, w tym 4 obcokrajowców, to uczestnicy studiów doktoranckich.

W UMK pracuje 4410 osób, z tego w Collegium Medicum 1444 (32,7%). Ponad połowa – 2379 osób – to nauczyciele akademicki, z czego w CM 872 (26,6%). W gronie nauczycielskim jest 270 profesorów tytularnych na stanowisku profesora, z tego w CM 62 (23%); 5 profesorów z tytułem naukowym pracuje na stanowisku profesora uniwersytetu, w tym 1 w Bydgoszczy. UMK zatrudnia 560 profesorów uniwersytetu ze stopniem naukowym doktora habilitowanego (115 w CM) oraz 14 profesorów uniwersytetu z doktoratem (1 w CM). Ponadto 22 doktorów habilitowanych pracuje na stanowiskach adiunkta (z tego w CM 4). Łącznie na stanowiskach profesorów zatrudnionych jest 849 nauczycieli akademickich, z tego w CM 179. Razem na UMK zatrudnionych jest

Prof. Andrzej Tretyn, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika:

Jesteśmy uniwersytetem funkcjonującym w mieście, które ma mniej niż 200 tys. mieszkańców. Natomiast czujemy się uniwersytetem europejskim i badawczym w pełnym tego słowa znaczeniu. Należymy do sojuszu uniwersytetu europejskiego YUFE, czyli Young Universities for the Future of Europe oraz do sieci YERUN, czyli Young European Research Universities. Oczywiście, mamy też status laureata konkursu IDUB.

Naszą charakterystyczną i mocną stroną jest astronomia, którą rozwijamy od osiemdziesięciu lat, a jej wizytówką jest największy radioteleskop w Europie Środkowo-Wschodniej zlokalizowany w Piwnicach. Jesteśmy również jedną z kilku polskich uczelni, które posiadają stacje polarne na Spitzbergenie, przy czym nasza jest wysunięta najdalej na północ. W tym roku będzie obchodzić pięćdziesięciolecie powstania.

871 samodzielnych pracowników nauki – profesorów i doktorów habilitowanych – czyli 36,6% nauczycieli akademickich, z tego w CM 183 (czyli 21% kadry nauczycielskiej CM). UMK zatrudnia też 1093 doktorów, z tego 454 w CM oraz 408 magistrów i lekarzy, z tego w CM 228.

W roku akademickim 2023/2024 roku tytuł profesora otrzymało 22 pracowników UMK, z tego 7 z CM, 35 uzyskało stopień doktora habilitowanego, z czego 15 z CM, a 50 stopień doktora, w tym 29 z Bydgoszczy. W kadrze akademickiej UMK jest 73 cudzoziemców.

Uniwersytet należy do grona dziesięciu laureatów pierwszego konkursu Inicjatywy Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Naukowcy z UMK uzyskali 794 granty Narodowego Centrum Nauki, co daje im pod tym względem 7 miejsce w kraju. Wartość projektów finansowanych przez NCN wynosi 394,5 mln zł, co stawia UMK na 8 miejscu w Polsce. W ostatniej ewaluacji UMK poddał ocenie 29 dyscyplin naukowych (najwięcej w kraju), uzyskując 4 kategorie A+, 12 kategorii A i 13 kategorii B+, co oznacza, że nadal spełnia obowiązujące kryteria uczelni badawczej i posiada uprawnienia do nawania stopni naukowych w 29 dyscyplinach.

W 2023 roku Uniwersytet Mikołaja Kopernika administrował 152 budynkami: 96 w Toruniu i 56 poza nim, o łącznej powierzchni użytkowej 259 871,93 m² oraz 537,5 ha gruntów. W Bydgoszczy na gruntach o powierzchni prawie 29 ha zlokalizowane były 63 budynki uniwersyteckie o powierzchni 160 375,64 m². Uniwersytet dysponuje w tym mieście dwoma szpitalami klinicznymi.

(p)



Fot. A. Romaniński

Miejsce PAN w Europie i na świecie

Prof. Andrzej Pilc z Instytutu Farmakologii PAN im. J. Maja oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum, przedstawia miejsce polskich instytucji naukowych w Europie i na świecie, uwzględniając wskaźnik liczby cytowań jako miarę „rankingu”.

W analizie opublikowanej w kwartalniku „Nauka” (2024/3, 25–32) pokazano, że Polska Akademia Nauk (liczona jako suma wszystkich jej jednostek) zdecydowanie przoduje w kraju pod względem liczby cytowań prac naukowych, który to wskaźnik jest jedną z najlepszych miar jakości publikacji. W gorącej dyskusji na temat metod ewaluacji nauki warto wrócić do tej miary, wspomaganie się liczbą cytowań w ocenie jakości badań naukowych jest szczególnie godne polecenia. Oczywiście w dziedzinach humanistycznych parametr ten nie jest tak ważny jak w innych dziedzinach. Czy jest istotne, ile cytatów dostali laureaci nagrody Nobla z literatury albo twórcy wielki dzieł muzycznych, malarskich czy rzeźbiarskich? Natomiast zwłaszcza w naukach ścisłych i przyrodniczych cytowania są dobrą (może najlepszą) miarą wpływu naukowca na rozwój badań.

Tutaj postanowiono porównać liczbę cytowań, jaką uzyskali badacze z Polskiej Akademii Nauk do cytowań wszystkich europejskich placówek naukowych, a w drugim etapie – wszystkich instytucji naukowych na świecie. Analiza dotyczy lat 2021–2024, czyli okresu zbliżonego długością do okresu następnej ewaluacji, i została wykonana 29.01.2025 (data jest ważna, bo w przypadku instytucji z 3 milionami cytowań w okresie 4 lat, każdy dzień to ponad 2000 cytowań).

W popularnym u nas rankingu szanghajskim najlepsze polskie uczelnie (uniwersytety Jagielloński i Warszawski) znajdują się na pozycjach w przedziale 401–500, ale ranking ten dotyczy wyłącznie placówek uniwersyteckich. Nie uwzględnia on jednostek naukowych, takich jak narodowe centra badawcze (przykład francuski CNRS – Centre National de la Recherche Scientifique) czy akademie nauk (np. PAN).

W bazie SciVal w wyszukiwarce Scopus jest 8206 europejskich instytucji naukowych w 50 krajach i terytoriach z Grenlandią, Watykanem i Wyspami Owczymi włącznie (Tab. I). Najwięcej instytucji naukowych ma Wielka Brytania – 1734, na drugim miejscu są Niemcy – 1217, a na trzecim Rosja – 567. Polska z 269 placówkami jest na 9. miejscu w Europie (za Holandią, a przed Szwajcarią).

W Europie są 702 jednostki (8,6% europejskich placówek naukowych), które uzyskały ponad 30 tys. cytowań. Nasz kraj miał w tej grupie 29 przedstawicieli i zajmował 6. miejsce na kontynencie. Naj-

więcej wysoko cytowanych jednostek (119) pochodziło z Wielkiej Brytanii, na drugim miejscu była Francja, a na trzecim Włochy (kolejno 92 i 84 placówki).

Najwięcej cytowań – ponad 2,5 mln – uzyskał francuski CNRS, na drugim miejscu był University College London, mający ponad milion cytowań. Uwagę zwraca wiodąca w swoich krajach pozycja narodowych centrów badawczych, takich jak CNRS, CSIC (Consejo Superior de Investigaciones Científicas – Wyższa Rada Badań Naukowych) – największa hiszpańska publiczna instytucja zajmująca się badaniami naukowymi i technicznymi, czy włoski CNR (Consiglio Nazionale delle Ricerche – Narodowa Rada Badań), które są, tak jak CNRS, na pierwszych miejscach w swoich krajach, uzyskując odpowiednio 654 tys. oraz 453 tys. cytowań. Pierwszą z naszych instytucji naukowych (Tab. II), a na 85. miejscu w Europie, jest Polska Akademia Nauk (247 tys. cytowań). Na miejscu 186 znalazł się Uniwersytet Jagielloński (132 tys. cyt.) a na 275 Uniwersytet Warszawski (88 tys. cyt.). Każda z tych instytucji zatrudnia podobną liczbę naukowców, a zatem to nie ona decyduje o liczbie cytowań.

Na pierwszym miejscu w świecie (Tab. III) pod względem liczby cytowań jest Chińska Akademia Nauk (3,488 mln cytowań), na drugim francuski CNRS (2,58 mln), a na trzecim Uniwersytet Harvarda (1,77 mln), zajmujący 1 miejsce w rankingu szanghajskim. Polska Akademia Nauk jest na 258 miejscu na świecie. Uderzającym jest wynik Chińskiej Akademii Nauk. Wygląda na to, że ktoś w Chinach zrozumiał znaczenie nauki dla wzrostu gospodarczego i wydatki na badania w tym kraju wzrosły w okresie od 2010 do 2024 z 1,78% do 2,68% PKB (patrz: China: R&D spending ratio to GDP 2024 | Statista), a przecież „Każdy wzrost udziału wydatków na naukę w PKB o 0,1 punkt procentowy oznacza wyższy wzrost PKB między ok. 0,8 punktu procentowego do ok. 1,3 punktu procentowego” (patrz: Złotówka na naukę to 13 zł PKB. Ale w Polsce te wydatki są zbyt małe). W Polsce nakłady na naukę wyniosły 1,1% PKB w roku 2023. Jeżeli armia potrzebuje 100 miliardów na zbrojenia, a wydamy najpierw 10 miliardów na naukę, to te 100 szybko się znajdzie. Nauka jest przyszłością świata i ten kto to rozumie, zwycięży. A wracając do PAN, zamiast reformować Akademię, znacząco ją dofinansujemy, podobnie jak i inne nasze placówki badawcze.

Tabela 1. Najczęściej cytowane instytucje badawcze w krajach Europy

Kraj	Liczba jedn. nauk.	Jedn. > 30 000 cyt	Najwięcej cytowań w danym kraju	liczba cyt
Wielka Brytania (UK)	1 734	119	University College London	1 074 748
Niemcy	1 217	81	Technical University of Munich	455 174
Rosja	567	25	Russian Academy of Sciences	639 725
Francja	562	92	CNRS	2 065 936
Hiszpania	559	74	CSIC	654 697
Włochy	416	84	National Research Council of Italy	453 467
Turcja	280	24	Hacettepe University	89 872
Holandia	279	20	University of Amsterdam	576 798
Polska	269	29	Polish Academy of Sciences	247 080
Szwajcaria	248	16	Swiss Federal Institute of Technology Zurich	484 227
Ukraina	217	1	National Acad. Sci. of Ukraine	63 159
Szwecja	183	13	Karolinska Institutet	482 597
Austria	166	13	Medical University of Vienna	225 973
Belgia	141	12	KU Leuven	519 475

Dania	134	7	University of Copenhagen	603 185
Portugalia	127	9	University of Lisbon	291 794
Irlandia	119	8	University College Dublin	204 855
Norwegia	113	11	University of Oslo	342 544
Grecja	103	10	NatL& Kapod. Univ. of Athens	267 147
Finlandia	89	11	University of Helsinki	341 760
Rumunia	82	7	Carol Davila University of Med..	84 867
Czechy	76	10	Charles University	239 885
Węgry	76	7	Semmelweis University	88 330
Słowacja	53	2	Comenius University	56 646
Bułgaria	43	1	Bulgarian Academy of Sciences	54 902
Łotwa	38	0	University of Latvia	29 236
Cypr	36	2	University of Cyprus	55 485
Chorwacja	33	3	University of Zagreb	129 833
Słowenia	33	2	University of Ljubljana	146 747
Luksemburg	30	1	University of Luxembourg	65 959
Białoruś	24	0	Belarus Academy of Sciences	23 949
Serbia	23	3	University of Belgrade	168 649
Islandia	19	1	University of Iceland	58 727
Litwa	19	1	Vilnius University	66 104
Estonia	18	2	University of Tartu	106 895
Bosnia and Herzegovina	17	0	University of Sarajevo	15 972
Mołdawia	12	0	State University of Med.	3 998
Albania	9	0	Agricultural University of Tirana	4 528
Macedonia Północna	7	0	SS Cyril and Methodius Univ. Skopje	17 348
Malta	5	1	University of Malta	40 784
Lichtensztein	4	0	University of Liechtenstein	2 778
Faroe Islands	3	0	University of the Faroe Islands	3 836
Gibraltar	3	0	University of Gibraltar	1 887
Jersey	3	0	Durrell Wildlife Conservation Trust	833
Monako	3	0	Center Scientific De Monaco	8 856
Andorra	2	0	Hospital Nostra Senyora de Meritxell	407
Grenlandia	2	0	Greenland Inst. of Natural Res.	2 958
Watykan	2	0	Vatican Observatory	2 489
Czarnogóra	1	0	University of Montenegro	14 883
San Marino	1	0	Univ. of Republic of San Marino	773
	8 200	702		

Tabela 2. Trzy najczęściej cytowane instytucje badawcze w kraju i ich miejsce w Europie

Instytucja	N prac	N cyt	cyt/publ	Miejsce w EU
Polish Academy of Sciences	31 386	247 080	7,9	85
Jagiellonian University in Kraków	18 781	132 379	7	186
University of Warsaw	14 631	88 449	6	275

Tabela 3. Najczęściej cytowane instytucje naukowe na kontynentach i miejsce PAN na świecie

	Instytucja	Sektor	Kraj/Region	N prac	Cytowania	Cyt\publ	Miejsce/świat
Azja	Chinese Academy of Sciences	gov.	Chiny	320 337	3 488 996	10,9	1
Europa	CNRS	gov.	Francja	258 058	2 065 936	8	2
Ameryka Pn.	Harvard University	academic	USA	133 578	1 772 421	13,3	3
Australia	Monash University	academic	Australia	51 105	649 532	12,7	nie bad.
Ameryka Pd	Universidade de São Paulo	academic	Brazylia	70 229	470 241	6,7	nie bad.
Śr Wschód	King Saud University	academic	Arabia Saud.	48 116	459 089	9,5	nie bad.
Afryka	Cairo University	academic	Egipt	27 147	222 227	8,2	nie bad.
Polska	PAN		Polska	31 386	247 080	7,9	258

Mariaż nauki i biznesu

Prof. dr hab. Alojzy Z. Nowak, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawia refleksje na temat mariażu nauki z biznesem w świetle wydarzeń mających miejsce podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, którego Uniwersytet Warszawski był partnerem naukowym.

Uniwersytet Warszawski, we współpracy z innymi czołowymi polskimi uczelniami, jest aktywny w tworzeniu silnego środowiska krajowego i zagranicznego dla wspierania rozwoju badań podstawowych i aplikacyjnych oraz komercjalizacji ich wyników, jak również tworzenia start-upów, dających szansę na jeszcze ściślejsze zbliżenie nauki i biznesu. Widać w tej materii także coraz większe zrozumienie i wsparcie, zarówno instytucji rządowych, jak i firm działających w Polsce. Jest to szczególnie ważne teraz, w dobie szybkiego rozwoju sztucznej inteligencji oraz wzrastającej roli innowacyjności i przedsiębiorczości. Na Uniwersytecie Warszawskim i wielu innych polskich uczelniach, by wspomnieć tylko o środowisku krakowskim, wrocławskim, poznańskim czy lubelskim, łączenie nauki z biznesem jest ważnym elementem strategii rozwojowej. Szkoły wyższe nie tylko kształcą studentów zgodnie z potrzebami rynku pracy, ale w coraz większym stopniu chcą wyprzedzać potrzeby gospodarki. Dla sukcesu modernizacyjnego Polski ważne jest proinnowacyjne i przedsiębiorcze nastawienie absolwentów uczelni, osób tworzących konkurujące na rynku firmy publiczne i prywatne, ale także konsumentów. Oczywiście na UW w procesie kształcenia uważnie analizujemy zmiany, jakie zachodzą m.in. w związku z rozwojem sztucznej inteligencji. Warto wspomnieć tylko, że również kwantowe technologie badane przez naukowców z mojego uniwersytetu przyczyniają się do rozwoju prototypu odbiornika dla misji kosmicznych. Projekt kierowany przez dr. hab. Michała Parniaka z Centrum Optycznych Technologii Kwantowych w Centrum Nowych Technologii oraz Wydziału Fizyki UW jest realizowany na zlecenie Europejskiej Agencji Kosmicznej.

W tegorocznym Forum Ekonomicznym w Davos w delegacji UW, której przewodniczyłem, uczestniczył kanclerz Robert Grey, a także dr hab. Piotr Sankowski, prof. UW, laureat grantów ERC z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW. Jest on autorem ponad 100 wybitnych publikacji z zakresu informatyki oraz kilkudziesięciu z zakresu fizyki. W Davos nasz uniwersytet był jednocześnie partnerem Polish Business Hub, stworzonym z inicjatywy polskich przedsiębiorców jako miejsce spotkań i dyskusji ludzi biznesu, naukowców, polityków i dziennikarzy z całego świata. Odbyliśmy rozmowy m.in. z premierem Belgii Aleksandrem De Croo oraz przewodniczącą European Research Council prof. Marią Leptin, a także z wieloma noblistami z różnych dziedzin. Uniwersytet Warszawski, obok University of Cambridge, University of Tokyo, University of Applied Sciences of the Grison, Google i Cisco, był partnerem AI House. Dyskusje na Forum w Davos, w odniesieniu do rozwoju nauki, innowacyjnych procesów oraz współpracy z wykorzystaniem biznesu jako jednym ze źródeł finansowania badań naukowych w pełni potwierdziły konieczność i zasadność wielostronnej współpracy nauki z biznesem. Mówili o tym zarówno przebywający w Davos nobliści, jak i liczne środowiska polityczne oraz naukowo-eksperckie. Prof. Piotr Sankowski w swoim wystąpieniu podkreślał, jak ważne dla wsparcia młodych badaczy jest zwiększenie finansowania ze strony European Research Council. W szczególności istotne jest zwiększenie finansowania prac nad sztuczną inteligencją, ponieważ rozwój tej dziedziny przyspieszy badania nad innymi technologiami. Al zmienni wkrótce także sposób prowadzenia badań. Jest oczywiste, że odpowiednie inwestycje w naukę i innowacje mogą znacząco zwiększyć konkurencyjność Europy. Ja ze swej strony podkreśliłem, że ma to znaczenie w sytuacji, kiedy prezydent Donald Trump – wraz z wielkimi korpo-

racjami – zaoferował 500 mld dolarów na sfinansowanie wydatków na infrastrukturę dla potrzeb rozwoju sztucznej inteligencji w USA.

Uznaje się powszechnie, że wydatki na badania naukowe nie są kosztem, a inwestycją, która w zależności od sytuacji i dyscypliny zwraca się od trzech – do siedmiokrotności w stosunkowo krótkim okresie. Nie mówiąc już o tym, że bez rozwoju badań naukowych nie będzie ani rozwoju gospodarczego, ani społecznego, a przynajmniej nie stanie się to w odpowiednio szybkim dla potrzeb i korzyści społecznych tempie. Poza analizą technik wspierania badań naukowych, w Davos wskazywano także na potrzebę tworzenia i rozwoju tzw. kapitału żelaznego, finansowanego na wzór anglosaski zarówno ze środków publicznych, jak i prywatnych. Takiemu podejściu towarzyszy głębokie przekonanie, że tylko łączenie kapitału publicznego z prywatnym daje szansę wykreowania wystarczających środków dla wspierania i rozwoju badań naukowych. W szczególności rozwiązania amerykańskie dotyczące tworzenia infrastruktury finansowej dla potrzeb rozwoju sztucznej inteligencji w pełni to podejście potwierdzają.

Tegoroczne spotkanie w Davos dowodzi, że rozwój sztucznej inteligencji zmienia świat, naukę i podejście do edukacji. Polska pod względem poziomu technologii i stopnia innowacyjności posiada już pewne szanse dalszego rozwoju: mamy kilka znakomitych ośrodków akademickich prowadzących badania nad sztuczną inteligencją, cieszących się uznaniem na rynku międzynarodowym. W trakcie Forum w Davos w Polish Business Hub odbyło się interesujące spotkanie i dyskusja z wybitnym ekspertem Jonasem Andrulisem z Aleph Alpha na temat stanu zaawansowania rozwoju i możliwości wykorzystania LLM, czyli *Large Language Model*, który jest typem algorytmu sztucznej inteligencji, wykorzystującym m.in. techniki Deep Learningu. Dyskusja ta oparta była nie tylko na założeniach teoretycznych, ale też na wykorzystaniu elementów i doświadczeń praktycznych, także tych związanych z wykorzystaniem ChatGPT. Jonas Andrulis w sposób czytelny, a jednocześnie bardzo praktyczny, objaśniał możliwości wykorzystania LLM w codziennej działalności gospodarczej, związanej np. z usługami, energetyką czy mediami. Robert Grey zwrócił uwagę na to, że LLM powinny również transformować edukację, umożliwiając spersonalizowane nauczanie, usprawniając zadania administracyjne i wspierając nowoczesne badania naukowe.

Trzeba pamiętać zarazem, że sztuczna inteligencja może generować zasoby nieprawdziwych informacji, a nawet powodować atomizację społeczeństwa. Zatem wraz z nieodwracalnym rozwojem tej technologii należy stworzyć niezbędne rozwiązania prawne i systemowe. Bez ostrożnego i etycznego wdrażania AI umożliwi co prawda tworzenie nowych wartości, ale zarazem może tworzyć dylematy moralne i wcale nie musi być przysłowiowym Świętym Graalem. Uniwersytet Warszawski stara się złożyć doświadczenia z rozwoju AI dobrze diagnozować. Z jednej strony kształci bowiem znakomitych programistów i osoby współtworzące AI na poziomie światowym, z drugiej edukuje zarówno studentów, jak i osoby spoza środowiska akademickiego, w celu pełnego i bezpiecznego wykorzystania sztucznej inteligencji.

Klasycznie traktowane studia nie dają absolwentom spójnej przewagi na rynku pracy. Dziś z powodu szybko dokonujących się zmian otoczenia okazuje się, że nabywanie praktycznych umiejętności jest często ważniejsze niż nadmiar zajęć teoretycznych, które do tej pory królowały w obszarze edukacji. Wiele firm szuka kandyda-

tów posiadających konkretne zalety i doświadczenia praktyczne, np. w zakresie programowania, zarządzania projektami, znajomości języków obcych, które można szybko wykorzystać w pracy, zamiast ogólnej wiedzy teoretycznej zdobytej na studiach. Studenci lub pracownicy, nie znajdując tego na studiach, szukają edukacji alternatywnej, stąd masowe korzystanie z kursów online, bootcampów czy zdobywanie często wątpliwej jakości certyfikatów, które oferują szybkie i ukierunkowane na rynek pracy szkolenia. Są one jednak bardziej dopasowane do potrzeb pracodawców niż to, co oferuje tradycyjna edukacja akademicka. Do niedawna posiadanie dyplomu było wystarczającą gwarancją prestiżu czy szansą zdobycia dobrej pracy. Przy zwiększonej liczbie absolwentów i relatywnie wysokim poziomie wykształcenia w społeczeństwie, dyplom uczelni, którego posiadanie stało się w pewnym sensie standardem, nie wyróżnia już tak mocno jego posiadacza na tle innych kandydatów do pracy. To, co przeszkadza w zdobyciu dobrej pracy, to często brak doświadczenia zawodowego. W praktyce rekrutacyjnej, mimo ukończonych studiów, osoby bez doświadczenia zawodowego mają trudności w znalezieniu pracy, ponieważ pracodawcy preferują kandydatów z praktycznym stażem lub doświadczeniem zawodowym. Na to wszystko nakłada się szybkie tempo zmian technologicznych i konieczność nadążania za nimi. W wielu branżach i obszarach życia nowe narzędzia, technologie i trendy pojawiają się bardzo szybko, a wykształcenie formalne zwykle nie nadąża za tymi zmianami. W świecie rewolucji technologicznej to umiejętności miękkie stają się elementem, który współczesny rynek pracy ceni coraz bardziej. Takie cechy osobowości jak kreatywność, zdolności do pracy w zespole, elastyczność i umiejętność rozwiązywania problemów to atuty bardzo poszukiwane i doceniane. Wobec tego sama wiedza akademicka już nie wystarcza, a potwierdzający ją dyplom studiów nie jest już decydujący.

Jest więc teraz niezwykle ważne, aby środowisko akademickie, a także rząd, organizacje polityczne i społeczne, które współkształtują edukacyjnie nasze przyszłe pokolenia, były w większym stopniu otwarte na zmiany paradygmatów w edukacji i nauce. Inaczej trzeba teraz podejść do zarządzania całokształtem systemu edukacji. Dobrze jest zadać pytanie, dlaczego wciąż nie mamy polskiego Google'a czy Microsoftu, tj. firm, które osiągnęłyby sukces w skali światowej. Co stoi temu na przeszkodzie?

Większość studentów w Polsce kończy uczelnie publiczne, co jest związane z ponoszonymi przez państwo dużymi kosztami związa-

nymi z wykształceniem osoby, dla której lata spędzone na uczelni nie zawsze stanowią atut, a czasami mogą się stać słabością. Mówi się o tym, że kierunki studiów i ich programy nie są dostosowane do potrzeb współczesnego rynku. Dlatego profile kształcenia, na które jest szczególne zapotrzebowanie i programy kierunków powinny powstawać przy współpracy z ministerstwami, ale i biznesem, aby odpowiadały one na konkretne zapotrzebowania i dynamiczny charakter rynku pracy. Dzięki temu studenci, wybierając określony kierunek studiów, będą mieli większą pewność, że będzie on nie tylko zgodny z ich zainteresowaniami, ale da im też przewagę w rywalizacji o miejsca pracy. Jestem przekonany, że doskonałym przykładem jest utworzenie wojskowego kierunku medycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Jest ogromne zapotrzebowanie na wojskowych medyków, lekarzy obytnych z medycyną pola walki, która to wiedza jest również wartościowa w codziennej pracy, np. w medycynie katastrof czy zdarzeniach masowych. Mając na względzie sięgającą tradycję Szpitala Ujazdowskiego współpracę między Wojskowym Instytutem Medycznym a Uniwersytem Warszawskim, naturalnym było utworzenie takiej specjalizacji. Jedną z wielkich korzyści jest to, że studenci kierunku lekarskiego odbywają praktyki w największym i najnowocześniejszym szpitalu wojskowym w Polsce, korzystając również z najlepszej bazy nauk podstawowych. Takie rozwiązanie – edukacja celowana – zabezpiecza szybkie wykształcenie wojskowych medyków. Już za 7 lat będziemy mogli zatrudnić pierwszy rocznik absolwentów.

Podobne do tego rozwiązania są od dawna praktykowane w wielu krajach, na uniwersytetach w USA, Izraelu oraz w wielu państwach europejskich. Przyszłe pokolenia absolwentów tak ukończone studia traktują jako realny atut na rynku pracy w sektorze prywatnym czy publicznym. Problematykę szerszego upowszechnienia edukacji celowanej należy postrzegać też w skali makro. Jest w tej sferze konieczność szerszej współpracy uczelni z odpowiednimi organami administracji rządowej. Za wzór można wziąć choćby amerykańską National Science Foundation, dzięki której uruchomiono program dla prac badawczo-rozwojowych bazujących na wizjonerskich badaniach podstawowych, charakteryzujących się wysokim stopniem ryzyka typu FET (Future Emerging Technologies). Nasze Narodowe Centrum Nauki, przyznające środki na najlepsze pomysły badawcze, jest jednym z pożądaných i udanych efektów częściowej transformacji nauki i szkolnictwa wyższego ostatniej dekady.



Przedstawiciele Uniwersytetu Warszawskiego podczas wydarzeń towarzyszących 55. Światowemu Forum Ekonomicznemu w Davos. Od lewej: Robert Grey, kanclerz UW, dr Tomasz Ludwicki, p.o. Prezesa Zarządu LOT, prof. Piotr Sankowski z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW, prof. Alojzy Z. Nowak, rektor UW.

Uniwersytet, który chce się zmieniać

Chcemy być uczelnią wyznaczającą trendy, liderką edukacji niepublicznej i partnerką zmiany społecznej - o strategicznych działaniach Uniwersytetu SWPS na najbliższe lata, pisze dr Ewa Ger, jego dyrektor generalna.

O tym, jaką uczelnią będzie za kilka lat Uniwersytet SWPS, zdecydowała nasza społeczność. Ponad 130 osób reprezentujących różne jednostki uczestniczyło w procesie tworzenia nowej strategii na lata 2024-2029. Cele i zadania wypracowaliśmy w trakcie warsztatów kończących te prace. Wspólnie wyznaczyliśmy kierunek zmian w każdym z obszarów naszej działalności. I konsekwentnie - skoro partycypacyjnie tworzyliśmy strategię - partycypacyjnie będziemy ją realizować.

Strategiczne działania podzieliliśmy na pięć obszarów: edukacja akademicka; nauka i sztuka; działalność publiczna; wspólnota uniwersytecka oraz środowisko naturalne. W każdym postawiliśmy konkretne cele. Kontynuujemy oferowanie wysokiej jakości wielodzinowe i interdyscyplinarne nauczanie, z możliwością samodzielnego kształtowania ścieżek edukacyjnych. Dążymy do uzyskania statusu uczelni badawczej, mogącej skutecznie konkurować i współpracować z wiodącymi ośrodkami akademickimi w Europie. Chcemy, aby nasza działalność publiczna miała istotny i widoczny wpływ na społeczeństwo, państwo i biznes.

Dużą wagę przykładamy do wzmacniania wspólnoty uniwersyteckiej, której podstawą jest troska o innych, dobrostan, różnorodność i wzajemny szacunek. Zamierzamy odpowiedzieć na wyzwania klimatyczne, stając się „uczelnią zieloną”, przeciwdziałającą zmianom klimatycznym oraz wspierającą adaptację społeczeństwa do ich skutków.

Dążymy do tego, aby za pięć lat USWPS był wielokampusową uczelnią badawczą, liderką edukacji niepublicznej i partnerką zmiany społecznej. W naszej strategii umieściliśmy deklarację: „Jesteśmy dla innych”, bo chcemy poprzez działalność edukacyjną, naukową, artystyczną i publiczną wraz z naszym otoczeniem aktywnie budować kapitał społeczny i wspierać cele zrównoważonego rozwoju – ucząc krytycznego myślenia, towarzysząc w edukacji przez całe życie.

W centrum nowej strategii Uniwersytetu SWPS znalazł się obszar współdziałania z otoczeniem. Dotychczas udało się m.in. powołać Centrum Edukacji Otwartej, realizujące (według akademickich standardów) ideę lifelong learning; rozwinąć działalność Centrum Transferu Wiedzy (m.in. z takimi projektami, jak Startup Booster for Social Impact, czy Inkubator Rozwoju, w którym USWPS jest liderem); powołać do życia kilka liczących się na rynku spin-offów; zrealizować setki projektów z biznesem, instytucjami publicznymi, podmiotami kultury i NGO's; zwiększyć liczbę realizowanych projektów badawczo-wdrożeniowych; rozwinąć działalność Kliniki Terapii Poznawczo-Behawioralnej Uniwersytetu SWPS, gdzie liczba usług terapeutycznych przekroczyła 2 tys. miesięcznie; uruchomić nowy model współpracy z przedsiębiorcami w ramach działalności Biura Karier, a wreszcie odnowić działalność naszej Fundacji Pro Akademia.

Między innymi tak rozumiemy naszą uniwersytecką misję - jako służbę całemu społeczeństwu. Tym różni się nasza nowa strategia od poprzedniej, w której pod hasłem „My, Uniwersytet”, koncentrowaliśmy się raczej na rozwoju uczelni jako silnej, stabilnej, bezpiecznej instytucji i wspólnoty. Teraz chcemy zaakcentować wzmacnianie

obszaru współpracy z otoczeniem: z innymi uczelniami publicznymi i niepublicznymi, instytucjami edukacji i kultury, rządem, samorządami, przedsiębiorstwami i innymi podmiotami otoczenia społeczno-gospodarczego, aby wspólnie realizować ponaduczelniane działania na rzecz pozytywnej zmiany społecznej. Ta misja będzie miała znacznie silniejszy realny wpływ, gdy realizowana będzie we współpracy z naszymi partnerami.

„Uniwersytet bez ścian” to nie tylko uniwersytet współpracujący, uczący innych, ale także uniwersytet uczący się, który jest zdolny do szybkiego i skutecznego wprowadzania zmian wewnętrznych poprzez nowoczesne standardy zarządzania, partycypację, czy transformację cyfrową.

W każdym z obszarów wskazaliśmy konkretne działania wraz z miernikami ich realizacji oraz przypisaliśmy je jednostkom organizacyjnym uczelni. Wpisujemy je w codzienny tryb pracy uczelni, bo strategia nie jest kolejnym realizowanym projektem. Staramy się, żeby nowa strategia, która ma zmienić uniwersytet, była realizowana m.in. poprzez zmianę zadań jednostek zarówno w pionie akademickim, jak i w pionie organizacyjnym. Zadania strategiczne wpisujemy w codzienne obowiązki.

Aby osiągać synergii pomiędzy obszarami, powołaliśmy koordynatorów, których zadaniem jest dbanie o to, żeby działania nie powtarzały się. Mają oni maksymalizować współpracę centrów, wydziałów, instytutów, działów, biur i innych jednostek w strukturze uniwersytetu. Mają też zrobić wszystko, by strategia nie była martwym dokumentem, ale drogowskazem nadającym kierunek zmian. Mają też dbać o to, by działania równolegle toczyły się w konkretnych jednostkach organizacyjnych uczelni.

Jakość i postępowość edukacji i badań ma kluczowe znaczenie w budowaniu demokracji i społeczeństwa obywatelskiego. Im gorzej wyedukowane jest społeczeństwo, tym bardziej jest podatne na manipulację. Dlatego silne, dobre i autonomiczne uczelnie, które w dobie rozwijających się technologii będą upowszechniały humanistyczne wartości, są niezbędne, aby kształtować krytyczne i świadome społeczeństwo, takie, które jest inkluzywne, otwarte na różnorodność kulturową, światopoglądową i gotowe do odważnego podejmowania wyzwań. To jest sedno naszych strategicznych działań. W nich właśnie widzimy dla naszej uczelni rolę liderki w edukacji niepublicznej i partnerki zmiany społecznej. Symbolicznie i świadomie użyliśmy w najważniejszym elemencie strategii - jej wizji - feminytywów, by zwrócić uwagę na konieczność transformacji systemu szkolnictwa wyższego, ale i samych uczelni, sprowokować otwartą dyskusję o odważnych i koniecznych kierunkach zmian, by nie okazało się, że jest za późno, aby uczelnie na powrót były niekwestionowanym autorytetem.

Realizując naszą strategię, wprowadzamy rozwiązania, które mogą służyć także innym uczelniom. Chętnie będziemy inspirować i dzielić się dobrymi praktykami. Chętnie też będziemy słuchać i uczyć się od innych. Potrzebujemy forum wymiany dobrych praktyk w zarządzaniu uczelniami przyszłości. Potrzebujemy też współpracy pomiędzy uczelniami niepublicznymi, publicznymi i innymi podmiotami, aby w pełni służyć społeczeństwu.



Fot. Uniwersytet SWPS

Wrócili z Turynu z 14 medalami

Sześciokrotnie stawali reprezentanci Polski na najwyższym stopniu podium podczas 32. Zimowej Uniwersjady w Turynie. W sumie nasza ekipa wywalczyła 14 medali.

Największą gwiazdą Akademickiej Reprezentacji Polski była Izabela Marcisz, która w biegach narciarskich zdobyła cztery medale, w tym dwa z najcenniejszego kruszcu. Studentka krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego miała znaczący wpływ na to, że Polska zakończyła udział w zawodach w ścisłej czołówce klasyfikacji medalowej. Zajęliśmy wysokie 6. miejsce, za Francją, Koreą, Finlandią, Japonią i Niemcami.

Polacy zdobyli w sumie czternaście krążków, w tym sześć złotych. Oprócz Marcisz, dwukrotnie na najwyższym stopniu podium stanęli: biathlonistka Barbara Skrobiszewska (AWF Katowice) i parnarciarz alpejski Michał Gołaś (AWF Kraków), który na stoku rywalizował w parze z przewodnikiem Kacprem Walasem.

Odkryciem polskiej kadry była biathlonistka Amelia Liszka (AWF Kraków), na której medale nikt specjalnie nie liczył, a wywalczyła aż trzy srebra. Drugi z tych medali był dwusetnym zdobyty przez polskich sportowców-studentów w historii startów w zimowych uniwersjadach. Do polskiego worka trafiło też pięć brązowych medali: dwa wywalczyła parabiegaczka narciarska Aneta Kobryń (AWF Warszawa), a po jednym biathlonowa sztafeta mieszana Anna Nęcza-Kubiniec (Uczelnia Korczaka Akademia Nauk Stosowanych w Warszawie) i Jakub Potoniec (Karkonoska Akademia Nauk Stosowanych w Jeleń Górze), sprinterska drużyna mieszana Izabela Marcisz (AWF Kraków) i Łukasz Gazurek (AWF Katowice) oraz Marcisz indywidualnie w biegu ze startu masowego na 20 km.

– Bez wątpienia ten start należy uznać za bardzo udany, bo choć w poprzedniej uniwersjadzie w Lake Placid wywalczyliśmy siedemnaście krążków, to tam mieliśmy nasze mocne dyscypliny sportu, jak skoki narciarskie i łyżwiarstwo szybkie na długim torze. Włoscy organizatorzy, którzy mają wpływ na wybór dyscyplin, prawdopodobnie z przyczyn infrastrukturalnych nie zdecydowali się na wpisanie do programu skoków i łyżwiarstwa szybkiego, ale nasi reprezentanci w innych sportach pokazali, że też są mocni – mówi Andrzej Burzyński, zastępca szefa polskiej misji uniwersjadowej.

Tegoroczna uniwersjada była nietypowa, bo sportowcy byli porozrzucani niemal po całym Piemencie, np. łyżwiarze figurowi i zawodnicy w short tracku rywalizowali w Turynie, hokeiści w Torre Pelice i Pinerolo, biegacze i biathloniści w Pragelato, a narciarze alpejscy i snowboardziści w Bardonecchii. Była też historyczna – po raz pierwszy rywalizowali w niej sportowcy z niepełnosprawnościami.

– Dla mnie to naprawdę historyczna chwila i bardzo się cieszę, że dzięki Polce, pani Zofii Kiełpińskiej, FISU zdecydowała się na ten krok, który daje nam prawo udziału w największym sportowym święcie sportu studenckiego – mówiła Aneta Kobryń, dwukrotna medalistka w parabiegach narciarskich.

W polskiej kadrze odnotowano dwa ważne powroty: po 24 latach na uniwersjadę wrócili hokeiści, a po 14 żeńska drużyna w curlingu.

W 32. Zimowej Uniwersjadzie wzięło udział ok. 2 tys. sportowców z ponad 50 krajów, w tym ponad 80-osobowa ekipa biało-czerwonych.

Paweł Hochstim



Izabela Marcisz

Fot. P. Skraha

Dariusz Piekut, sekretarz generalny Akademickiego Związku Sportowego i szef misji uniwersjadowej:

To była nietypowa uniwersjada, która odbywała się w czterech różnych lokalizacjach. Takie rozproszenie nie służyło spójności miejsca i czasu, ale mieliśmy bardzo dobrą młodzież, zdobyliśmy 14 medali. To bardzo dobry wynik, a na podkreślenie zasługuje fakt, że po raz pierwszy była to uniwersjada integracyjna, w której razem ze studentami sportowcami pełnosprawnymi startowali sportowcy z niepełnosprawnościami. Oczywiście w swoich kategoriach, ale w tym samym miejscu, na tych samych trasach. Nasi reprezentanci w tej grupie, Aneta Kobryń, narciarka klasyczna, i Michał Gołaś w narciarstwie alpejskim – wraz ze swoimi przewodnikami, gdyż oboje mają kłopoty ze wzrokiem –

zdołali po dwa medale: Aneta dwa brązowe, a Michał dwa złote. Złote medale Izabeli Marcisz w biegach narciarskich i Barbary Skrobiszewskiej w biathlonie przypominają nam dawne sukcesy Justyny Kowalczyk i Tomka Sikory, którzy swoje wielkie kariery sportowe rozpoczęli w Akademickim Związku Sportowym, a medale zdobywali na zimowych uniwersjadach. Po raz pierwszy od 24 lat mieliśmy reprezentację hokejową. To efekt pracy, którą wykonujemy w obszarze tego sportu, dzięki nowemu projektowi Ligi Akademickiej. Wielkich sukcesów nie było, ale nasi nie oddawali meczów bez walki i było trochę emocji. Potencjał jest duży.

Uniwersytet Gdański ma 55 lat

Uniwersytet Gdański powstał 20 marca w 1970 roku z połączenia dwóch istniejących wcześniej w Trójmieście uczelni publicznych: Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku.

W 1970 roku Uniwersytet rozpoczął działalność, mając w swojej strukturze 5 wydziałów: 3 odziedziczone po WSP: Humanistyczny, Matematyki, Fizyki i Chemii oraz Biologii i Nauk o Ziemi oraz 2 po WSE: Ekonomiki Produkcji i Ekonomiki Transportu. Pracowało na nich 23 profesorów i 49 doktorów habilitowanych, a kształciło się niecałe 9,5 tys. studentów. Z czasem strukturę uniwersytetu uzupełnił Wydział Prawa i Administracji, włączono także do niego Wyższe Studium Nauczycielskie. Pierwszym rektorem UG został prof. Janusz Sokołowski, były rektor WSP, jeden z twórców uniwersytetu, który kierował nim przez 11 lat (1970-1981). Do dziś UG miał 12 rektorów.

Uniwersytet Gdański od chwili powstania w 1970 roku pozostaje wierny swojej dewizie: *In mari via tua* (w morzu twoja droga), która podkreśla jego wielorakie związki z morzem. Znajdują one wyraz w działalności uczelni – od badań naukowych, przez kształcenie, relacje z otoczeniem, także gospodarczym, a na współpracy międzynarodowej kończąc.

Obecnie strukturę Uniwersytetu Gdańskiego tworzy 11 wydziałów: Biologii; Chemii; Ekonomiczny; Filologiczny; Historyczny; Matematyki, Fizyki i Informatyki; Nauk Społecznych; Oceanografii i Geografii; Prawa i Administracji oraz najstarszy tego typu i wciąż unikalny w skali kraju Międzyuczelniany Wydział Biotechnologii Uniwersytetu Gdańskiego i Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

– Współpraca w ramach międzyuczelnianego wydziału była jedną z inspiracji powołania Związku Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita wspólnie z Gdańskim Uniwersytetem Medycznym i Politechniką Gdańską. Zmierzamy do utworzenia federacji, która pozwoli nam, nie tracąc autonomii i tożsamości poszczególnych uczelni, zawiązać jeszcze ścisłą współpracę i w wielu obszarach działać jako jeden podmiot. To ogromna szansa na uwspólnianie potencjału badawczego, znaczącego polepszenia widoczności międzynarodowej czy stworzenia atrakcyjnego środowiska pracy i studiów dla zagranicznych naukowców, doktorantów i studentów – mówi prof. Piotr Stepnowski, rektor UG.

Na UG, jako jedynej uczelni w Polsce, działają aż dwie Międzynarodowe Agendy Badawcze: Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi (ang. ICCVS) oraz Międzynarodowe Centrum Teorii Technologii Kwantowych (ang. ICTQT). Uniwersytet Gdański posiada stacje badawcze: Stację Morską im. Prof. Krzysztofa Skóry w Helu, Stację Badania Wędrówek Ptaków oraz Centrum Monitoringu i Ochrony Wód w Borucinie. Strukturę uczelni uzupełniają: Krajowe Centrum Informatyki Kwantowej, zrzeszające już 12 uczelni i instytutów z całego kraju, z którym współpracuje dwóch Noblistów: Anton Zeilinger i prof. Alain Aspect, Biblioteka UG (z kilkoma innymi tego typu placówkami), Centrum Języków Obcych oraz Centrum Wychowania Fizycznego i Sportu. W 2024 roku otwarto Muzeum Uniwersytetu Gdańskiego ze stałą wystawą ilustrującą historię uczelni oraz wystawami czasowymi. Na UG działa też Akademicki Związek Sportowy UG, studenckie Radio MORS, Centrum Produkcji Filmowej i Dokumentalnej, Akademickie Centrum Kultury „Alternator”, w którym działają m.in. Akademicki Chór UG, Orkiestra Akademicka, Studio Wokalne i Centrum Filmowe im. Andrzeja Wajdy. Prawie 1500 osób uczestniczy w zajęciach Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Uniwersytet konstituują kadra akademicka i studenci. UG zatrudnia 3308 osób, w tym 1816 nauczycieli akademickich i 1492 pracowników administracji i obsługi. Jest w tej grupie 147 profesorów tytularnych, 440 doktorów habilitowanych, w tym 385 na stanowiskach profesorów uczelni, oraz 961 doktorów.

Na 98 kierunkach w 224 specjalnościach na UG kształcą się 19 852 studentów, w tym 15 711 na studiach stacjonarnych i 4141 na studiach niestacjonarnych. W tym gronie jest 550 studentów zagranicznych. Z oferty 71 studiów podyplomowych korzysta 1262 słuchaczy. W ciągu 55 lat uniwersytet wydał dyplomy 200 tysiącom absolwentów.

Po reformie kształcenia doktoranckiego, polegającej na powrocie szkół doktorskich na wydziały (czytaj w FA 7-8/2024), na UG jest 11 szkół doktorskich, w których doktoraty przygotowuje 400 doktorantów.

Obecnie w Uniwersytecie Gdańskim realizowanych jest 327 projektów finansowanych ze źródeł zewnętrznych w tym: 63 projekty międzynarodowe, z czego 49 z Komisji Europejskiej (pozostałe z innych agencji), oraz 264 projekty krajowe, z czego 202 z Narodo-

Prof. Piotr Stepnowski, rektor Uniwersytetu Gdańskiego:

Nasza działalność naukowa związana z morzem ma miejsce na każdym wydziale: od badań stricte oceanograficznych, poprzez prawo morskie, transport i logistykę morską, kulturę, literaturę i języki nadmorskie po „błękitną” biotechnologię i wiele, wiele innych unikatowych obszarów o rysie morskim bądź nadmorskim. Morskość naszej uczelni podkreśla także charakter naszego partnerstwa w ramach Inicjatywy Uniwersytetów Europejskich, które tworzymy z 8 innymi uniwersytetami położonymi w europejskich miastach nadmorskich. Nasz sojusz, pod nazwą European University of the Seas, w skrócie SEA EU, otrzymał finansowanie już w pierwszym konkursie programu, a w drugim był jednym z aliansów najwyżej ocenionych przez Komisję Europejską. Szczególnie cieszy mnie docenienie naszych dwóch wspólnych międzynarodowych rejsów badawczych w gronie naukowców z uczelni SEA EU na pokładzie statku badawczego UG r/v „Oceanograf” w 2022 i 2024 roku, które stały się swoistym „ambasadorem” potencjału nauki europejskiej, zwłaszcza w zakresie badań morza. Ale nasz sojusz europejski to też właśnie wdrażane trzy wspólne kierunki studiów i wspólny dyplom. To wielka sprawa i ogromne organizacyjne wyzwanie, ale faktycznie już za kilka lat będzie można zacząć studia na UG, odwiedzić kolejno trzy, cztery uczelnie np. we Francji, Portugalii i Chorwacji i dyplomować się np. na Uniwersytecie Maltańskim.



wego Centrum Nauki. Naukowcy z UG zdobyli łącznie 771 grantów NCN o wartości 476,8 mln zł. Daje to uczelni 9 miejsce w kraju wśród beneficjentów NCN pod względem liczby finansowanych projektów i 6 pod względem ich wartości. Od 2010 r. Uniwersytet Gdański podpisał ponad tysiąc umów na realizację projektów badawczych i badawczo-rozwojowych o wartości ponad 700 mln zł. Wdrożenie wyników badań naukowych wspiera Centrum Transferu Technologii, które opatentowało 239 wynalazków i 22 znaki towarowe oraz wzory na rynku polskim i międzynarodowym. W UG działa również Centrum Zrównoważonego Rozwoju, które realizuje zadania wynikające z celów Agendy 2030 na rzecz zrównoważonego rozwoju, m.in. wdrażając we współpracy z podmiotami gospodarczymi studia podyplomowe kształcące kadry dla najszybciej rozwijających się sektorów energetycznych w kraju i na świecie. W wyniku ewaluacji działalności naukowej UG otrzymał uprawnienia do nadawania stopni naukowych w 21 dyscyplinach, uzyskując 8 kategorii A i 13 B+.

W trakcie ostatniej kadencji Uniwersytet Gdański znacząco awansował w rankingach krajowych i zagranicznych. W rankingu Perspektyw zajął czwartą pozycję wśród uniwersytetów, a w Times Higher Education Impact Rankings w zakresie realizacji celów zrównoważonego rozwoju ONZ zdobył pozycję lidera wśród polskich uczelni. Uniwersytet ma największą liczbę (32) laureatów Nagrody Naukowej Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza.

Działają tu także prestiżowy program Katedr Imiennych, do objęcia których zapraszani są wybitni uczeni. Patronami Katedr są: prof. Maria Janion, Eugeniusz Kwiatkowski i prof. Wacław Szybalski, a dotychczas prowadzili je m.in. prof. Leszek Balcerowicz, prof. Agata Bielik-Robson, prof. Harald Weinfurter, prof. Dariusz Stramski czy prof. Hanna Suchocka.

Zaplecze naukowo-dydaktyczne UG umiejscowione jest w całym Trójmieście w kampusach: Oliwa (główny kampus uniwersytecki), Sopot (siedziba wydziałów ekonomicznych), morski w Gdyni. Powierzchnia gruntów UG na terenie Trójmiasta wynosi 52,9 ha, z czego najwięcej – 30,8 ha – zajmuje Kampus Oliwa, na którym mieści się najwięcej obiektów uniwersyteckich, kształcą większość studentów i ma siedziby większość wydziałów, Biblioteka Uniwersytecka oraz rektorat. Uniwersytet posiada w Trójmieście 30 budynków o łącznej powierzchni użytkowej 176 614,45 m², z czego w Kampusie Oliwa jest 10 budynków o powierzchni użytkowej 123 868,60 m². Zapewne jeszcze w tym roku na terenie kampusu oliwskiego rozpocznie się budowa uniwersyteckiego centrum sportu. Ma kosztować ok. 61 mln zł. Znajdą się tam: hala widowiskowo-sportowa z widownią na 270 osób, o powierzchni 1600 m², pełnowymiarowe boisko do koszykówki, siatkówki i futsalu, cztery mniejsze sale sportowe. Docelowo uczelnia zakłada budowę pełnowymiarowego boiska piłkarskiego ze sztuczną nawierzchnią i zapleczem sanitarnym, halę tenisową, boiska zewnętrzne do koszykówki i sportów plażowych oraz halę sportowo-treningową.

Zbiory Biblioteki Uniwersytetu Gdańskiego liczą 1 675 837 woluminów, 417 523 tytułów książek jest dostępnych elektronicznie, podobnie jak 172 154 tytułów czasopism. W Pomorskiej Bibliotece Cyfrowej znajduje się 123 254 obiektów cyfrowych; w bibliotecznych czytelniach, czynnych przez 6 dni w tygo-

dniu, jest 983 miejsc. Biblioteka zmienia się, dostosowując do potrzeb pracowników i studentów. W jej strukturach działa jednostka wspomagająca naukowców w zakresie zarządzania danymi badawczymi i promocji otwartej nauki oraz profesjonalna galeria sztuki, sala wystawowa i centrum filmowe. Na tarasach biblioteki powstaje ogród, który sprzyjał będzie nauce w okresie letnim.

Uniwersytet posiada 11 akademików (2 z nich wyłączone są z użytkowania, bowiem zostały wcześniej udostępnione miastu Sopot dla uchodźców wojennych z Ukrainy, a obecnie planowana jest ich modernizacja), które oferują 1328 miejsc noclegowych oraz 2 hotele asystenckie. W planach jest budowa kolejnego akademika.

Wydział Oceanografii i Geografii UG posiada morski statek badawczy. Katamaran r/v „Oceanograf” jest wyposażony w urządzenia do interdyscyplinarnych badań środowiska Morza Bałtyckiego. Oprócz badań naukowych i prac wdrożeniowych wykorzystywany jest także do kształcenia studentów. Statek ma 49,5 m długości i 14 m szerokości. Może zabierać na pokład do 30 osób załogi naukowo-badawczej. Rejonem pływania jednostki jest nie tylko Morze Bałtyckie, ale także Morze Północne czy wody Oceanu Atlantyckiego. Zasięg statku przy prędkości ekonomicznej wynosi 2500 Mm, a autonomiczność żeglugi – czas pływania bez zawijania do portów – to 21 dni. Portem macierzystym jednostki jest Gdynia.

Studenci UG pogłębiają swoje zainteresowania w 104 studenckich kołach naukowych i organizacjach. Centrum Aktywności Studenckiej i Doktoranckiej pomaga rozwijać im zainteresowania i pasje, a także organizuje wiele wydarzeń aktywizujących społeczność akademicką, w tym obozy adaptacyjne, majówkę czy spotkania świąteczne ze wspólnym kołędowaniem.

Uczelnia dba o dobrostan społeczności akademickiej. Działają tu aktywnie Centrum Wsparcia Psychologicznego oferujące m.in. specjalne dyżury podczas sesji, szkolenia i zajęcia dla wszystkich, którzy potrzebują takiego wsparcia. Od trzech lat działa Akademicki Budżet Obywatelski, dzięki któremu społeczność akademicka zmienia przestrzeń uczelni. W 2016 r. Uniwersytet Gdański jako drugi uniwersytet w Polsce został wyróżniony przez Komisję Europejską logo HR Excellence in Research, nadawane instytucjom, które popierają i w praktyce stosują zasady wyrażone w „Europejskiej Karcie Naukowca” oraz „Kodeksie postępowania przy rekrutacji pracowników naukowych”. Powołana w uczelni komisja opracowała i monitoruje wdrożenie „Polityki równości płci w Uniwersytecie Gdańskim na lata 2024-2028”.

(pk, mng)



Geniusze nie tylko z Azji

Fabryki artykułów pracują pełną parą – artykuł Mariusza Karwowskiego pod takim tytułem opublikowaliśmy 8 stycznia 2025 roku. Cieszył się on ogromnym zainteresowaniem czytelników i miał dalekosiężne reperkusje. Nie był to jednak pierwszy w FA tekst na ten temat. Przez kilka ostatnich lat zwracaliśmy uwagę na istnienie „spółdzielni” publikacyjnych i „fabryk” artykułów oraz na inne nierzetelne lub podejrzane praktyki publikacyjne zarówno po stronie autorów, jak i wydawców. Pisali o tym w „Forum Akademickim” m.in. Jolanta Szczepaniak (np. *Fabryki artykułów*, FA 4/2022 – ten artykuł wskazuje „z imienia”, gdyż nosił dokładnie tytuł obrazujący problem, który dziś wzbudza tyle emocji), Tadeusz Dudyc, Edward Radościński, Wit Grzesik, Halina Szatyłowicz i Adam Proń, Małgorzata Skórzewska-Amberg, Stanisław Krawczyk i Paweł Lenartowicz, Maria Matusiewicz, Zbigniew Zembaty i Tomasz Lewiński oraz wielu innych autorów. Wskazują autorów, żeby zainteresowani czytelnicy łatwiej mogli je odnaleźć. Jak widać ani problem nie jest nowy, ani jego rozpoznanie nie nastąpiło cudownie na przełomie 2024 i 2025 roku. I nie dokonali tego zagraniczni blogerzy, ale dostrzegli go i dobrze opisali (nie tylko na łamach „Forum Akademickiego”) polscy autorzy, przedstawiciele środowiska akademickiego, obserwujący szkodliwe praktyki publikacyjne w swoim otoczeniu.

Już kilka lat temu niektórzy przedstawiciele akademickiego establishmentu zwrócili na to uwagę i zaczęli reagować na te praktyki. Inni jednak nie raczyli ich zauważać. Wprost przeciwnie. Pęd za „osiągnięciami” mierzonymi liczbą publikacji i cytowań, wymuszony poniekąd systemem oceny dorobku naukowego, nabierał siły. Przyszedł do nas w końcu trend zatrudniania „niezwykle uzdolnionych” naukowców z dorobkiem publikacyjnym (bo przecież nie naukowym!) dorównującym noblistom. Podczas rekrutacji patrzono na liczby, a nie na całość dorobku, potwierdzone dokonania naukowe. Na polskich uczelniach pojawili się „geniusze z Azji”, których ujawnienie w ostatnim czasie spowodowało burzę. Dlaczego właśnie teraz? Czyżby „umiędzynarodowienie” tematu miało znaczenie? Aż tak jesteśmy metanaukowo niesamodzielni?

Zauważona przez wielu korelacja różnych patologii publikacyjnych z praktykami wydawców naukowych nie jest od rzeczy. Ponad dwadzieścia lat temu jeden z prominentnych badaczy, członek PAN, wybitny uczyony zwrócił mi uwagę na zdominowanie rynku wydaw-

nictw naukowych przez wydawnicze oligopole – grupa wielkich wydawców naukowych, niekiedy wspieranych przez władze polityczne swoich krajów, wykupuje mniejszych; skupuje też tytuły od uczelni i innych instytucji naukowych, grupując setki a niekiedy tysiące czasopism. Nie chciał się on wypowiedzieć na ten temat w FA, bowiem, jak sam przyznał, był redaktorem ważnych w swojej branży czasopism, wydawanych przez „Wielkiego Wydawcę”. W pewnym sensie pokazuje to, jak nauka oddała pole, a może wręcz oddała się biznesowi. Komerccjalizacja rynku wydawnictw naukowych w połączeniu z siłą wielkich wydawców nie jest dla nauki dobra. Niestety, jak twierdzą specjaliści z zakresu zarządzania nauką – w rozmowie ze mną stwierdził to np. prof. Łukasz Sułkowski – tego się już nie da odwrócić. Co więcej, zarządzający nauką negatywnie oceniają działalność wydawniczą podległych sobie jednostek. Na łamach FA przedstawialiśmy problem Instytutu Botaniki PAN w Krakowie, któremu audytorzy z Wydziału II PAN zarzucali wydawanie własnych czasopism, co było przyczynkiem obniżenia oceny instytutu. Zatem nie warto dbać o jakość badań i publikacji, o zachowanie realnego wpływu na czasopismia z danej dziedziny, bo za to dostaje się po uszach. Naprawdę liczą się „wpływy” mierzone danymi z międzynarodowych baz, a nie realne osiągnięcia naukowe i rzeczywista jakość badań i publikacji?

Jolanta Szczepaniak we wspomnianym artykule precyzyjnie opisała problem, zauważając jego związki z wielkimi, cenionymi wydawcami: „w ostatnich latach nasilił się nawet bardziej niepokojący rodzaj naukowej patologii – fabryki artykułów (research paper mills). To komercyjne podmioty, które produkują artykuły naukowe na żądanie, bazując na sfałszowanych lub zmanipulowanych danych i plagiatowaniu cudzego dorobku. Autor, który kupił publikację poprzez fabrykę artykułów, otrzymuje gotowy tekst i zestaw danych okraszony zdjęciami, wykresami i tabelami, które tylko pozornie są wiarygodne. W rzeczywistości cały artykuł opiera się na zmanipulowanych obrazach i sfałszowanych danych badawczych. To sprawia, że nie ma żadnej wartości naukowej. Naukowiec, który podpisuje się pod takim tekstem, w rzeczywistości nie przeprowadził żadnych badań ani nie dysponuje oryginalnymi, surowymi danymi, które pozwoliłyby innym naukowcom na zweryfikowanie wyników lub powtórzenie badań. Niestety takich tekstów są setki i to w prestiżowych, wiarygodnych czasopismach, które indeksują najważniejsze bazy bibliometryczne”. Bo „fabrykant” bez dobrego wydawcy nic nie znaczy, podobnie jak bez współautorów, często z dobrymi nazwiskami w swoich dyscyplinach. To dobre czasopismo, indeksowane, znane, liczące się czy wręcz cenione, daje jego tekstom „imprimatur”, potwierdza ich „naukową jakość”, potem owi „namówieni” w jakiś sposób współautorzy, a wreszcie potwierdzają ją cytowaniami inni naukowcy. Dają się na to nabrać jeszcze inni badacze i recenzenci, ale także agencje grantowe i instytucje naukowe, nawet porządne uczelnie. Zatraciliśmy w nauce instynkt i świadomość, że liczą się tylko wyniki, uzyskane w drodze rzetelnych badań, a nie publikacje. Że „prawda jest najważniejsza”.

Piotr Kieraciński



rys. Sławomir Matal

Jak naprawić system publikacyjny?

Dr hab. inż. Paweł Kasprowski, profesor uczelni i zastępca kierownika Katedry Informatyki Stosowanej Politechniki Śląskiej, zwraca uwagę na ważne źródło patologii publikacyjnych. Są nim zmiany w samej organizacji publikowania wyników badań, czyli oddanie inicjatywy w ręce komercyjnych wydawnictw, których model biznesowy oparty jest raczej na ilości niż jakości publikowanych materiałów.

W ostatnim czasie obserwujemy rosnącą falę oburzenia na naukowców, którzy korzystają z usług tak zwanych papierni (paper mills), które produkują masowo artykuły „naukowe” o bardzo niskiej jakości, jednak są w stanie opublikować je w liczących się wydawnictwach. Oprócz narzekań na nieetyczne postępowanie naukowców, można też przeczytać wiele krytycznych komentarzy na temat ewaluacji nauki, która – według krytyków – promuje „punktozę”, a więc rozliczanie naukowców na podstawie punktów uzyskanych za publikacje.

W całym tym sporze nie zauważyłem jednak krytyki strony naprawdę winnej istniejącemu stanowi rzeczy. Tą stroną są wydawnictwa publikujące wątpliwej jakości prace.

Aktualny stan systemu wygląda następująco: autorzy przesyłają artykuł do czasopisma, czasopismo znajduje recenzentów, a potem na podstawie ich rekomendacji decyduje o publikacji (bądź nie) artykułu. Na papierze wygląda to rozsądnie, jednak zwrócić należy uwagę na dwa podstawowe problemy: czasopisma pobierają ogromne opłaty od autorów za publikację artykułu, oraz recenzenci pracują zwykle za darmo (czasem za vouchery) i ich praca niespecjalnie liczy się jako dorobek naukowy (można się nim pochwalić w CV, ale nie ma za nią żadnych realnych „punktów”).

Przed powstaniem Internetu wydawnictwa utrzymywały się z subskrybentów. Dlatego wtedy istotna była wysoka jakość publikowanych artykułów, bo to przyciągało czytelników. W dzisiejszych czasach wydawnictwa utrzymują się z autorów. Powoduje to całkowitą zmianę priorytetów: w obecnym modelu biznesowym zamiast jakości artykułów (i liczby czytelników) wyznacznikiem powodzenia czasopisma jest publikacja jak największej liczby artykułów. To musi wpływać na obniżenie standardów.

Byłem redaktorem kilku wydań specjalnych (special issues) w czasopismach i wiem, jak trudno jest znaleźć kompetentnego recenzenta, który zgodzi się poświęcić swój czas, aby zapoznać się z artykułem i ocenić jego jakość. Nie dziwi mnie to, bo jako wielokrotny recenzent wiem też, że rzetelne recenzowanie jest bardzo czasochłonne i wymaga głębokiej specjalistycznej wiedzy z danej dziedziny. Z tego powodu recenzenci znajdujący się często „złapani” i poddawani presji czasowej. Coraz częściej możemy więc zaobserwować, że jakość recenzji jest bardzo niska, tym bardziej, że najczęściej są one anonimowe, więc recenzujący nie ponosi za nią właściwie żadnej odpowiedzialności. Do tego wraz z rosnącą liczbą przesyłanych artykułów (których często później nikt nie czyta) rośnie też zapotrzebowanie na recenzentów, co jeszcze pogarsza sytuację.

Dużo się ostatnio mówi o tak zwanych czasopismach drapieżnych (predatory journals), które publikują wszystko, byle tylko autorzy zapłacili. Jednak należy sobie jasno powiedzieć, że problem nie sprowadza się do ich wyeliminowania. Nie istnieje wyraźna granica pomiędzy czasopismami drapieżnymi a uczciwymi. Każda ich lista

jest w dużym stopniu subiektywna. Można też wskazać wiele (zbyt wiele!) przykładów artykułów opublikowanych w „renomowanych” wydawnictwach, które nigdy nie powinny się w nich znaleźć (polecam liczne przykłady na <https://forbetterscience.com/>).

W obecnie obowiązującym systemie, autorzy de facto płacą wydawnictwom za „znak jakości”, który gwarantuje, że artykuł ma określoną wartość (mierzoną w punktach minimalistycznych czy impact factorowych). Płacą za to ogromne pieniądze, stawki dochodzą do 15–20 tys. za artykuł. W wydawnictwie Wiley średnie APC to 2017 euro, maksymalne APC to 5640 euro (czasopismo „Advanced Science”), a 18 czasopism ma APC wyższe niż 3500 euro, czyli 15 000 zł za artykuł. W periodykach Elseviera średnie APC wynosi 2770 euro, maksymalne aż 9300 euro (blisko 40 000 zł, czasopismo „Cell”). Ogólnie na liście Elseviera na około 2000 czasopism 497 (ok. 25%) ma APC wyższe niż 3500 euro, a więc ponad 15 000 tys. zł. za artykuł.

Jednocześnie tę jakość oceniają anonimowi i bynajmniej nie opłacani recenzenci, często znajdowani na chybił trafił. Trudno o bardziej absurdalną sytuację. Przy tym stawką są ogromne pieniądze, nic więc dziwnego, że znajdują się ludzie organizujący „spółdzielnie” (ja zrecenzuję tobie, a ty mnie) albo gotowi po prostu zapłacić za pozytywną decyzję.

Rozwiązaniem może być tylko kompletna zmiana systemu publikacyjnego. W nowym systemie autorzy mogliby publikować swoje artykuły natychmiast i za darmo (w jakimś serwisie typu Arxiv.org) i dopiero później mogliby się starać o przyznanie „znaków jakości” jakichś wydawnictw. Recenzje byłyby jawne i podpisane przez konkretne osoby zatrudnione przez wydawnictwa i dobrze opłacane za wykonaną pracę. Wydawnictwa przestałyby być przedsiębiorstwami utrzymującymi strony www z artykułami, a stałyby się jednostkami zajmującymi się oceną artykułów, zatrudniającymi wybitnych specjalistów; oczywiście za tę ocenę mogłyby pobierać opłaty jak dotychczas, jednak ich odpowiedzialność za decyzję znacząco by wzrosła (a pieniędzmi dzieliłyby się z recenzentami).

Czy taka reforma jest możliwa? Oczywiście, wydawnictwa nie będą zainteresowane zmianą profilu swojej działalności. Jednak widzieliśmy już podobne bitwy w przeszłości: potężny przemysł muzyczny zaciekle walczył z pomysłem udostępnienia muzyki w Internecie, ponieważ zarabiał na płytach CD. Podobnie było, gdy wielkie studia filmowe sprzeciwiały się usługom streamingowym, ponieważ ich głównym źródłem dochodu były kina. W obu przypadkach „stare” przegrało z „nowym”, ale korporacje coś zyskały: udział w nowym modelu. Może i w tej sytuacji to się uda? W każdym razie na pewno bez takiej reformy wszelkie „apele”, „głosy oburzenia”, „rekomendacje” czy dodatkowe ciała kontrolne, które miałyby wykonywać ponowne (lepszsze?) recenzje, nie poprawią sytuacji.



Ewaluacja odbędzie się zgodnie z planem

Na wiosnę zaczniemy prace nad nową ewaluacją, która będzie przede wszystkim jasna, zrozumiała, otwarta, wypracowana od początku w dialogu ze środowiskiem. Chciałabym, żeby udało się ten proces zamknąć do końca tego roku, a zatem na początku przyszłego reguły byłyby już znane i można byłoby wedle nich planować swoją aktywność w kolejnej czterolatce.

Jakie kroki podejmie ministerstwo, by ukrócić nieetyczne praktyki publikacyjne części polskich naukowców?

Dostrzegamy problem tzw. papierni, dostajemy też sygnały, zarówno z Polski, jak i z zagranicy, dotyczące takich praktyk. Chcemy działać dwutorowo. Po pierwsze, potrzebna jest współpraca w tym względzie z ministerstwami nauki w innych krajach i w ogóle ze światem nauki, bo to problem, który dotyczy nie tylko nas. Druga rzecz to etyka. Ona jest bardzo ważna, naukowcy powinni postępować zgodnie z jej zasadami, tym niemniej uważam, że część tych nagannych zachowań wymusza sam system. Więc, owszem, można wskazywać konkretne osoby, które dopuszczają się niegodnych naukowca zachowań, ale tak naprawdę to punktoza wygenerowała te patologie. Jeżeli stworzone zostały warunki, w których nie zawsze wygrywa się za działanie zgodne z etyką, to nie dziwimy się, że mamy to, co mamy. Dla wielu osób była to kwestia tego, czy stracą pracę, czy nie, czy utrzymają grant, czy nie. Dlatego wprowadzenie zmian w obecnym systemie oceny czasopism i ewaluacji jest niezbędne.

Co konkretnie?

Powstanie w ministerstwie Zespół do spraw zapobiegania nieetycznym praktykom publikacyjnym. Wyślemy wkrótce do niektórych instytucji naukowych prośbę, by wytypowały swoich przedstawicieli. Zespół będzie liczył około siedmiu osób. Zależy nam, by jego członkowie byli w stanie nie tylko wskazać luki w systemie, ale też podpowiedzieć – w kontekście przyszłej ewaluacji – gdzie zaszyć odpowiednie bezpieczniki, które pozwolą dosyć szybko rozpoznać negatywne zjawiska, na przykład „spółdzielnie” publikacyjne.

Ale to nie wszystko. Obecnie przecież, zgodnie z §25 rozporządzenia, Komisja Ewaluacji Nauki może w trakcie oceny nie uwzględnić osiągnięcia naukowego albo artystycznego, m.in. w sytuacji, gdy w systemie POL-on zostały nieprawidłowo wprowadzone informacje charakteryzujące to osiągnięcie. W tym zakresie pojawiła się propozycja weryfikacji istnienia osiągnięcia publikacyjnego poprzez sprawdzenie jego numeru DOI. Zwróciliśmy się do OPI-PIB, które przygotowuje system do oceny jakości działalności naukowej, o potwierdzenie, czy

taka operacja będzie możliwa. Jeśli tak, po negatywnej weryfikacji istnienia numeru DOI, dane osiągnięcie będzie kierowane do oceny eksperckiej.

Wiem, że MNiSW zwróciło się do politechnik Gdańskiej i Śląskiej o wyjaśnienia w sprawach ewentualnego uczestnictwa ich badaczy w „papierniach”. Obie uczelnie biorą udział w programie IDUB, czy grożą im jakieś konsekwencje?

Rzeczywiście, skierowaliśmy zapytanie, czekamy na odpowiedź. Wówczas, w zależności od tego, jak odniosą się do tego uczelnie, będziemy podejmowali dalsze kroki.

Jaki los czeka listę czasopism? Odnosząc się do rozporządzenia, Komisja Ewaluacji Nauki pisze, że „skala krytyki wyklucza akceptację projektu”.

Do rozporządzenia, które w tej chwili jest procedowane, zgłoszono około siedemset uwag. W najbliższych tygodniach odniesiemy się do nich, prace są już na ukończeniu. Przeanalizujemy, które uwagi mogą zostać wprowadzone. Potrzebujemy również zespołu, o którym wspomniałam, żeby odpowiedział nam na wiele pytań dotyczących wspomnianych już nieprawidłowości publikacyjnych. Jeżeli dzisiaj nie zareagujemy, to za chwilę będziemy mieli kolejne kłopoty. Wszystkim nam zależy na tym, żeby nie było drapieżnych czasopism w wykazie. Teraz doszły jeszcze „papiernie”. Dlatego, jeżeli tekst zostanie zgłoszony redakcji jako nieetyczna publikacja, a w konsekwencji usunięty z czasopisma, to nie będzie uwzględniany w ewaluacji, już tej obecnej. Podobnie z czasopismem – jeśli jest drapieżne, to trzeba się zastanowić, czy opublikowane w nim artykuły powinny być zaliczone do osiągnięć danego badacza.

Z tego wynika, że ministerstwo przychyliła się do rekomendacji Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, by periodyków drapieżnych oraz publikacji z „fabryk artykułów” nie uwzględniać w ewaluacji?

Kluczowe jest opracowanie mechanizmów ich identyfikowania, a nade wszystko zdefiniowanie. Oczywiście, nadal

nie mamy jednoznacznej definicji drapieżnego czasopisma i „papierni”, i jeśli będziemy to robić „na czuja”, to niczym nie będzie się to różnić od działań osób, które właśnie tak arbitralnie podnosiły punktację. Tu widzę dużą rolę ekspertów. Mam nadzieję, że zespół powstanie jak najszybciej i uda się bez zwłoki zatamować te patologie. Odpowiadając jednoznacznie na pana pytanie: lista, która obowiązuje od początku 2024 roku, po zmianie dokonanej przez ministra Dariusza Wiczorka, będzie obowiązywać do końca tego roku.

Rektorzy uczelni medycznych postulują w ogóle odejście od bieżącej ewaluacji.

To nie wchodzi w rachubę. Chcę jasno powiedzieć, że ocena jakości działalności naukowej odbędzie się zgodnie z planem, a więc już za 11 miesięcy. Odstąpienie od ewaluacji jest niezgodne z ustawą, musielibyśmy ją zmienić, a nie ma już na to czasu. Osobiście uważam, że nawet przesunięcie jej o rok, co również wymaga ustawowej zmiany, niewiele zmienia, bo znajdziemy się w bardzo podobnym miejscu. Dlatego przeprowadzimy tę ewaluację zgodnie z obecnymi zasadami, które są znane, jednocześnie starając się zapobiegać patologicznym zjawiskom, o których przed chwilą rozmawialiśmy, oraz wprowadzając nieznaczne, punktowe zmiany będące odpowiedzią na propozycje środowiska naukowego. Jednak wołałabym nie mówić o szczegółach przed opublikowaniem projektu rozporządzenia, co stanie się w ciągu kilku tygodni. Wówczas będę zachęcać wszystkich zainteresowanych, całe środowisko, do zgłaszania uwag, które pozwolą tę ostatnią na starych zasadach ewaluację przejść i zakończyć. Poprawmy, co możemy, ale już bez znaczących zmian w ostatnim roku ewaluacji. Później, na szczęście, będzie czas na wprowadzenie większych zmian, które są oczekiwane.

Dobrze byłoby poznać zasady kolejnej ewaluacji przed rozpoczęciem okresu oceny.

Zgadzam się, dlatego na wiosnę zaczniemy prace nad nową ewaluacją, która będzie przede wszystkim jasna, zrozumiała, otwarta, wypracowana od początku w dialogu ze środowiskiem. Chciałabym, żeby udało się ten proces zamknąć do końca tego roku, a zatem na początku przyszłego reguły byłyby już znane i można byłoby wedle nich planować swoją aktywność w kolejnej czterolatce. Przy czym, to nie jest tak, że zaczynamy od zera. Wszystkie gremia przedstawicielskie, z którymi rozmawiamy, na bieżąco przedstawiały i przedstawiają nam swoje propozycje i uwagi, więc te sugerowane zmiany mamy zebrane. Potraktujemy je jako wkład na przyszłość, podstawę do rozmowy o przyszłej ewaluacji.

Wracając jeszcze do rektorów uczelni medycznych, skupionych w KRAUM, wskazują oni jasno wady systemu: „obecny algorytm preferuje jednostki małe w stosunku do dużych, łączy w jednej ocenie instytuty badawcze bez obowiązków dydaktycznych oraz jednocześnie kształcące studentów uniwersytety, przypisuje ponadto tę samą liczbę slotów pracownikom badawczym co badawczo-dydaktycznym”. A jakby tego było mało, przekonują, system jest wyjątkowo podatny na manipulacje.

Wiemy, że ten system jest niedoskonały, i to mówiąc bardzo delikatnie, i wymaga gruntownej zmiany. Odziedziczyliśmy go po ministrach Gowinie i Czarnku i konieczna jest jego radykalna zmiana. Ale, pamiętajmy, jesteśmy w ostatnim roku tej ewaluacji i na operację jest już za późno. Musimy ją przejść możliwie jak najmniej boleśnie i ministerstwo zrobi wszystko, by tak właśnie było. W rozporządzeniu ewaluacyjnym będą zmiany postulowane przez środowisko, ale nie rewolucyjne.



Dr **Karolina Ziolo-Puzuk** (ur. 2 stycznia 1979 r.) jest absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie ukończyła studia z wiedzy o kulturze. Obroniła doktorat i przez kilka lat pracowała naukowo na University of Sheffield w Wielkiej Brytanii. Od 2014 r. związana z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Jako prodziekan ds. studenckich i kształcenia ustawicznego na Wydziale Nauk Humanistycznych UKSW odpowiadała za organizację procesu dydaktycznego i współpracę z młodzieżą akademicką. Kierowała także Centrum Badań nad Dydaktyką Języka i Literatury oraz Szkołą Języka Polskiego i Kultury Polskiej na tym wydziale. Od 2001 r. związana z administracją publiczną. Doświadczenie zdobywała w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Ministerstwie Kultury oraz Narodowym Banku Polskim, gdzie kierowała zespołem ds. społecznej odpowiedzialności organizacji. Od 2020 r. była zastępcą szefa Kancelarii Senatu, a od wielu lat angażuje się w działalność Centrum im. Ignacego Daszyńskiego. Jej specjalizacje obejmują PR, komunikację i zarządzanie w środowiskach wielokulturowych. Należy do British Association for Soviet, Slavonic and East European Studies (BASSEES) oraz Stowarzyszenia „Bristol” Polskich i Zagranicznych Nauczycieli Kultury Polskiej i Języka Polskiego jako Obcego. 17 stycznia 2025 r. została powołana na stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Zresztą i KRASP, i Rada Doskonałości Naukowej, i KEN jednoznacznie opowiedziały się za tym, byśmy, jedynie po drobnych zmianach, przeprowadzili bieżącą ewaluację wedle obecnych założeń.

Czyli znaczących zmian można się spodziewać dopiero przy kolejnej ocenie?

Tak, jeżeli wychodzimy z założenia, że obecny system jest zły, to trzeba go gruntownie przebudować.

Skoro tak, to rozumiem, że zrealizowany zostanie jeden z postulatów środowiska popularyzatorskiego, by ten obszar aktywności również podlegał ocenie?

Jeszcze nie mogę jednoznacznie na to pytanie odpowiedzieć, bo wszystkie szczegóły ewaluacji, jak już wspominałam, będą dyskutowane ze środowiskiem, ale osobiście bardzo bym chciała. W Hiszpanii, na przykład, popularyzacja jest bar-

dzo ważnym elementem oceny. U nas musielibyśmy najpierw poważnie się zastanowić, czym tak naprawdę popularyzacja jest i jak powinna wyglądać. Na nasze zlecenie powstał w grudniu 2024 roku raport, z którego jasno wynika, że wciąż mamy za mało entuzjastów-popularyzatorów oraz projektów popularyzatorskich na dużą skalę.

Sami jako ministerstwo staramy się wychodzić z inicjatywą. Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie realizuje pod naszym patronatem program badawczy dotyczący nawyków żywieniowych wśród dzieci, jego wyniki prezentowane są w TVP Nauka. W programie eksperci pokazują również, jak w codziennym życiu wprowadzać zasady zdrowego żywienia w oparciu o najnowsze badania naukowe. Realizujemy również wspólne zadania z Centrum Nauki Kopernik. Zdajemy sobie sprawę, że jest tego mało, ale widać wyraźnie, że w ostatnim czasie nauka staje się już przedmiotem zainteresowania opinii publicznej, mówią o niej i premier, i minister finansów, jesteśmy na dobrej fali i zamierzamy to wykorzystać. Co mnie cieszy, na ostatniej konferencji na Gieldzie Papierów Wartościowych premier mówił też o wskaźniku szczęścia i że mamy być w tej kategorii w pierwszej dziesiątce. To realne, ale nie osiągniemy tak wysokiego poziomu bez inwestycji w nauki humanistyczne i społeczne. Bo tu nie chodzi tylko o dobrobyt ekonomiczny, konsumpcyjny, ale przede wszystkim o dobrostan.

Na bazie tego raportu powstanie jakaś kompleksowa strategia dotycząca popularyzacji i komunikacji?

Takie są plany. Wszystkie działania z tego obszaru nie były do tej pory ujęte w jedne ramy, chcemy więc je stworzyć i dołożyć do tego kwestie, których naszym zdaniem brakuje do skutecznego komunikowania. Będziemy, jednym słowem, próbowali to ogromne pole zagospodarować. Idea jest taka, by zintegrować wszystkie działania w zakresie popularyzacji nauki oraz samo środowisko popularyzatorów. Planujemy wraz z Centrum Nauki Kopernik stworzyć Akademię komunikacji naukowej dla osób, które chcą popularyzować naukę. Będzie tam szansa rozwinąć swoje umiejętności w komunikowaniu wyników badań. Naszym zamiarem jest, by co roku korzystało z tego kilkadziesiąt osób. Chcemy zachęcić badaczy, pokazać im narzędzia komunikowania się, przekazywania swojej wiedzy na zewnątrz. Współczesne technologie oferują w tej kwestii bardzo wiele skutecznych rozwiązań.

W niedawnej rozmowie z FA dr Bartosz Rydliński z bliskiego pani Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, ale też współzałożyciel Centrum Daszyńskiego, podkreślił, że bez poważnej rozmowy o wroście budżetu na badania i rozwój w Polsce nie ruszymy do przodu. „Minister będzie mógł przecinać wstęgi, uśmiechać się, ale nic więcej” – powiedział dobitnie.

Po tym, co 10 lutego zadeklarował na GPW premier Donald Tusk, liczę, że pieniądze na naukę będzie zdecydowanie więcej. Od jakiegoś czasu naukowcy dopominają się o 3% PKB, i słusznie, ale uważam, że już nawet osiągnięcie średniej unijnej, czyli 2,2% PKB, dałoby odczuwalny wzrost. Przy czym, na uczelniach pracują nie tylko badacze i nauczyciele akademicki, więc myśląc o wroście nakładów, trzeba pamiętać również o pozostałych grupach pracowników tego sektora.

Ten wzrost finansowania jest w ogóle realny?

Mam nadzieję, że tak. Nie ma dziedzin życia, która by nie czerpała z nauki i która by nie korzystała z tego, co wypracują naukowcy. Nauka jest bazą postępu. Musimy więc inwestować w badaczy, naukowców, ale też dydaktyków, bo jakość kształcenia idzie w parze z jakością nauki. Młodzi ludzie są nadal

zainteresowani studiowaniem, chcą się kształcić, nauczanie na uczelniach musi być na wysokim poziomie.

A czy młodzi ludzie chcą pracować w nauce?

No nie. Widzimy w ostatnich latach bardzo duży spadek liczby doktorantów. W porównaniu z innymi krajami europejskimi, jesteśmy na szarym końcu.

Przyczyny są chyba znane.

Oczywiście, nie będę oryginalna, to pieniądze. Pomimo wprowadzenia powszechnego stypendium w szkołach doktorskich, jego wysokość jest niska, szczególnie przed oceną śródomkresową. To jest kwestia, nad którą trzeba bardzo pilnie się pochylić. Nie lepiej pod względem finansowym jest na dalszych etapach kariery. Trudne warunki pracy, presja, duże wymagania, trudności z pogodzeniem zaangażowania w obowiązki zawodowe z życiem osobistym, brak czasu na badania i notoryczne zmiany w systemie. Mieliśmy w ostatnich latach wielkich reformatorów nauki, a ja chciałabym nie być reformatorem, tylko stworzyć przyjazne środowisko pracy, stymulujące do rozwijania pasji naukowej i dydaktycznej. Lubię zmiany, sama pracowałam w różnych miejscach, od dwudziestu lat jestem w nauce, ale ta niestabilność i mnie nieraz dopadała, dlatego potrafię sobie wyobrazić, jak mały komfort towarzyszy dziś pracy w akademii. Jesteśmy coraz bardziej obciążeni, mamy masę obowiązków, a przecież spoczywa na nas odpowiedzialność za przygotowanie młodych ludzi na nowe wyzwania. Zmęczeni, nie jesteśmy w stanie ich wystarczająco dobrze do tego przygotować.

Co dalej z ustawami Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce oraz o Polskiej Akademii Nauk?

Nowelizacja tej pierwszej została wycofana z prac legislacyjnych. Będziemy do niej wracać, ale musimy pomyśleć o metodyce pracy nad tą ustawą, jest wiele rzeczy, które musimy koniecznie zmienić. Choćby kwestie ewaluacji, które poruszaliśmy. Chcemy zaproponować środowisku rozmowę o poszczególnych obszarach. Mamy ekspertyzę przygotowaną przez Departament Nauki, która pokazuje z naszej, ministerialnej, perspektywy – ale też uwzględniającej przychodzące do nas sygnały od środowiska – które obszary wymagają pilnych zmian i w jakim zakresie. Zainicjujemy konsultacje i liczę na to, że bazą dla nich będą dotychczas już zgłaszane, a jeszcze nie „skonsumowane” pomysły, że po prostu nie będzie potrzeby zaczynać znów od zera. Strasznie dużo wysiłku środowiska poszło na to, by na różnych etapach poprawiać tę ustawę. Niech to już będzie bazą do dalszych etapów prac.

Jest szansa, że w tym roku dojdzie do nowelizacji?

W tym roku na pewno zaczniemy konsultacje, ale na razie koncentrujemy się na obecnej ewaluacji. Jak tylko rozpoczniemy rozmowy o nowej ocenie, to jednocześnie otworzymy rozdział „Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce”.

W takim razie może ustawa o PAN będzie szybciej?

Jestem już po rozmowie z prezesem Polskiej Akademii Nauk, trwają konsultacje nad ich projektem, czekam na efekt tego procesu. Nie chcę powiedzieć, że ta ustawa będzie szybciej, ale na pewno jest na dalszym etapie zaawansowania niż PSWiN. W każdym razie w przypadku obu zmieniliśmy podejście do procesu konsultacyjnego, otwieramy się jeszcze bardziej na środowisko.

Wielu komentatorów zmroziły propozycje odnośnie do nauki zawarte w „Raporcie o stanie państwa” sporządzonym przez Lewicę przed wyborami w 2023 roku. Była pani

wśród jego autorów, zresztą obok m.in. ministra Marcina Kulaska. Napisałiście, że należy odejść od finansowania konkursowego, a granty miałyby być przyznawane jedynie na duże, międzynarodowe projekty. Zapytam wprost, czy planowane są jakieś zmiany w systemie grantowym?

Na razie o tym nie rozmawiamy. Trudno jednak nie dostrzec – sam zresztą NCN o tym mówi – że o granty stara się ledwie 1/3 polskich naukowców. Pozostali nie są zainteresowani udziałem w konkursach. To może oznaczać, że nie mają zaufania do tego systemu, brakuje im wiary w swoje możliwości oraz nie wierzą w otrzymanie grantu. Rozmawiamy w Międzynarodowy Dzień Kobiet i Dziewcząt w Nauce (wywiad przeprowadzono 11 lutego – dop. MK), a badania pokazują, że kobiety w ogóle dużo gorzej niż mężczyźni postrzegają swoje szanse na dostanie grantu, gorzej widzą swoje możliwości rozwoju w nauce. Wyobraźmy sobie system bez zatrudnionych w nim 43% naukowców. Trudno, prawda? W systemie konkurencyjnym porażki się zdarzają, choć nikt nie lubi ich ponosić, ale wszelkie jego defekty należy poprawiać. Dodam przy okazji, że w ministerstwie zostanie powołany specjalny zespół ds. sytuacji kobiet w nauce i szkolnictwie wyższym.

Pytam o te granty nie bez kozery. Kiedy w listopadzie przyznano Narodowemu Centrum Nauki dodatkowe obligacje o wartości pół miliarda zł, prof. Krzysztof Józwiak, dyrektor agencji, stwierdził, że „to zabezpieczenie finansowe, które pozwala na podjęcie strategicznej dyskusji o tym, jak mógłby w przyszłości wyglądać system grantowy”. Wasze – autorów „Raportu o stanie państwa” – pomysły idą w kierunku przeniesienia siły ciężkości na badania statutowe.

Chcę powiedzieć jasno: nie jest moim celem zmniejszanie roli NCN-u w całym systemie. Znaczenie takiej agencji jest niepodważalne. Ale jednocześnie widać jak na dłoni, że im mniej pieniędzy, tym współczynnik sukcesu w konkursach mniejszy. Nie jest więc sztuką przeniesienie siły ciężkości, np. na badania statutowe, lecz należy dążyć do sytuacji, w której po prostu będzie więcej pieniędzy na naukę. Ale zgadzam się z dyrektorem Józwiakiem w tym, że dyskusję należy rozpocząć. We wspomnianym raporcie Centrum Daszyńskiego wskazaliśmy kierunki, o których chcielibyśmy rozmawiać, obszary, które wymagają namysłu, dlatego że – tak jak w przypadku PWSiN, ustawy, która konstytuuje cały sektor, czy w przypadku PAN – nie ma sensu budować „domu”, w którym naukowcy nie chcą mieszkać. Zbudujemy zatem go tak, by nam odpowiadał.

Na osi Warszawa-Kraków?

Zależy nam na tym, żeby mniejsze ośrodki też były włączone do tego krwioobiegu, może nawet w większej skali niż obecnie, przecież też prowadzą ważne badania, tylko mają tam problem z przebicciem się. Różne są pomysły, jak temu przeciwdziałać. Na stole wciąż leży koncepcja ministra Wieczorka dotycząca federalizacji, nie zarzucamy jej, rozmawiamy dalej. Chodzi o to, żeby zwiększać potencjał tych uczelni, nie włączając ich w większe struktury, ale federalizując z innymi podmiotami.

Kończąc wątek NCN-u, mamy dziś agencję, która zawiaduje europejskim programem kwantowym QuantERA, a jako jeden z nielicznych dużych krajów nie mamy krajowej strategii kwantowej. Co z nią?

Za opracowanie strategii kwantowej odpowiada Ministerstwo Cyfryzacji. Nasz resort będzie jednym z podmiotów aktywnie uczestniczących w pracach. W ministerstwie funkcjonował dotychczas nieformalny Zespół ds. kwantów, w skład którego wchodziłi przedstawiciele wiodących jednostek naukowych (m.in. Cyfronet, PCSS). W najbliższych mie-

siącach nastąpi „sformalizowanie” prac i powołanie Zespołu doradczego przy MNiSW ds. kwantów.

Jednym z niezłatwionych od dawna problemów nauki jest prawo zamówień publicznych. To był jeden z głównych postulatów w naszej ubiegłorocznej akcji „Nauka do naprawy” (współorganizowanej wraz z PAN). Czy w tej kwestii coś się zmieni?

Mam pewien pomysł, co z tym zrobić, ale nie dotyczy on zmiany ustawy. Otóż chcę namówić Urząd Zamówień Publicznych, by przyjrzał się specyfice pracy naukowej pod tym kątem i byśmy wypracowali takie ścieżki, które będą z jednej strony zgodne z ustawą, a z drugiej nie będą jawiły się naukowcom jako droga przez mękę. Pamiętajmy, że to są środki publiczne i muszą być wydatkowane w nauce zgodnie z takimi zasadami, jak w innych sektorach, ale wierzę, że można tu znaleźć jakieś rozwiązanie. Będziemy wraz z UZP się nad tym zastanawiać.

Rada Szkolnictwa Wyższego i Nauki Związku Nauczycielstwa Polskiego postuluje ustawowe obniżenie pensum dydaktycznego o 60 godzin dla asystentów i adiunktów oraz 30 godzin dla profesorów. Jakie są na to szanse?

W ustawie wskazane są poziomy maksymalne, teoretyczne uczelnia może ustanowić swoje własne pensum, ale wiadomo, w rzeczywistości wszyscy mają najwyższe. Uważam, że warto rozpocząć dyskusję o obniżeniu pensum, ale zaznaczam, że to moja osobista opinia. Jeśli każda złotówka zainwestowana w naukę daje dodatkowe 4 zł, to pomyślnie, ile każda godzina wykładawcy jest warta jako wkład we własny rozwój, badania itp. Skoro zależy nam na dobrej jakości kształcenia, to należy zainicjować tę rozmowę. Oczywiście, będzie to obciążenie dla budżetu, dlatego pewnie jeszcze nie teraz, nie od razu uda się to wprowadzić, może też nie w takim wymiarze, ale pytania o wysokość pensum możemy zadawać. Byłabym nieuczciwa wobec siebie, gdybym jako członkini ZNP przestała wspierać ten pomysł.

Znalazła się pani w ciekawej sytuacji: pracuje pani w ścisłym kierownictwie ministerstwa i jednocześnie należy do związku zawodowego. Da się to pogodzić?

Tak, bez problemu i powiem więcej – całkiem poważnie podchodzę do swojej związkowej roli. Zapisałam się do związków w Wielkiej Brytanii, na Uniwersytecie w Sheffield, gdzie robiłam doktorat. To było ważne miejsce mojego rozwoju. Tam mi pokazano i zrozumiałam, że związki zawodowe są ogromną wartością. W Polsce lat dziewięćdziesiątych, w której się wychowywałam, związki znajdowały się na marginesie. Dopiero na Wyspach zobaczyłam ich prawdziwe znaczenie. Kiedy więc kilka tygodni temu przyszedłam do ministerstwa, w pierwszej kolejności spotkałam się z szefem związków. Byłoby nie w porządku, gdybym związkowy postulat o obniżce pensum odrzuciła z urzędu. Podobnie jak wsparcie dla mniejszych uczelni, bo realnie widzę je jako centra rozwoju lokalnego, które napędzają dany region, kształcąc zgodnie z potrzebami tego miejsca.

Za kilka dni Dzień Nauki Polskiej, czego życzyłaby pani naszym naukowcom?

Chciałabym przyczynić się do tego, żeby ludzie pracujący w nauce, ale też dopiero zamierzający wejść na tę ścieżkę, poczuli na nowo sens tego, czym się zajmują. Zgłębianie ważnych tematów i dzielenie się wiedzą to podstawa pracy badawczej. Chciałabym, aby te zadania realizowane były w komfortowych warunkach.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Uniwersytet, bożyszczą rynku i ewaluacja nauki

Regenerację systemu polskiej akademii powinno się rozpocząć od przeznaczenia na nią stałych środków w wysokości 3% PKB, zapewniających funkcjonowanie stabilnych instytucji nauki i szkolnictwa wyższego.

Rola uniwersytetu jest systemowo unikalna w generowaniu i akumulowaniu wiedzy niebędącej odpowiedzią na żaden popyt lub zadanie wynikające z aktualnych polityk państw i innych systemów władzy, a jednocześnie w kształtowaniu świadomego i zaangażowanego społeczeństwa, z koniecznością zwiększenia nacisku na etykę (etykę życia raczej niż etykę biznesu). Innymi słowy, żadna inna instytucja społeczna nie jest w stanie jej realizować w sposób samodzielny i konsekwentny. Thomas Docherty pisze, że uniwersytet jest buforem między teraźniejszością a przyszłością – daje społeczeństwu szansę na uniknięcie mechanicznego determinizmu i na społeczną refleksję oraz podjęcie wyboru niekoniecznie polegającego na automatycznym kontynuowaniu trendów ani realizowaniu kursu wyznaczonego przez ośrodki dysponujące największą władzą lub bogactwem. W tym sensie, twierdzi Docherty, uniwersytet społecznie generuje czas. Jednakże mamy w ostatnich dziesięcioleciach do czynienia – nie tylko w naszym kraju – z potęgującym się kryzysem uniwersytetu, przejawiającym się niestabilnością legislacyjną i finansową. Są to czynniki destrukcyjne. Dlatego uważamy, że dyskusję nad naprawą akademii należy zacząć od bazy. Regenerację systemu polskiej akademii powinno się rozpocząć od przeznaczenia na nią stałych środków w wysokości 3% PKB, zapewniających funkcjonowanie stabilnych instytucji nauki i szkolnictwa wyższego.

W następnym kroku konieczna jest zmiana perspektywy i języka. Dominująca w mediach wizja jest wadliwa i prowadzi na manowce – powszechne przyjęcie metafory rynku jako bazowego sposobu rozumienia nauki, pozostaje w sprzeczności ze zdecydowaną większością studiów powstawania i rozpowszechniania wiedzy naukowej (od Latoura i Woolgara, poprzez Stefana Svallforsa, po raporty UNESCO). Postrzega-

nie światowego rozwoju nauki (i, jak często się przy tej okazji zaznacza, stawania czoła globalnym wyzwaniom) w kategorii „przewag konkurencyjnych” to postrzeganie nauki, tym razem na skalę światową, w ramach tego samego modelu konkurencyjnego (z różnymi krajami, tym razem, jako konkurującymi podmiotami), który wielokrotnie nie sprawdził się w zarządzaniu uniwersytetami i rozwojem nauki na uniwersytetach. Podstawą nauki jest współpraca, a do rozwiązania problemów globalnych potrzebna jest współpraca międzynarodowa, a nie szukanie naukowej przewagi konkurencyjnej. System brytyjski, często stawiany za wzór polskim uczelniom, ostatnio przechodzi dramatyczny kryzys. Pamiętajmy też, że w ramach tego modelu wiele polskich uczelni stara się wdrażać strategię lidera kosztowego – oferta może poślednia, ale za to, w skali światowej, bardzo tania. Narzuca się pytanie, kto może zyskać na przyjmowaniu takich strategii, bo raczej trudno uwierzyć, że polskie społeczeństwo, a już zwłaszcza polska nauka. Często pojawia się propozycja rozwiązywania problemów uczelni przez wzmacnianie systemu grantowego, który jest silnie konkurencyjny i, jak wielu dyskutantów zauważyło w ostatnim czasie, nie gwarantuje pozytywnych efektów działalności naukowej, a nawet promuje jednostki bardziej nastawione na konkurencję, co niekoniecznie oznacza mocniej zaangażowane w systematyczne prowadzenie badań naukowych.

Częste w dyskusjach medialnych uznawanie uniwersytetu za „dostawcę wiedzy” nie sprzyja przywróceniu jej społecznej wartości. Trudno tu powstrzymać się przed wspomnieniem Francisca Bacona, który już w siedemnastym wieku problem dezinformacji określił mianem „bożyszcz rynku” (*idola fori*), uznając targowisko za miejsce, gdzie rodzą się plotki i gdzie zgłębienie niemożliwia dokładne rozpatrywanie sensu używanych słów.

Bardziej współcześnie, to analiza idąca wbrew bardzo obiecującym pomysłom i osiągnięciom już sukcesywnym projektom na rozszerzenie partycypacji, włączenie uniwersytetów w lokalne sieci działań i znaczeń, wzmocnienie pozycji przez integrację raczej niż odgrodenie od społeczeństwa (*citizen science*/wiedza obywatelska, *crowdsourcing*, *open innovation*, etc.). Trudno skłonić społeczeństwo do popierania zwiększania dotacji dla swoich dostawców, niezależnie od tego, czy dostarczają energię czy wiedzę. Także przyjmowanie pojęcia takiego jak „produktywność badawcza” wymagałoby refleksji, czym miałyby tu być „produkt”, której jedyną rozsądną, naszym zdaniem, konkluzją byłoby przyznanie, że kategoria ta tylko bardzo koślawo odpowiada działalności zarówno badawczej, jak i konkurencyjnej.

Jednocześnie, rzadko słyszy się w mediach głosy odnoszące się do specyfiki uniwersytetu jako szczególnego typu organizacji, wymagającej niezależności. Zamiast metafory rynku, nieprzystającej do typu organizacji jaką jest uniwersytet (co podkreśla między innymi jeden z „ojców założycieli” współczesnego zarządzania, Henry Mintzberg), bardziej odpowiedni byłby w tym miejscu model kolegialny, który jest tradycyjnie stosowany do zarządzania uczelniami. Za szwedzkimi uczonymi zajmującymi się zarządzaniem uniwersytetem, Ullą Eriksson-Zetterquist i Kerstin Sahlin, proponujemy dostosowanie tego systemu do wymogów złożonej współczesności poprzez demokratyzację, polegającą na otwarciu się uniwer-

sytetu na grupy społeczne marginalizowane w tradycyjnym modelu, takie jak niższe klasy społeczne, kobiety, mniejszości religijne, narodowe, wynikające z orientacji seksualnej. Zarządzanie kolegialne samo w sobie nie jest demokracją reprezentatywną – realizowane jest nie dla żadnej grupy społecznej, lecz dla dobra wspólnego całej ludzkości, jaką jest nauka. Można powiedzieć, że nauka jest najwyższą szefową w takim systemie. Uczestniczki rad i kolegów, senatorki, dziekani, itd. – wybrani przez różne grupy pracownicze nie zasiadają w gronach kolegialnych po to, by reprezentować te grupy, ale w celu reprezentowania nauki najlepiej jak umieją ze swojej perspektywy. W ciałach kolegialnych waży więc doświadczenie i oddanie, ale nie pozycja władzy. Ciała kolegialne zarządzają tylko aspektami uniwersytetu zajmującymi się sprawami nauki – inne sprawy, takie jak finanse, inwestycje, pozostają w gestii organów liniowych, mających stabilną (nie-elekcyjną) strukturę, regulowaną przez przepisy i regulaminy.

Taki model wymaga starannej polityki zatrudnienia, odsiewającej osoby pragnące dla siebie innego typu kariery, lecz stabilnie i trwale wiążącej te osoby, które skłonne są poświęcić swoje zawodowe życie dla budowania dobra wspólnego bez jednostkowych, prywatnych korzyści. Wymaga też wysokiej świadomości, a więc konieczne jest długotrwałe kształcenie dotyczące etosu nauki, metodologii, epistemologii, filozofii nauki i tradycji uniwersyteckich. Konieczne jest też wspieranie postaw



Rys. Sławomir Makal

System jakościowej oceny kolegialnej

1. Każdy pracownik opracowuje dokument na temat swojej pracy zawierający:

- Konkretny opis swojego dorobku: jakie wartości lub odpowiedzi wnosi, co odróżnia go od wcześniejszych prac i/lub jaką lukę w dotychczasowej wiedzy wypełnia (kilka linijek)
- W jaką tradycję badawczą wpisuje się jego praca naukowa? Z jakich korzysta metodologii? Jakie są jego główne zespoły badawcze i autorytety w obszarze (kilka linijek) - na podstawie te deklaracji powoływać się będzie recenzentów; Jakie są główne tradycje badawcze, które stanowią podwaliny jej/ jego prac? W naukach humanistyczno-społecznych jest wiele współistniejących podejść i metodologii, które one często są ze sobą w konflikcie; należy starać się unieemożliwić spory inne niż naukowe;
- Opis swojej misji dydaktycznej oraz sposobów jej realizacji (kilka linijek)
- Opis wkładu w praktykę/ relacji z praktyką/ działalności społecznej/ działalności popularyzatorskiej/ pozyskanych grantów (kilka linijek)
- Opis planów badawczych na najbliższy okres, kierunków planowanego rozwoju i wsparcia oczekiwanego od uczelni (kilka linijek)
- Opis wsparcia, jakiego pracownik potrzebuje do dalszego rozwoju (np. zdobycie uprawnień, kursy, mentoring) i jakie środki potrzebne są do udzielenia takiego wsparcia (kilka linijek)
- CV z wykazem publikacji
- Dokument jest pretekstem do refleksji i rozmowy, nie kolejnym narzędziem biurokratycznych rozliczeń i podstawą do represji.

2. Postulujemy „re-lokalizację” uczelni, czyli nawiązanie silnych więzi ze środowiskiem lokalnym: społecznościami, ich problemami, mediami lokalnymi. Pracownicy powinni być zachęcane do angażowania się w rozwój regionu i budowania trwałości i odporności społeczności lokalnej.

3. Rezultaty oceny:

Przydzielenie dwóch kategorii: „brak zastrzeżeń” i „zastrzeżenia” (i tu - nie ocena, ale konkretnie przez komisję wskazane braki). I ta druga pociągałaby jakieś dalsze działania i kontrolę po pewnym czasie.

Bez względu na to, jaka byłaby kategoria, kolegialne recenzenci opisują osiągnięcia: w jaki sposób pracowniczka spełnia warunki, że robi coś wartościowego, i że na przykład wpisuje się w ogólniejszą strategię danej instytucji itd. - to nie ma być opis sugerujący dyscyplinowanie jednostki i nie powinien koncentrować się na pojedynczej osobie. Jego częścią nie powinny być tylko braki, ale i mocne strony. Ocena dotyczyć powinna przebiegu pracy, nie osoby pracownika.

Kolegialni recenzenci odnoszą się również do wskazywanych potrzeb wsparcia, mogą również wysunąć własne sugestie w tym zakresie, sugerując na przykład w jaki sposób uczelnia może lepiej wykorzystać potencjał tej pracowniczki: co stoi na przeszkodzie lepszemu wykonywaniu pracy i co przełożeni mogą zrobić, by zapewnić odpowiednie warunki do pracy. Możliwość poprawy wyników jest ważniejsza niż tworzenie rankingu pracowników.

4. Przebieg procesu oceny – omówienie wyników recenzji

W procesie oceny pracownika bierze bezpośrednia przełożona i zainteresowany pracownik. Na prośbę pracownika dołącza przedstawiciel związkowy. W procesie oceny zespołu/ jednostki bierze udział kolegium kierujące jednostką i okrągły stół złożony z przedstawicieli innych kolegiów, a także przedstawicielki związków zawodowych. Ocena ma prowadzić do rekomendacji dla pracownika, ale też dla przełożonej.

Dokument jest pretekstem do rozmowy, lecz także formalnym zapisem, na który obie strony mogą się powoływać.

5. Recenzenci kolegialni

Recenzenci kolegialni sprawdzają na bieżąco dokumenty i publikacje pod kątem rzetelności, faktów (np. czy visiting professorship to naprawdę VP czy stypendium w ramach projektu, etc), plagiatstwa, eliminują autoplagiaty i powtórzenia z listy osiągnięć, odnotowują wszelkie przejawy nierzetelności.

Recenzenci kolegialni powinni być powoływane przez kolegium uczelni spośród pracowników wydziałów oraz z obszaru badawczego. Pożyteczne jest też zapraszanie uczonych z innej uczelni (wymiana doświadczeń). Praca recenzencka jest ważna, bo jest częścią systemu kolegialnego zarządzania i od jej jakości zależy klimat społeczności – jest to sposób na zaangażowanie środowiska.

takich jak zaangażowanie w sprawy uniwersytetu, praktykowanie wzajemności i solidarności oraz przekonania, że istnieje droga do wspólnotowej sprawczości.

To kwestia wymagająca długotrwałego zaangażowania i myślenia systemowego. Przygotowanie takiego programu zajmie dużo czasu i musi wykorzystać zbiorową mądrość środowiska poprzez konsultacje (z naukowczyniami, nie z rektorami) i debaty przy okrągłym stole. Krzepki model polityki akademickiej wymaga takiego długookresowego i systemowego podejścia. Jednak mamy też propozycję na okres krótszy, dotyczącą zagadnienia, które w ostatnim czasie porusza wiele osób z polskiego środowiska naukowego, a więc – problem ewaluacji.

Proponujemy odejście od drogi wyznaczonej przez reformy Gowina-Czarnka, która powoduje więcej patologii niż pozytywnych efektów, w tym – radykalną zmianę zaplanowanego na najbliższą przyszłość trybu ewaluacji. Zamiast scentralizowanego systemu oceny naukowców i instytucji nauki proponujemy oddolną dyskusję nad krzepkim i zrównoważonym systemem ewaluacji.

Jako nasz wkład w tę dyskusję – osób z doświadczeniem z pracy wewnątrz systemów akademickich w różnych krajach, aktywnych uczestników związków zawodowych, a także uczonych naukowo zajmujących się zarządzaniem uniwersytetami – proponujemy na wejściu do takiej dyskusji model jakościowej oceny kolegialnej.

***Jerzy Kociatkiewicz** jest profesorem zarządzania zasobami ludzkimi w Institut Mines-Télécom Business School we Francji. Wcześniej pracował na uczelniach w Wielkiej Brytanii, Szwecji i Polsce. Naukowo zajmuje się badaniem doświadczenia pracy i sensu we współczesnych organizacjach. Jest autorem ponad pięćdziesięciu artykułów w czasopiśmie i monografiach naukowych, a ostatnio, wraz z Moniką Kostera, współredagował książkę „How to Do Social Science that Matters” (wyd. Edward Elgar).*

***Monika Kostera**, profesor tytularna nauk ekonomicznych i humanistycznych. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim. Wcześniej była zatrudniona na etatach profesorskich na uniwersytetach polskich, szwedzkich, francuskich i brytyjskich. Jest autorką wielu artykułów w pismach naukowych takich jak „Journal of Business Ethics”, „Organization Studies”, „Human Relations” i ponad 50 książek. Ostatnio opublikowała książkę „The University of Hope”, która ukazała się nakładem Oxford University Press.*

Regina Lenart-Gansiniec, Wojciech Czakon

Nie tylko AI

(R)ewolucja crowdsourcingu w nauce

Crowdsourcing naukowy sprowadza się do zaangażowania przez badaczy grupy osób o zróżnicowanej wiedzy i umiejętnościach do wykonania określonego zadania i/lub zadań badawczych. Wśród tych osób znajdują się zarówno inni badacze, jak i pasjonaci nauki, niekoniecznie posiadający przygotowanie metodologiczne.

Eksplodują zainteresowania sztuczną inteligencją oraz jej zastosowaniami w badaniach przesłania nieco postępującą równoległą transformację cyfrową nauki. Język nauki jest pełen odniesień do formatów publikowania (pdf), pakietów oprogramowania (r), sposobów przechowywania danych (chmura), interakcji wirtualnych lub hybrydowych (zoom), komunikacji przy pomocy mediów społecznościowych itd. To postępujące ucyfrowienie skupia uwagę na technice, a jednocześnie przesłania społeczny wymiar aktywności naukowej, bo przecież naukę ktoś uprawia, komuś się ona przydaje, a nawet służy.

W cieniu gorącej debaty o sztucznej inteligencji i innych rozwiązaniach wspierających indywidualną produktywność badaczy znaczenia nabiera kilka innych, nie mniej ważnych trendów: rozwój społeczeństwa obywatelskiego, demokratyzacja nauki, interdyscyplinarność oraz transdyscyplinarność oraz technicyzacja i platformizacja nauki. Jeszcze do lat 90. pomysły na badania naukowe czy szerzej ścieżki badawcze były zarezerwowane dla społeczności akademickiej. Wraz z rosnącą otwartością członków na samoorganizowanie oraz inicjowanie oddolnych inicjatyw oczekiwania zaczęły zmierzać w kierunku legitymizacji kierunków badań zgodnie z preferencjami społecznymi. Te cztery trendy prowadzą do wzrostu znaczenia całkowicie odmiennego od AI, wręcz rewolucyjnego zjawiska crowdsourcingu naukowego.

W skrócie można powiedzieć, że crowdsourcing naukowy to jedna z form crowdsourcingu, który z powodzeniem wykorzystywany jest przez organizacje komercyjne. Crowdsourcing polega na tym, że organizacja (inicjator) włącza grupę anonimowych, rozproszonych geograficznie osób do realizacji różnorodnych zadań, które zwykle wykonywali pracownicy. Opiera się on na „mądrości tłumu”, zgodnie z którą grupa osób posiada szerszą wiedzę niż pojedyncze osoby i może wypracować więcej wartościowych rozwiązań. Dzięki efektowi równoległej ścieżki różnorodne zadania mogą być realizowane przez grupę szybciej i dokładniej, niż gdyby wykonywała je jedna osoba. Crowdsourcing naukowy sprowadza się do zaangażowania przez badaczy grupy osób o zróżnicowanej wiedzy i umiejętnościach do wykonania określonego zadania i/lub zadań badawczych. Wśród tych osób znajdują się zarówno inni badacze, jak i pasjonaci nauki, niekoniecznie posiadający przygotowanie metodologiczne.

Platformy crowdsourcingowe, takie jak Amazon Mechanical Turk czy Prolific, dają możliwość przełamania granic przestrzennych czy czasowych, ułatwiając relacje pomiędzy społecznościami internetowymi a organizacją rozpoczynającą przedsięwzięcie crowdsourcingowe. Na platformach tych zarejestrowani zainteresowani wykonawcy zadań badawczych są zróżnicowani demograficznie i praktycznie są mieszkańcami wszystkich kontynentów. Jednakże crowdsourcing naukowy upowszechnia się wolniej niż chcieliby jego entuzjaści. Warto się temu zjawisku przyjrzeć dlatego, że wspomaga znacznie więcej niż produktywność indywidualną badacza, sprzyjając autentycznej demokratyzacji nauki.

Zdobywanie wiedzy z kości słoniowej

Metafora wiedzy z kości słoniowej oddaje elitarność, ale też ekskluzywność i izolację nauki od społeczeństwa. Postrzegana jest jako zagrożenie dla samej nauki, bo stała się pożywką nieufności albo zobojętnienia, co prowadzić może do obniżenia legitymizacji nauki, a w konsekwencji do spadku nakładów na naukę. Takie zjawisko obserwujemy w naszym kraju, dlatego warto zająć się tym, co legitymizację nauki buduje. Obok rozwoju społeczeństwa obywatelskiego odnotować można postulaty demokratyzacji nauki odnoszące się do otwarcia nauki na możliwość włączenia się każdej osoby zainteresowanej w tworzenie wiedzy naukowej. To otwarcie łączy się z inkluzywnością czy transparentnością nauki, ale także koniecznością odbudowania zaufania społeczeństwa wobec wyników badań naukowych. Nie bez znaczenia są postulaty budowania przez naukowców ekosystemu opartego na kreatywności, współpracy, komplementarności, współtworzeniu, w którym uwzględnia się transfer i komercjalizację wiedzy naukowej oraz jej upowszechnienie. Doszukując się kluczowych mechanizmów sprzyjających funkcjonowaniu takich ekosystemów, znajdujemy pojęcia potrójnej helisy, tj. współpracy administracji publicznej, biznesu i nauki, a dalej poczwórnej i pięciokrotnej helisy, które włączają dodatkowo organizacje pozarządowe i obywateli, a także środowisko naturalne. Słowem, zachodzi krytyczna istotna potrzeba systematycznego i skutecznego przełamania izolacji nauki od otoczenia.

Wiedzę z kości słoniowej występują także i w samej nauce, gdzie pracownicy budowane są granice poszczególnych dyscy-

plin. Ich rozwój i poszukiwanie własnej tożsamości, odrębnej od wcześniej powstałych dyscyplin, jest naturalny. Ale jednocześnie formalizacja tych granic zamyka badaczy w granicach dziedzin. Tymczasem inter-, jak i transdyscyplinarność tworzą współpracę naukową ponad granicami dyscyplin. Z całą pewnością można je nazwać mianem „must have” dla badaczy, chociażby z uwagi na potencjalne korzyści. W szczególności mowa tu o korzyściach w ujęciu finansowym, zasobowym czy pozycyjnym. W odniesieniu do współpracy interdyscyplinarnej przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych integrują swoją wiedzę w celu tworzenia zupełnie nowej, łączącej wielość perspektyw oraz spojrzeń. Natomiast transdyscyplinarność łączy się z możliwością rozpoznania rzeczywistych problemów społeczeństwa, proaktywnego wspierania interwencji zorientowanych na rozwiązywanie tych problemów, a także poprawę warunków funkcjonowania ludzi oraz ich włączanie i zaangażowanie w realizację zadań badawczych. Wszystko to wpisuje się w postulaty wyjścia badaczy z więzy z kości słoniowej, silosów dyscyplinarnych na rzecz włączenia członków społeczeństwa w tworzenie wiedzy naukowej.

Realizacja tych postulatów jest niełatwa w świecie analogowym, wymaga bowiem znaczących nakładów. Jednakże technicyzacja oraz platformizacja nauki przełamują te ograniczenia, sprzyjając współpracy naukowej, dywersyfikacji wiedzy oraz jej wymianie. Pomocne w tym mogą okazać się nie tylko platformy cyfrowe, za pomocą których badacz może bezpośrednio kontaktować się z innymi badaczami i/lub osobami spoza środowiska naukowego. Mogą to być także platformy umożliwiające administrację realizacji zadań badawczych oraz archiwizację i repozytoria, które mają za zadanie ułatwienie komunikacji naukowej czy popularyzację wyników badań naukowych. Jednym słowem, zarówno technicyzacja, jak i platformizacja stanowią odpowiedź na nierówny rozkład wpływów na badania naukowe przy jednoczesnym zwiększeniu zasobów, w szczególności finansowych, oraz zacieranie się granic pomiędzy produkcją naukową a popularnonaukową. Tak oto splatają się postulaty demokratyzacji nauki, jej wyjścia z izolacji, z możliwościami technicznymi, prowadząc badaczy w stronę crowdsourcingu naukowego.

Korzyści crowdsourcingu naukowego

Crowdsourcing naukowy może być wykorzystywany na każdym etapie procesu badawczego: od koncepcyjnego, przez empiryczny, kończąc na analizie danych oraz publikacji wyników prowadzonych badań naukowych. Na etapie koncepcyjnym procesu badawczego crowdsourcing naukowy może okazać się pomocny w uzyskaniu przez badacza dostępu do dużej ilości różnorodnych i specjalistycznych zasobów danych, identyfikacji luk poznawczych, formułowaniu celu badań oraz hipotez badawczych, czy szerzej: ulepszeniu istniejącej wiedzy i poszukiwaniu nowych rozwiązań w celu zmniejszenia ograniczeń dotychczasowych badań. W badaniach empirycznych, crowdsourcing naukowy pozwala na zaangażowanie członków społeczności wirtualnej w opracowanie lub poprawę protokołów eksperymentów bądź kwestionariuszy ankiet. Ponadto crowdsourcing naukowy może okazać się przydatny do przeprowadzenia eksperymentów, badań sondażowych oraz sprawdzenia dowodów naukowych. Wreszcie crowdsourcing naukowy łączy się z analizą zgromadzonego materiału empirycznego, w szczególności z jego przetwarzaniem, wizualizacją oraz integracją. Szczegółowiej, umożliwia on włączanie społeczności spoza i z akademii do tłumaczenia tekstów, analizy materiałów audio i wideo, treści, kodowania, transkrypcji, kategoryzowania, katalogowania, kontekstualizacji oraz mapowania zgromadzonych danych. Crowdsourcing to także możliwość

wymiany materiałów naukowych, a nawet uzyskanie recenzji partnerskiej czy współpracy przy redagowaniu, a nawet pisanu tekstu naukowego.

Nawet pobieżny ogląd artykułów naukowych (za pomocą dwóch baz danych Web of Science oraz Scopus; słowa kluczowe: crowdsourcing AND Amazon Mechanical Turk OR Proflic), w których badacze sięgali po crowdsourcing naukowy, pozwala na stwierdzenie, że najczęściej wykorzystywany jest on na etapie empirycznym procesu badawczego, w szczególności do pozyskiwania uczestników badań, w tym kwestionariuszowych oraz eksperymentalnych. Po crowdsourcing sięga się we wszystkich dziedzinach i dyscyplinach naukowych, a artykuły, w których był on wykorzystywany, ukazywały się w renomowanych, niedrapieżnych czasopiśmie naukowych, w tym z najwyższym impact factorem. W szczególności argumentowano to jego zaletami w zakresie wydajności, opłacalności, anonimowości oraz dostępu do różnorodnej wiedzy i umiejętności. Podkreślano aspekty finansowe i czasowe, bowiem badania eksperymentalne zamiast kilku tygodni oraz budżetów wartości kilkunastu tysięcy złotych, mogą za pomocą crowdsourcingu zająć kilka godzin czy opłacie kilkunastu dolarów (w przypadku platformy Amazon Mechanical Turk). Obietnica dostępu za pomocą platform crowdsourcingowych do ponad 500 000 osób ze 190 krajów także stanowiła jeden z istotnych argumentów przemawiających za takim sposobem tworzenia wiedzy naukowej.

Pozostają jednak wątpliwości

Crowdsourcing naukowy ma swoje słabości, które dla uporządkowania pogrupowaliśmy w sześć kategorii związanych z procesem, danymi, wiedzą, delegowaniem, jakością oraz etyką. Proces badawczy łączy się z ryzykiem niewłaściwej oceny przez inicjatora-pracownika naukowego, czy określone zadanie badawcze jest możliwe do przekazania społeczności wirtualnej. Jeśli badacz skieruje niewłaściwe zadanie do internautów, w trakcie trwania inicjatywy może okazać się, że nie będą oni posiadali wystarczającej wiedzy i umiejętności, a to w konsekwencji prowadzić może do porzucenia zadania w trakcie realizacji (faktycznie ma to miejsce w średnio ponad 30% zadań). Słabością może być także niskie zaangażowanie internautów. Łączy się to z zasadą „regulującą” crowdsourcing, a mianowicie „1-9-90”, gdzie jeden procent to tzw. superużytkownicy, w pełni zaangażowani, spędzający aktywnie wiele godzin na platformie i realizujący zadania bez względu na to, czy będą wynagradzani, czy też nie. Dalej, 9% członków społeczności wirtualnej wnosi wkład sporadycznie oraz może wystąpić zagrożenie porzucenia realizacji zadania w sytuacji zniechęcenia, poczucia zbyt dużego nakładu pracy czy czasu. I wreszcie, 90% uczestników inicjatyw crowdsourcingowych „konsumuje” informacje dostarczane przez innych, a więc są to wyłącznie czytelnicy.

Poza tym, członkowie społeczności wirtualnej z różnych powodów angażują się w crowdsourcing naukowy. W crowdsourcingu mówi się o „zasadzie 4F”, gdzie członkowie społeczności wirtualnej motywują: zabawą, dobre samopoczucie (spełnienie), sława oraz majątek. W przypadku tego ostatniego istnieje zagrożenie, że internauci mogą podejmować zbyt wiele zadań jednocześnie w celu maksymalizacji zysku. Może się także zdarzyć sytuacja taka, że jeden internauta będzie posiadał kilka alternatywnych kont na platformie, z których będzie się wielokrotnie logował i wykonywał to samo zadanie. Otwarta natura crowdsourcingu naukowego sprawia, że inicjator nie ma pewności co do tego, kto właściwie uczestniczy w tej inicjatywie. Nie mamy pewności, czy dostępne dane demograficzne są prawdziwe – najczęściej zafałszowania dotyczą dochodu, wykształcenia, wieku, płci oraz stanu rodzinnego. Wszystko to może potęgować niestaranność społeczności wirtualnych w realizacji zadań. Może

to pójść nawet w stronę wykorzystania sztucznej inteligencji (np. boty) czy innego oprogramowania, które ma potencjał do automatycznego wykonywania kilku czy kilkunastu zadań jednocześnie w imieniu internauty. Przykład takiego oszustwa szeroko opisano w magazynie „Wired” (*A bot panic HITS Amazon Mechanical Turk*). Odnotować można także fora internetowe, na których członkowie społeczności wirtualnych prześcigają się w pomysłach na sposoby manipulacji i oszustw podczas realizacji zadań badawczych, a także oceniają wiarygodność badaczy oraz wskazują tych, których warto ignorować i bojkotować. Mowa tu o forach TurkoPicon (<https://turkopticon.net>) lub Turker Nation (<https://www.reddit.com/r/TurkerNation/?rdt=63204>).

W przypadku słabości związanych z danymi w niektórych zadaniach crowdsourcingowych inicjator udostępnia internautom dane, które są następnie przez nich przetwarzane, oceniane czy komentowane. Implikuje to obawę o nieuprawnione kopiowanie, przetwarzanie i wykorzystywanie danych bez wiedzy inicjatora, co może prowadzić do naruszenia własności intelektualnej. Wszystko to wpisuje się w paradoks otwartości, który opisuje napięcie między koniecznością dzielenia się przez badacza wiedzą na platformach crowdsourcingowych a ochroną wiedzy. Jednym słowem, bez dokładnego opisu zadania badawczego istnieje ryzyko, że naukowiec otrzyma rozwiązanie niezgodne z jego oczekiwaniami. Z kolei zbyt dokładny opis naraża go na kradzież pomysłu na badania naukowe. Poza tym mogą się pojawić wątpliwości co do praw autorskich do danych przetworzonych przez społeczność wirtualną oraz rezultatów naukowej inicjatywy crowdsourcingowej. Dodatkowo, członkowie społeczności wirtualnej mogą uznać, że tworzone lub dostarczane przez nich treści i dane nie powinny być dostępne i wykorzystywane przez inne osoby.

Trzeba podkreślić, że społeczność wirtualna zaangażowana w crowdsourcing naukowy stanowią zarówno osoby posiadające wyspecjalizowaną wiedzę oraz doświadczenie badawcze, ale także osoby, które wywodzą się spoza środowiska nauko-

wego. Inicjator nie ma wiedzy odnośnie do poziomu wiedzy czy umiejętności. Założenie z góry, że internauci posiadają wystarczającą wiedzę i umiejętności może prowadzić do uzyskania przez inicjatora błędnych rozwiązań lub rozwiązań o niskim poziomie jakości. Ponadto, przekazanie do społeczności wirtualnej określonego zadania do wykonania bez uprzedzenia jej przeszkolenia niesie ze sobą zagrożenie w postaci uzyskania różnorodnych wyników z naruszeniem rygoru metodologicznego.

Ponadto, delegowanie zadań do społeczności wirtualnych wymaga komunikowania się inicjatora z internautami. Brak komunikacji zwiększa ryzyko trudności dostępu do potencjału internautów oraz porzucenia przez nich zadania. Może zdarzyć się sytuacja, gdy internauta będzie chciał uzyskać informacje na temat nurtującego go problemu dotyczącego bieżącej inicjatywy. Brak odpowiedzi może skutkować zniechęceniem i porzuceniem przez niego zadania. Niewystarczające działania w zakresie delegowania zadań mogą prowadzić do uzyskania przez inicjatora nadmiaru informacji oraz przygotować trudność integracji wkładu większej liczby uczestników. Poza tym nieprawidłowe interakcje lub też ich brak, niewystarczające mechanizmy sprzężenia zwrotnego również mogą przyczynić się do zniechęcenia internautów, osłabienia ich zaangażowania i porzucenia zadania.

Otwarty charakter crowdsourcingu naukowego potęguje niepewności co do tego, kto bierze udział w realizacji zadania. Stąd może pojawić się obawa o jakość uzyskanych wyników/ rezultatów pracy społeczności wirtualnej. Wreszcie, anonimowość członków społeczności wirtualnej, chęć szybkiej realizacji zadań czy wykonywania jednocześnie kilkanaście innych potęgują nieuwagę czy pomyłki, co w ostateczności może wpłynąć na obniżenie jakości uzyskiwanych danych czy rozwiązań.

I wreszcie, po szóste, kwestia zaangażowania członków społeczności wirtualnej do podjęcia określonego zadania lub zadań badawczych wpisuje się w tzw. gospodarkę platformową. Crowdsourcing naukowy może zatem być odbierany przez społecz-



Rys. Paweł Kanik

ność badawczą, ale i różnorodnych interesariuszy, jako forma wyzysku. Sam Jeff Bezos, twórca platformy Amazon Mechanical Turk, powiedział: „Słyszałeś o oprogramowaniu jako usłudze. Teraz to jest człowiek jako usługa” (<https://www.politico.eu/article/coronavirus-pandemic-worker-rights-amazon-uber-work/>). Co więcej, pandemia obnażyła słabości gospodarki platformowej i rzuciła więcej światła na warunki pracy „pracowników widmo”. Osoby wykonujące różnorodne zadania na platformie Amazon Mechanical Turk otrzymywały wynagrodzenie w wysokości 4-6 USD za godzinę. Ponadto inicjator może odmówić zapłaty pracownikom crowdworkowym za ukończoną pracę z uwagi na subiektywną ocenę jakości ich pracy.

Dlaczego badacze (nie) sięgają po crowdsourcing naukowy?

Powodów sięgania lub nie przez badaczy po crowdsourcing naukowy jest wiele. Jednym z nich, chyba najistotniejszym, są sygnalizowane wcześniej słabości, które można nazwać nawet ciemnymi stronami crowdsourcingu naukowego. Nie można jednak nie wspomnieć o tych istotnych z punktu widzenia samego inicjatora-badacza, w szczególności odnoszących się do motywacji, postaw, aspektów poznawczych, społecznych oraz organizacyjnych.

Rezygnacja z crowdsourcingu naukowego może wynikać z braku zachęt związanych ze statusem w środowisku naukowym, potwierdzenia tożsamości zawodowej, rozpoznawalności naukowej czy aprobaty w międzynarodowym środowisku naukowym. Jeśli angażowanie społeczności wirtualnej w pracę naukową jest postrzegane przez badacza jako nadmiernie absorbujące, obciążające i wymagającego zaangażowania znacznych zasobów oraz czasu, crowdsourcing nie zostanie zainicjowany. Tak sygnalizowana niechęć może także wynikać z postrzeganych przez badacza niedociągnięć istniejących platform crowdsourcingowych oraz braku regulacji instytucjonalnych dotyczących włączania społeczności wirtualnej do badań naukowych.

Normy społeczne, poprzednie doświadczenia, postrzegana kontrola behawioralna, użyteczność, ryzyko oraz wysiłek mają znaczenie dla podejmowania crowdsourcingu. Naukowcy chętniej zdecydowali się na udział w działaniach opartych na włączeniu członków społeczeństwa do badań w sytuacji, gdy ich współpracownicy też to robią. Sięganie po crowdsourcing naukowy może wynikać z postrzeganej przez badaczy akceptacji określonego zachowania przez współpracowników z macierzystej uczelni czy szerzej: środowisko naukowe, a więc norm społecznych. Powiązane jest to z tzw. efektem Sagana, co sprowadza się do obaw naukowców o negatywne sankcje środowiska naukowego w sytuacji włączenia członków społeczeństwa w proces badawczy. Z kolei presja normatywna może przyczynić się do tego, że akademicy będą obserwowali, akceptowali, a potem wdrażać w swojej pracy naukowej społecznie przyjęte zachowania w środowisku naukowym. W tym ujęciu przypuszczalne naciski normatywne sprawiają, że naukowcy dostosowują się do norm, aby wzmocnić swój profesjonalizm oraz uzyskać legitymizację swojego sposobu pracy.

Badacze są racjonalni w swoich zachowaniach. Dlatego istotny jest postrzegany wysiłek, który ma być włożony w organizację naukowej inicjatywy crowdsourcingowej. Jeśli badacz uzna, że nakłady czasu i wysiłku przewyższają koszty, to nie zdecyduje się na crowdsourcing naukowy. Co więcej, nawet gdy badacz zdecyduje się na crowdsourcing naukowy, a napotka pewne trudności, może zrezygnować z niego w przyszłych projektach. Nie bez znaczenia jest przekonanie, że crowdsourcing spełni ich potrzeby związane z dostępem do różnicowanej wiedzy, umiejętności czy podniesieniem jakości prowadzonych badań. Ostatnią kwestią mogącą mieć znaczenie dla

intencji sięgnięcia po crowdsourcing naukowy są przekonania pracowników, że uczelnia ceni ich wkład i zapewni możliwości zwiększenia potencjału zawodowego. W związku z tym czują się zobowiązani do odwzajemnienia tych przysług i wykazują skłonność do wykonania określonych działań. Jak już wspomnieliśmy, wykorzystanie crowdsourcingu w badaniach naukowych może prowadzić do różnych dylematów etycznych, przed którymi stają pracownicy naukowcy, takich jak: reprezentatywność próby, uogólnianie, jakość uzyskanych danych czy wynagrodzenie dla członków społeczności wirtualnej. Prowadzi to do tego, że naukowcy będą zainteresowani możliwością uzyskania wsparcia w zakresie tworzenia mechanizmów zapewniających jakość w projektach badawczych realizowanych za pomocą crowdsourcingu. Dodatkowo, platformy crowdsourcingowe można postrzegać jako system zarządzania pracą, w którym naukowcy monitorują, zarządzają i reagują na pracę internautów, aby zapewnić jej jakość. Jak każdy system, tak i uruchomienie projektu badawczego za pomocą platformy crowdsourcingowej wymaga od naukowców wiedzy na temat jej funkcjonalności i działania. Dlatego na znaczeniu zyskuje możliwości uzyskania wsparcia technicznego przez naukowców.

Ku popularyzacji – dobre praktyki, rekomendacje i kompetencje

Pierwszy rzut oka na wyzwania związane ze stosowaniem crowdsourcingu naukowego może być paraliżujący, bowiem ich liczba i znaczenie dla rygoru metodologicznego wydają się fundamentalne. Występują również wyzwania behawioralne, które ograniczają szerszą jego popularyzację. Znaczenie mają grupy odniesienia czy poznanie przez pracownika naukowego istoty crowdsourcingu i jego potencjalnych korzyści dla tworzenia wiedzy naukowej. Warto zatem, aby uczelnie udostępniły swoim pracownikom przykłady dobrych praktyk stosowania crowdsourcingu naukowego przez uczonych z innych placówek. Może to ośmielić i zachęcić do stosowania crowdsourcingu naukowego, gdyż naukowcy dostrzegą, że taki sposób tworzenia wiedzy jest aprobowany.

Takie działania podejmowane są przez uczelnie. Przykładowo, szczegółowe wytyczne i rekomendacje dotyczące korzystania z crowdsourcingu w pracy naukowej zamieściły dla pracowników naukowych takie uczelnie jak: Lehigh University w Bethlehem, Laboratory for Innovation Science Uniwersytetu Harvarda czy UC Berkeley. Natomiast grupa ExCitesS na University College London opracowała bezpłatny ogólnodostępny kurs zatytułowany „Wprowadzenie do nauki obywatelskiej i crowdsourcingu naukowego”. A zatem dobrym rozwiązaniem może być opracowanie przewodnika po platformach crowdsourcingowych i ich funkcjonalnościach. Powinien on mieć charakter interaktywny, z możliwością szybkiego, intuicyjnego przeszukiwania haseł czy rozwiązań pojawiających się problemów.

Innym krokiem jest rozwój kompetencji badaczy w zakresie crowdsourcingu naukowego, które umożliwią podjęcie tego typu inicjatywy. Stoimy na stanowisku, że wsparcie w postaci szkoleń nie powinno być obligatoryjne, lecz dostępne dla zainteresowanych. Narzucanie czy włączenie crowdsourcingu naukowego w systemy oceny pracowniczej nie tylko nie zachęca do niego naukowców, ale wręcz przeciwnie – będzie on traktowany jako kolejny obowiązek, który musi być realizowany. To raczej spotęguje sygnalizowanie wyzwania niż je zniweluje. Warto crowdsourcing naukowy włączać w praktyki naszych instytucji, ten obiecujący proces zasługuje na uwagę dlatego, że łączy.

Regina Lenart-Gansiniec, Wojciech Czakan, Wydział Zarządzania i Komunikacji Społecznej, Uniwersytet Jagielloński w Krakowie

Maria Lewicka

Psychologia miasta jako psychologia miejsca

Nie wszystkie miejsca są znaczące, a więc mają znaczenie pozytywne. Są też miejsca o znaczeniu negatywnym: nadmiernie różnorodne, chaotyczne i pozbawione ciągłości lub nadmiernie zamknięte, stagnujące.

Miasto jest przedmiotem interdyscyplinarnych badań. Jest też naturalną przestrzenią życia dla rosnącej liczby mieszkańców. W 2007 roku świat przekroczył magiczną granicę urbanizacji, ponad 50% światowej populacji obecnie zamieszkuje miasta. W Europie ten procent jest znacznie większy, w Polsce przekracza 62%. W 2007 roku niezwykły już wybitny socjolog miasta, profesor Bohdan Jałowicki, zorganizował w Warszawie konferencję poświęconą interdyscyplinarnemu spojrzeniu na miasto. Była kolejną z cyklu konferencji o tym samym tytule („Miasto jako przedmiot badań naukowych”) ale po raz pierwszy do dyskusji, obok typowych badaczy miasta – socjologów, geografów czy ekonomistów – zaproszono przedstawicieli nauk humanistycznych, a także, w mojej osobie, psychologię. Był to wyraz uznania dla badań, jakie wraz z moimi studentami i doktorantami prowadziłam od kilku lat w Warszawie i w wielu innych miastach, również za naszą wschodnią granicą. Badania dotyczyły przywiązania do miejsca oraz roli pamięci miejsca w kształtowaniu tożsamości lokalnej. Program badawczy obejmował miasta, które w wyniku zmian granic po drugiej wojnie światowej zmieniły swój skład narodowy. Interesowało nas jaką rolę w tożsamości obecnych mieszkańców i ich przywiązaniu do miasta odgrywa pamięć wielonarodowej historii miasta. Pamięć ta okazała się zresztą niezwykle ułomna, większość obecnych mieszkańców przeceniała wkład swojej grupy narodowej: liczebność własnej grupy, jej osiągnięcia i wpływ na życie miasta. Ten etnocentryzm pamięci historycznej stał się ważnym tematem naszych badań. Badaliśmy go zresztą nie tylko w odniesieniu do pamięci całych miast ale też instytucji, na przykład uniwersytetów, które w wyniku powojennej zawieruchy zmieniły swoich gospodarzy. Zajmowaliśmy się też współczesnością, na początku obecnego wieku jak grzyby po deszczu zaczęły się w Warszawie mnożyć osiedla zamknięte, enklawy wygrodzonych bloków, mających zapewnić mieszkańcom komfort, a przede wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Objęliśmy badaniami wiele takich osiedli zarówno w Warszawie, jak i w innych miastach. Badaliśmy poczucie bezpieczeństwa, przywiązanie do miejsca w osiedlach grodzonych w porównaniu z tradycyjnymi. Wiele wyników tych pierwszych badań znalazło wyraz w monografii *Psychologia*

miejsca mojego autorstwa, opublikowanej w roku 2012 nakładem Naukowego Wydawnictwa „Scholar”. Książka od początku cieszyła się dużą popularnością, nie tylko wśród psychologów, świadcząc o tym, że w naukach społecznych problematyka miejsca widzianego z perspektywy psychologicznej może cieszyć się zainteresowaniem.

Czym jest ta psychologiczna perspektywa w spojrzeniu na miasto? Takie pytanie zadawałam sobie przygotowując najpierw wystąpienie, a potem rozdział do pokonferencyjnej książki, podsumowującej wspomnianą konferencję. To samo pytanie zadawałam też sobie prowadząc kurs „Psychologia miasta” dla studentów kierowanej przeze mnie specjalizacji z zakresu psychologii środowiskowej. Literatura do tego kursu obejmowała prace socjologiczne, geograficzne, urbanistyczne – gdzie tu miejsce dla psychologii?

Nie tylko ja zadawałam sobie takie pytanie. Mniej więcej w tym samym czasie, na początku obecnego wieku, narodził się w psychologii światowej ruch zmierzający do utworzenia nowej dyscypliny – Urban psychology, psychologia miasta. Nazwa nawiązywała do szacownych dyscyplin o wieloletniej historii, socjologii, geografii i ekonomii miasta, ale obszar badań miał być inny. Liczący kilkadziesiąt stron manifest nowej psychologii miasta (*Task Force on Urban Psychology*), opracowany przez Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne, obejmował badanie zachowań ludzi w mieście oraz psychologicznych problemów obserwowanych w przestrzeni miejskiej, takich jak bezdomność, narkomania, przestępczość. Zbliżało to nową psychologię miasta do skądinąd niezłe ugruntowanej w badaniach dziedziny zwanej psychologią społeczności (community psychology). Nasza perspektywa była jednak zupełnie inna. I o tej perspektywie chciałabym tu napisać więcej.

Psychologia miasta jako psychologia miejsca

Terminy „miasto” i „miejsce” mają ten sam źródłosłów i jest tak nie tylko w języku polskim. Miasto jest zatem miejscem, i co więcej, biorąc pod uwagę procesy dynamicznej urbanizacji, coraz częściej jest traktowane jako naturalne miejsce do życia. Dlatego jako punkt wyjścia naszych badań potraktowaliśmy miasto tak właśnie rozumiane, koncentrując się na tym,

jakie znaczenie ma ono dla swoich mieszkańców. Nawiązaliśmy tym samym do dziedzictwa geograficznego i filozoficznego, zgodnie z którym miejsce definiowane jest jako „znacząca lokalizacja”. Miejsce to nie jedynie lokalizacja w przestrzeni, nawet opatrzona nazwą, to nie tylko materialne wyposażenie – place, budynki, miejskie parki, ale przede wszystkim subiektywne znaczenie tej lokalizacji dla jednostki oraz społeczności je zamieszkującej. Psychologia miasta staje się zatem psychologią miejsca. Socjolog Thomas Gieryn pisał w artykule zatytułowanym *Przestrzeń dla miejsca w socjologii* (2000): „Punkt we wszechświecie z nagromadzoną w nim materią, staje się miejscem dopiero wtedy, gdy zawiera w sobie historię lub utopię, zagrożenie lub bezpieczeństwo, tożsamość lub pamięć. Miejsce to nie jest po prostu sceneria wydarzeń lub ich tło, ale aktywny gracz w grze – siła, która wywiera dostrzegalny i niezależny wpływ na życie społeczne” (s. 465-466).

Różne cechy miejsca mogą być źródłem pozytywnych znaczeń dla mieszkańców miasta. W naszych rozważaniach na temat znaczenia miejsca sięgnęliśmy do dwóch, wzajemnie konkurencyjnych, nurtów geografii człowieka – fenomenologicznego oraz konstruktywistycznego. Te dwa nurty zwracają uwagę na zupełnie inne cechy miejsc, które czynią je znaczącymi lokalizacjami. Pierwszy koncentruje się na pewnych stałych, esencjalnych właściwościach miejsc, dzięki którym człowiek czuje się w danym miejscu zakorzeniony i bezpieczny, staje się częścią miejsca, które go otacza, i które daje mu gwarancję stabilności i poczucie identyfikacji. Drugi zwraca uwagę na otwartość i zmienność miejsca, jego dynamikę i różnorodność. Umownie, bynajmniej nie wartościując tych cech, można je nazwać, odpowiednio, „konserwatywnymi” i „progresywnymi”. W mieście te dwa zbiory cech nieustannie się przeplatają, tworząc różne wizje miasta i jego dzielnic. Są zatem w mieście miejsca spełniające kryteria pierwszego nurtu: dające spokój, wyodrębnione z reszty tkanki miejskiej, dające poczucie ciągłości dzięki historycznemu dziedzictwu oraz miejsca tętniące życiem, dynamicznie się zmieniające i otwarte na różnorodność fizyczną i społeczną. Są też całe miasta spełniające

w większym stopniu kryteria pierwszego nurtu oraz takie, które w większym stopniu odpowiadają miejscom drugiego rodzaju. Historyczny Toruń jest bardziej „konserwatywny” niż dynamiczna Warszawa, czy choćby wielkością bardziej odpowiadający Toruniowi Rzeszów. Wreszcie architektura, ta historyczna czy historyczująca lepiej odpowiada kryteriom pierwszego rodzaju, modernizm czy postmodernizm – drugiemu. No i na koniec natura w mieście, ta uporządkowana, „parkowa”, lepiej odpowiada pierwszej wizji, ta dzika i bioróżnorodna – drugiej.

Należy też podkreślić, że nie wszystkie miejsca są znaczące, a więc mają znaczenie pozytywne. Są też miejsca o znaczeniu negatywnym: nadmiernie różnorodne, chaotyczne i pozbawione ciągłości lub nadmiernie zamknięte, stagnujące. Używając wprowadzonego przez antropologa Marca Augé (1995, tłum. polskie 2010) terminu, nazwalibyśmy je nie-miejscami i posługując się wprowadzoną terminologią nie-miejscami progresywnymi lub konserwatywnymi. Należy też podkreślić, że lokalizacja, która dla jednej osoby będzie konserwatywnym miejscem, gwarantując jej spokój i dając poczucie zakorzenienia i ciągłości, dla innej będzie źródłem opresji i poczucia zamknięcia, a więc stanie się konserwatywnym nie-miejscem. Podobnie na drugim biegunie, nowoczesna wysoka konstrukcja w środku miasta może być przez jednych mieszkańców oceniona jako dynamiczne progresywne miejsce, przez innych jako przytłaczające progresywne nie-miejsce.

Rozróżnienie na cechy konserwatywne i progresywne miejsc stało się podstawową osią naszych badań w ostatnich kilku latach. Stworzyliśmy zestaw kilkudziesięciu kryteriów odpowiadających obu rodzajom znaczeń miejsca. Stały się one punktem wyjścia do opracowania dwóch rodzajów narzędzi badawczych: obrazkowej i słownej skali znaczenia miejsca. Skala obrazkowa to zbiór kilkuset zdjęć ocenionych na wymiarach odpowiadających obu grupom kryteriów, skala słowna to skala werbalizująca je w postaci odpowiednich twierdzeń. W obu przypadkach kryteria „konserwatywne” okazały się znacznie bardziej zróżnicowane wewnętrznie niż kryteria „progresywne”. W tej



Fot. Maria Lewicka

To konserwatywne miejsce większość badanych chciała mieć w swoim mieście

pierwszej grupie wyodrębniły się dwa rodzaje znaczeń: pierwsza grupa obejmowała historyczność i naturalność miejsca, subiektywne poczucie „klimatyczności” miejsca i zanurzenia w nim, podczas gdy druga grupa znaczeń odpowiadała stabilności, niezmienności i wewnętrznej spójności miejsca. Kryteria „progresywne” stworzyły jednolitą grupę.

Zaopatrzeni w różne narzędzia do badania znaczeń przypisywanych miejscom, a także różne słowne narzędzia diagnozujące przywiązanie do miasta, badaliśmy, które miejsca są przez mieszkańców preferowane, jakie znaczenia decydują o pozytywnym stosunku i przywiązaniu do miejsca, które miejsca w mieście są otwarte na przyjęcie nowych mieszkańców miasta, a także na ile podatne są na zachodzące w mieście zmiany. Sprawdzaliśmy też, które znaczenia częściej wykorzystywane są przez mieszkańców do pokazywania przewagi swojego miasta nad innymi miastami. Badaliśmy zarówno znaczenie przypisywane faktycznym miejscom w mieście, jak też idealne wizje miasta. Nasze narzędzia pozwalają też na identyfikację różnic indywidualnych: jedni bowiem wolą miejsca konserwatywne, inni skłaniają się ku progresywnym. Badaliśmy zatem, jak te preferencje przekładają się na akceptację zmian w mieście i na poczucie nostalgii za miejscem, które bezpowrotnie zostało utracone. Dzięki zakończonemu przed rokiem grantowi Narodowego Centrum Nauki udało nam się przeprowadzić kilkadziesiąt różnych badań sondażowych i eksperymentalnych na większych i mniejszych próbach obejmujących zarówno cały kraj, jak i poszczególne miasta. Wyniki składają się na dość spójny obraz, ale też wymagają kontynuacji. Jest to zresztą taki obszar badań, w którym kierunki przyszłych badań wyznacza z jednej strony teoria (tu: znaczenia miejsca) ale z drugiej obserwacja wydarzeń, jakie mają miejsce w przestrzeniach naszych miast. I to wzajemne przenikanie się teorii i obserwacji miejskiego życia jest chyba najciekawszym aspektem tych badań.

Jak wynika z naszych badań, konserwatywne cechy miejsc, zidentyfikowane przez pierwszych badaczy miejsca – geographów Edwarda Relpha, Yi Fu-Tuana, Anne Buttimer, Davida Seamona, architekta Christiana Norberga-Schulza – odgrywają

szczególną rolę w kształtowaniu relacji ludzi z ich miejscem i miastem. Miejsca charakteryzowane jako posiadające klimat, historyczne, naturalne, wewnętrznie spójne są traktowane jako w większym stopniu spełniające definicję dobrego miejsca niż miejsca otwarte, dynamiczne – progresywne. Badani, którym pokazywano zdjęcia miejsc konserwatywnych i progresywnych z pytaniami, które miejsca chcieliby mieć w swoim miejscu zamieszkania, zdecydowanie częściej opowiadali się za tymi pierwszymi. Wyniki innych naszych badań, w których prosiliśmy mieszkańców kilku par miast o ocenę swojego i sąsiedniego miasta, pokazały, że mieszkańcy miast o przewadze cech konserwatywnych bardziej faworyzowali swoje miasto, porównując je z innymi niż mieszkańcy miast o przewadze cech progresywnych. Równocześnie jednak w bardzo wielu miastach, tych niewielkich, często stagnujących ekonomicznie, pojawia się – co zupełnie zrozumiałe – tęsknota za zmianą, a ta oznacza progresywność. Co więcej, deklarowane przywiązanie do miejsca zamieszkania nader często było wyznaczane przez takie cechy miast, których te miasta nie miały w nadmiarze (progresywne w miastach konserwatywnych, konserwatywne w progresywnych) niż przez ich typowe cechy.

Miasto jako miejsce zrównoważone

Dziewięć lat temu przeprowadziłam się z najbardziej progresywnego miasta Polski, Warszawy, do miasta o wyraźnie konserwatywnym charakterze, Torunia. I chociaż moje pierwsze zainteresowania psychologią miejsca i miasta zrodziły się w Warszawie, to jednak ich inspiracją był zawsze styk tych dwóch rodzajów znaczeń. Jest on bardzo widoczny właśnie w Toruniu. To miasto historyczne, nie tylko ze względu na datę jego założenia ale też widoczne w przestrzeni publicznej ślady owej – zresztą wielowątkowej i wielonarodowej – historii. Najbardziej charakterystyczną częścią miasta jest oczywiście toruńska Starówka o zachowanym od średniowiecza kształcie urbanistycznym i gotyckiej architekturze, miejsce, które corocznie przyciąga kilkumilionowe rzesze turystów. Ale poza gotyką Starówką, Toruń ma też inne ślady historii, pewnie w niemniej-



Fot. Maria Lewicka

To progresywne wielkomiejskie miejsce nie podobało się naszym badającym



Fot. Maria Lewicka

A ten niech sobie stoi w zieleni – toruńska Winnica: czy na tym miejscu powinien powstać wieżowiec?

szym stopniu decydujące o jego genius loci, co ów osławiony „gotyk na dotyk”. Historia jest zatem dumą tego miasta i to widać w wypowiedziach mieszkańców. Emocjonalny związek z miastem widać też w bardzo wysokich miarach przywiązania do miasta. Ale obok zachwytów pojawiają się też wypowiedzi, których autorzy tęsknie spoglądają w kierunku bardziej progresywnej Bydgoszczy, szybciej rozwijającego się Rzeszowa czy też większych miast: Poznania, Gdańska, Warszawy. „Tylko historia i historia, mogłoby się bardziej rozwijać” – jak to sformułował jeden z naszych badanych. Inni, głównie anonimowi komentatorzy wpisów na lokalnych portalach, formułują tę myśl bardziej dosadnie.

Od kilku lat toczy się w Toruniu spór o tzw. pierwszy toruński wieżowiec. Wprawdzie Toruń, podobnie jak inne polskie miasta tej wielkości, ma osiedla złożone z wielopiętrowych bloków mieszkalnych, dla zwolenników miasta progresywnego są one jednak co najwyżej symbolem archaicznej, PRL-owskiej zabudowy. Prawdziwym symbolem nowoczesności są

bowiem wielopiętrowe, szklano-betonowe konstrukcje, wyrastające ponad horyzont miasta. „Pierwszy toruński wieżowiec” jest zresztą problematyczny nie tylko dlatego, że może nie wpisywać się w klimat konserwatywnego, historycznego miasta, ale też dlatego, że projektant umieścił go w niemniej kontrowersyjnym miejscu – na brzegu Wisły, w bezpośrednim sąsiedztwie obszaru Natura 2000, obszaru o wysokim poziomie wód gruntowych, podmokłym, z licznymi oczkami wodnymi. Oczywiście współczesne technologie są w stanie przesunąć jezioro gdzie indziej, „a ten niech sobie stoi w zieleni”, jak to proponował „inżynier” w kultowym filmie Stanisława Barei. Jak skończy się ten spór, zobaczymy.

Niezależnie od wpływu na kształt miasta, interesujący jest aspekt teoretyczny tego sporu. Stał się on punktem wyjścia dla naszych kolejnych projektów badawczych dotyczących zmian miejsca, reakcji na zmiany i towarzyszącym tym zmianom poczuciom ciągłości i nieciągłości u mieszkańców miasta.

Jak osiągnąć konieczną równowagę między miastem konserwatywnym i progresywnym? Temat reakcji na architektoniczne i urbanistyczne zmiany w mieście, warunki ich akceptacji i konsekwencje psychologiczne, podejmujemy obecnie w jednym z projektów finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki (Preludium Bis). Realizatorem badań i współtwórcą pomysłów jest doktorant Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Mateusz Strzałkowski. Pod lupę wzięliśmy trzy style architektoniczne: historyczny, modernistyczny i postmodernistyczny. Badamy z jednej strony ocenę budynków reprezentujących te style, stosując nasze kryteria znaczenia miejsc, z dru-



Fot. Maria Lewicka

Dom Heleny Grossówny w Toruniu – wybitnej polskiej aktorki okresu międzywojennego

giej strony reakcję na zmiany w przestrzeni miejskiej, wprowadzające do przestrzeni zdominowanej przez jeden ze stylów budynki reprezentujące inny styl. Badamy, które zmiany są bardziej, a które mniej akceptowalne, na ile akceptacja zmiany zależy od przywiązania do miejsca, a także od indywidualnie zróżnicowanego kapitału kulturowego – wysokiego, popularnego czy też „wszystkożernego”. Nawiązujemy tu do bogatej literatury zainspirowanej teorią kapitału kulturowego francuskiego socjologa, Pierre’a Bourdieu. Interesuje nas zatem, czy osoby reprezentujące kapitał kulturowy „popularny” będą mniej otwarte na modyfikacje przestrzeni o cechach konserwatywnych niż osoby reprezentujące inne rodzaje kapitału kulturowego. A może odwrotnie? Może to właśnie osoby o wysokim kapitale kulturowym będą bronić historycznej przestrzeni przed „progresywną” rewolucją? To, że indywidualnie ukształtowane gusta mają znaczenie dla percepcji przestrzeni miejskiej, przekonaliśmy się w innym badaniu, w którym badaliśmy ocenę fasad budynków o zróżnicowanym natężeniu tzw. pastelozji, była ona znacznie bardziej akceptowana przez przedstawicieli kapitału „popularnego” i „wszystkożernego” niż tych o bardziej sprecyzowanych i wyrafinowanych gustach. Nadmienimy przy tym, że prowadzone badania dotyczące reakcji na zmiany miejsc mają charakter eksperymentalny, a wszelkie eksponowane zdjęcia są uprzednio poddawane rygorystycznej kontroli.

Co dalej? Przewijający się przez współczesną urbanistykę postulat zrównoważonego i spójnego miasta wpisuje się doskonale w nasze projekty badawcze. Planujemy zatem kolejne projekty dotyczące reakcji mieszkańców na zmiany w ich miastach. Badaniami zamierzamy objąć różne miasta. Towarzyszy nam przekonanie, że dobre miasto to takie, z którym mieszkańcy się identyfikują i chcą w nim się zatrzymać na dłużej. Wszystkie nasze dotychczasowe badania pokazują, że konsekwentnym predyktorem silnej więzi emocjonalnej z miejscem jest poczucie ciągłości, a więc poczucie, że historia miejsca jest częścią mojej własnej historii, a moja osobista historia współtworzy historię miejsca. Jak zatem zachować ciągłość, wprowadzając zmiany? Jak nie zmienić miejsca w nie-miejsce? I jaką rolę w akceptacji tych zmian odgrywa indywidual-

nie zróżnicowane poczucie ciągłości osobistej i postrzeganej ciągłości miejsca? Jeżeli dostaniemy odpowiednie dofinansowanie, będziemy prowadzić badania zarówno w naturalnej przestrzeni miasta, jak i eksperymentalne, wykorzystując nowe technologie, symulujące zmiany w przestrzeni wirtualnej. Mamy nadzieję, że badania wzbogacą teorię miejsca, ale też będą mieć przełożenie na polityki miejskie i rozmowy z mieszkańcami. Obecny prezydent Torunia, z którym współpracujemy, często powołuje się na „psychologię miejsc”, traktujemy to jako ważny sygnał, że również władze naszych miast mogą myśleć o mieście w perspektywie psychologicznej, a nie tylko ekonomicznej i finansowej.

Aktualnie badania w psychologii prowadzi się zawsze w zespołach, na pomysły teoretyczne i sposób ich realizacji mają zatem wpływ wszyscy członkowie zespołu. Przedstawione powyżej badania były realizowane przez następujące osoby, którym niniejszym dziękuję: Anna Wnuk, Monika Prusik, Sabina Toruńczyk-Ruiz, Tomasz Oleksy, Agnieszka Kula z Uniwersytetu Warszawskiego, Bartłomiej Iwańczak z Instytutu Badań Edukacyjnych, Katarzyna Zaborska z Uniwersytetu Łódzkiego, Olena Dobosh ze Lwowa, Mateusz Strzałkowski, Alex Lubiński, Szymon Bojarski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz studenci z tegoż Uniwersytetu.

Badania dotyczące psychologii miasta jako miejsca były finansowane z kilku projektów badawczych, finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki: (2012-2016): Odzyskiwanie pamięci: Tożsamościowa rola społecznej pamięci miejsca. Grant OPUS NCN Nr 2011/03/B/HS6/03320; (2018-2022): Sposrzeganie miejsc jako bytów esencjalnych: Implikacje dla poczucia identyfikacji z miejscem, pamięci miejsca oraz reakcji na różnorodność i zmianę miejsca. Grant OPUS NCN Nr 2017/25/B/HS6/00137; (2021-2025): Otwartość na zmiany architektoniczne w miastach: Rola kapitału kulturowego, przywiązanie do miejsca i cech miejsc. Grant Preludium BIS2. No: 2020/39/O/HSG/00082.

Prof. dr hab. Maria Lewicka pracuje w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.



Fot. Szymon Bojarski

Przerwana ciągłość: po zburzeniu domu Grossówny – na tym miejscu obecnie znajduje się... parking.

Od miasta socjalistycznego do globalnej metropolii

Jak transformacja społeczno-przestrzenna zmienia oblicze Warszawy.

Warszawa od lat przechodzi dynamiczne przemiany, które czynią ją jednym z najbardziej interesujących przykładów metropolizacji w Europie Środkowo-Wschodniej. Jak procesy te kształtują strukturę społeczną i przestrzenną stolicy? I co to oznacza dla mieszkańców miasta oraz przyszłości urbanistycznej stolicy Polski?

Procesy metropolizacji, czyli przekształcania się dużych miast w globalne metropolie, znacząco wpływają na ich przestrzeń społeczną. Metropolie wyróżniają się dynamicznym rozwojem transnarodowych korporacji i towarzyszących im przedsiębiorstw świadczących specjalistyczne usługi biznesowe. Równolegle rośnie w nich znaczenie branż opartych na zaawansowanych technologiach i sektora kreatywnego, co sprzyja tworzeniu i rozwojowi grup społecznych, takich jak klasa metropolitalna i kreatywna. Zjawiska te idą w parze z rozwojem funkcji kulturalno-handlowych, które zwiększają atrakcyjność tych miast dla turystów. Jednocześnie obserwuje się outsourcing prostych usług i rozwój tzw. ekonomii platformowej, co przekłada się na wzrost zapotrzebowania na nisko opłacanych pracowników wykonujących prace niewymagające kwalifikacji. Nasze badania skupiają się na analizie skutków tych procesów dla

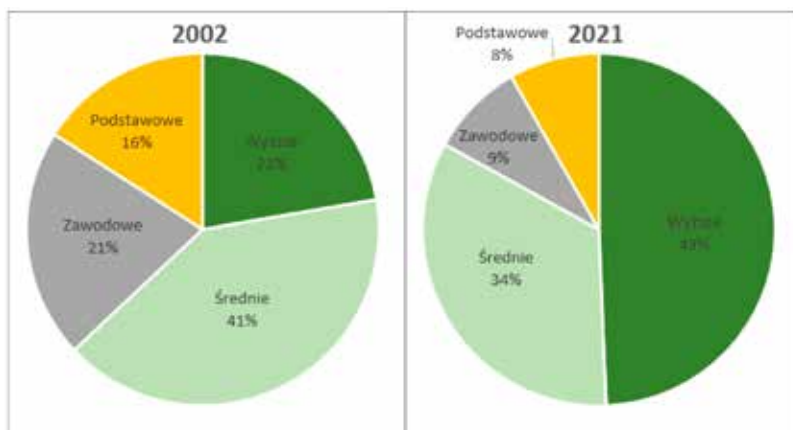
struktury społeczno-przestrzennej Warszawy. Stolica Polski aspiruje do grona globalnych metropolii, ale nadal nosi ślady swojej socjalistycznej przeszłości przejawiającej się stosunkowo egalitarną strukturą społeczną.

Jak i dlaczego zmienia się społeczna struktura Warszawy?

Od ponad stu lat badacze, zainspirowani tzw. Szkołą Chicagowską, analizują zmieniające się przestrzenie miejskie. Obecnie dużą uwagę poświęca się narastającym nierównościom społecznym i polaryzacji przestrzennej zachodzącej w wielkich miastach. Pojęcie „miasta dualnego”, wprowadzone przez socjologa Manuela Castellsa, podkreśla kontrasty między bogatymi a biednymi w globalnych metropoliach. Na poziomie lokalnym akcentuje się zmiany zachodzące w poszczególnych dzielnicach,

które są efektem procesów takich jak gentryfikacja. Termin ten opisuje transformację zaniedbanych rejonów miasta w atrakcyjne miejsca zamieszkania dla zamożniejszych mieszkańców. Przyjrzyjmy się tym zjawiskom w Warszawie, analizując dane z powszechnych spisów ludności, które pozwalają dostrzec kierunki przemian przestrzennych stolicy Polski na przestrzeni ostatnich dwóch dekad.

Jednym z najbardziej widocznych trendów zmian struktury społecznej Warszawy w ostatnich dziesięcioleciach był znaczący wzrost liczby mieszkańców z wyższym wykształceniem. Podczas gdy w 2002 r. mniej niż co czwarty mieszkaniec Warszawy miał dyplom



Rys. 1. Mieszkańcy Warszawy według wykształcenia

ukończenia wyższej uczelni, obecnie może się nim pochwalić co drugi warszawiak. Wynika to z popytu na wykwalifikowanych pracowników ze strony sektora zaawansowanych usług biznesowych, który zatrudnia obecnie ponad 30% pracujących w stolicy. Natomiast sektor przemysłowy stanowiący kiedyś podstawę gospodarki miasta oferuje obecnie mniej niż 10% miejsc pracy, a udział robotników, rzemieślników, operatorów maszyn i monterów wśród pracujących spadł do około 5%.

Dynamiczny rozwój Warszawy nie byłby możliwy bez napływu nowych mieszkańców. Liczba mieszkańców Warszawy w ostatnich 20 latach wzrosła do 1,85 mln mieszkańców, czyli o 10%. Nie przeszkodziły w tym intensywne procesy suburbanizacji, które w większości pozostałych dużych miast Polski doprowadziły do ich stopniowego wyludnienia w granicach administracyjnych. I to mimo tego, że w gminach otaczających Warszawę wzrost liczby mieszkańców wyniósł w okresie 2002–2021 przeciętnie 40%. Siła przyciągania stolicy była jednak wciąż bardzo duża, co dotyczyło zwłaszcza osób młodych i dobrze wykształconych. W efekcie osoby, które przeprowadziły się do Warszawy w ostatniej dekadzie stanowią obecnie około 17% ogółu mieszkańców. Stopniowo rośnie też odsetek imigrantów zagranicznych - przede wszystkim z krajów spoza UE - który w 2021 r. wyniósł około 4%, co oznacza czterokrotny wzrost w stosunku do 2002 r. Należy przy tym pamiętać, że te dane uznawane są za zaniżone, a ponadto nie uwzględniają napływu mieszkańców Ukrainy po rosyjskiej agresji w 2022 r.

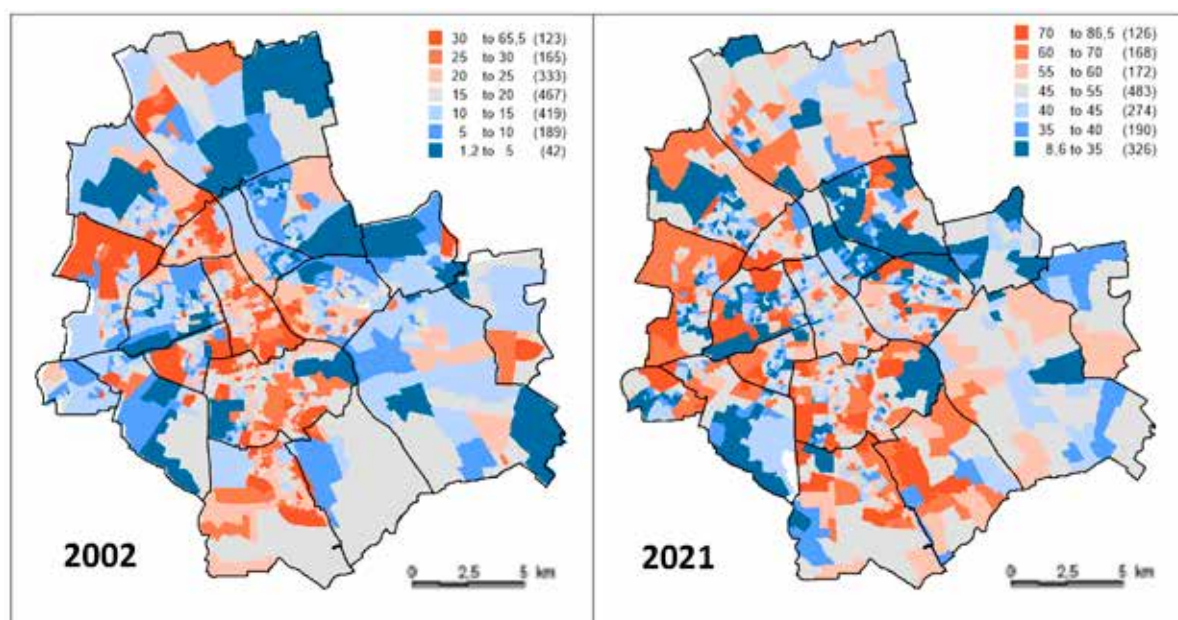
Zmiany struktury społeczno-przestrzennej Warszawy: gentryfikacja i nowe podziały

Wbrew oczekiwaniom, procesy metropolizacji nie doprowadziły do znaczącego wzrostu zróżnicowań społeczno-przestrzennych w Warszawie. Co więcej, skala tych różnic jest obecnie wyraźnie mniejsza niż w okresie przed transformacją ustrojową. Niemniej jednak można zaobserwować pewną polaryzację przestrzenną w rozmieszczeniu ludności w zależności od poziomu wykształcenia. Wynika to z powstania relatywnie jednorodnych sąsiedztw zamieszkałych przez osoby z wyższym wykształceniem oraz utrzymywania się rejonów z dużym odsetkiem osób bez świadectwa maturalnego. Nowe osiedla zamieszkałe przez osoby lepiej wykształcone rozwijały się zwłaszcza poza centrum miasta. Gentryfikacja dotyczyła też dzielnic cen-

tralnych, m.in. Woli, dawnej dzielnicy robotniczo-przemysłowej, która przeszła głęboką transformację na skutek rozwoju wielkiego klastra powierzchni biurowej. Te procesy zachodziły również na Pradze Północ, która tradycyjnie uważana była za jedną z najmniej atrakcyjnych do zamieszkania warszawskich dzielnic. Obecnie odsetek osób z wyższym wykształceniem mieszkających w tej części miasta wynosi 34%, co oznacza 2,5-krotny wzrost w porównaniu z 2002 r. Innym obszarem wyraźnego wymieszania ludności o różnym poziomie wykształcenia były peryferia miasta, takie jak Wilanów, Białołęka i Wawer, choć w niektórych przypadkach przyjmowało to formę powstawania homogenicznych osiedli, tak jak Miasteczko Wilanów. W efekcie charakterystyczne dla pierwszej dekady transformacji kontrasty społeczne w Warszawie zostały jednak utrzymane.

Wielowymiarowa analiza przekształceń przestrzeni społecznej Warszawy, uwzględniająca cechy demograficzne, społeczne oraz środowisko mieszkaniowe, pozwala lepiej zrozumieć zmiany zachodzące w mieście. W porównaniu do 2002 roku kluczowym czynnikiem kształtującym zróżnicowania przestrzenne stała się pozycja społeczno-zawodowa, zastępując wcześniejsze znaczenie statusu rodzinnego. Osoby o wyższym statusie częściej mieszkają w dzielnicach położonych wzdłuż skarpy warszawskiej oraz w południowej części miasta. Jednocześnie doszło do osłabienia tradycyjnej osi wschód-zachód, która dotychczas wskazywała na wyższy udział osób o niższym statusie mieszkających na Woli i Pradze Północ. Proces ten wynikał zwłaszcza z rozszerzenia prestiżu centrum miasta w kierunku zachodnim. Z kolei negatywne oddziaływanie lotniska Okęcie na środowisko mieszkaniowe stało się bardziej zauważalne, zastępując wcześniejsze negatywne oddziaływanie terenów przemysłowych położonych wzdłuż linii kolejowych.

Układ związany ze statusem rodzinnym zachował natomiast charakter koncentryczny. Rodziny z dziećmi, poszukując większych mieszkań i lepszych warunków życia, opuszczają centralne dzielnice, przenosząc się na obrzeża miasta lub poza jego granice. Zjawisko to, w pierwszym ujęciu określane mianem wewnętrznej suburbanizacji, prowadzi do dominacji mniejszych gospodarstw domowych w centrum, tworzonych zarówno przez emerytów, jak i młodsze osoby. Starzenie się społeczeństwa Warszawy wpłynęło przy tym na wykształcenie nowego ważnego czynnika różnic przestrzennych związanego



Rys. 2. Udział mieszkańców z wykształceniem wyższym

z wiekiem poprodukcyjnym. Zjawisko to uwidoczniło się nie tylko w centralnych dzielnicach miasta, ale również w większości osiedli mieszkaniowych wybudowanych przed 1989 rokiem, takich jak Gocław, Bemowo, Chomiczówka czy Ursynów.

Zmienił się także charakter rozmieszczenia w przestrzeni miasta młodzieży i studentów. Ich tradycyjne skupiska w pobliżu uczelni wyższych uległy przesunięciu na peryferia miasta, czemu sprzyjały niższe czynsze najmu mieszkań. W efekcie miejsca ich zamieszkania upodobiły się do preferencji mieszkaniowych imigrantów z uboższych krajów.

Spójność społeczna sąsiedztw jako wyzwanie dla polityki miejskiej

Przemiany warszawskich sąsiedztw miały przy tym różnicowany charakter. Ogólna gentryfikacja struktury społecznej miasta wpływała na wszystkie dzielnice, a kluczową rolę w ich transformacji odgrywał napływ nowych mieszkańców. W sąsiedztwach, które poprawiły swoją pozycję, dominował dynamiczny wzrost liczby ludności, co prowadziło do jakościowej zmiany ich charakteru. Napływ mieszkańców skutkowało z reguły wzrostem homogeniczności lokalnej społeczności. W mniej atrakcyjnych sąsiedztwach, które nie odnotowały dużego napływu ludności również zachodziły procesy gentryfikacji, ale w tym przypadku zwykle korzystnie zwiększało to heterogeniczność społeczną tych obszarów.

Z kolei w części lepszych sąsiedztw zwłaszcza położonych w centrum miasta zaobserwowano stagnację lub nawet spadek liczby mieszkańców. Skutkowało to wzrostem heterogeniczności ich struktury społecznej, a towarzyszył wzrost liczby mieszkań przeznaczonych na wynajem. W tych sąsiedztwach, które utrzymały lub poprawiły swoją pozycję, przeważyły natomiast procesy homogenizacji, szczególnie tam, gdzie napływ ludności

był znaczny. Tylko nieliczne z tych obszarów charakteryzowały się bardziej heterogeniczną strukturą społeczną niż przeciętnie.

Rodzi to pytanie, jak kształtować się będą relacje między napływowymi a dotychczasowymi mieszkańcami, zwłaszcza w kontekście różnic w ich statusie społecznym, wykształceniu czy stylu życia. Te interakcje mogą prowadzić zarówno do wzajemnego wzbogacania się społeczności, jak i do napięć wynikających z odmiennych oczekiwań, wartości czy sposobów korzystania z przestrzeni publicznej. Ważnym aspektem tych relacji jest możliwość wystąpienia procesów integracji lub, przeciwnie, segregacji społecznej. To, w jaki sposób nowe grupy odnajdą się w istniejącej strukturze sąsiedztwa, będzie miało kluczowe znaczenie dla dynamiki życia społecznego w Warszawie.

Będzie to przedmiotem dalszych badań realizowanych w ramach naszego projektu. Szczególną uwagę warto zwrócić na mechanizmy umożliwiające współdziałanie różnych grup, takie jak tworzenie przestrzeni wspólnych, rozwój lokalnych inicjatyw integracyjnych czy programy wsparcia skierowane zarówno do nowych mieszkańców, jak i do tych, którzy mogą odczuwać skutki marginalizacji w wyniku zachodzących przemian. Zrozumienie, jak różne grupy mieszkańców postrzegają siebie nawzajem i jakie wyzwania napotykają w codziennym współżyciu, będzie kluczowe dla zaproponowania skutecznych działań mających na celu osiągnięcie harmonijnego rozwoju metropolii.

Artykuł podsumowuje dotychczasowe badania w ramach projektu „Miasto postsocjalistyczne w dobie metropolizacji: przemiany przestrzeni społecznej Warszawy XXI wieku” (NCN 2022/45/B/H54/00719), realizowanego przez zespół EUROREG (Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych), Uniwersytet Warszawski w składzie: dr hab. M. Smętkowski, prof. UW, dr J. Orchowska, mgr P. Miszczuk.

Dr hab. Maciej Smętkowski, prof. UW, (EUROREG), Uniwersytet Warszawski

Nie taki SZSP straszny...

Socjalistyczny Związek Studentów Polskich i inne organizacje młodzieżowe z okresu PRL można by zaliczyć do „słusznie minionej” przeszłości, gdyby nie to, że osobom publicznym raz po raz wypomina się przynależność do tych organizacji, nazywając je np. „komunistycznymi młodzieżówkami”. Członkostwo w SZSP i podobnych organizacjach ma świadczyć o poparciu dla komunizmu i w ten sposób dyskredytować daną osobę. Parę lat temu nagłośniono sprawę prawniczej polityczki i jej członkostwa w SZSP, a całkiem niedawno historyk z UKSW został publicznie skrytykowany za swą młodzieńczą przysięgę ze Związkiem Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Istotnie, czytając hasła w encyklopedii (i nie znając faktów), trudno się oprzeć wrażeniu, że owe organizacje (SZSP i ZSMP) były „ideoowo, politycznie i organizacyjnie podporządkowane PZPR”, a „celem ich działalności było przygotowywanie członków do wstępowania w szeregi PZPR”. Jest to w zasadzie prawda i trudno temu zaprzeczyć. Ale nie cała prawda i nie tylko prawda. Zanim jednak postawimy pod pręgierzem tych, którym wypomniano działalność w „komunistycznych młodzieżówkach”, warto przytoczyć parę faktów, których nie znajdziemy w Internecie.

Członkostwo w SZSP było quasi obowiązkowe i wielu studentów mogło być członkami nawet o tym nie wiedząc. To raczej wypisanie się z SZSP lub niedopuszczenie do bycia zapisanym wymagało pewnych starań. Trudno mówić o przywilejach dla szeregowych członków SZSP, skoro członkami byli prawie wszyscy studenci stacjonarni urodzeni w latach 1950-1960.

Poza szeregowymi członkami byli także członkowie funkcyjni, stanowiący kilkanaście procent wszystkich studentów. Proporcjonalnie do pełnionej funkcji mogli liczyć na pewne przywileje, np. udział w zagranicznej wycieczce w atrakcyjnej cenie. Większość funkcyjnych członków SZSP niskich szczebli (uczelnianego i wydziałowego) zajmowała się organizacją imprez kulturalnych i turystycznych, kołami naukowymi itd., a nie komunistyczną propagandą.

Odrębną grupę stanowiło ścisłe kierownictwo SZSP na szczeblu centralnym i wojewódzkim, które składało się w większości z członków PZPR. To jednak prawdziwa „śmietanka”, niewielki ułamek procenta wszystkich członków SZSP. Ich postawa nie jest reprezentatywna dla wszystkich członków tej organizacji ani nawet dla jej lokalnych działaczy.

SZSP organizował także ideologiczne szkolenia, ale udział w nich nie był obowiązkowy i uczestniczyła w nich tylko niewielka część członków organizacji.

Do PZPR można było się zapisać na I roku studiów, a nawet w klasie maturalnej, i staż w SZSP lub w innym „partyjnym przedszkolu” nie był do tego konieczny.

Opieram się na własnych doświadczeniach (miejsce: UMCS w Lublinie, czas: 1974-79), nie roszczęc sobie pretensji do uogólnień. Nie ma jednak racjonalnych powodów, by w innych ośrodkach akademickich lub w innych organizacjach młodzieżowych działających w PRL w latach siedemdziesiątych było inaczej niż w lubelskim SZSP.

Marek Kosmowski

Magdalena Kuchcik

Miejskie wyspy ciepła

Jak tereny zieleni zmieniają klimat miasta

W strategiach łagodzenia zjawiska miejskiej wyspy ciepła konieczne jest nie tylko dbanie o jak największy udział terenów zieleni, ale także odpowiedni dobór szaty roślinnej. Konieczne są rozważne nasadzenia roślin niepowodujących nasilenia alergii powietrzno pochodnych.

W roku 2023 w miastach żyło 57,5% populacji globu (w Polsce było to 59,6%). Szacuje się, że do 2030 r. udział ten ma wzrosnąć do 60%, zatem nie dziwi fakt, że liczba badań i artykułów naukowych związanych z klimatem miasta, ale też ogólne zainteresowanie społeczne tym tematem stale rośnie.

Rzut oka na historię

Jedną z pierwszych wzmianek na temat cechy klimatu miasta, zanieczyszczenia powietrza, pochodzi z zapisków rzymskiego filozofa Seneki, który w 61 roku n.e. opisywał „ciężkie, cuchnące dymem z kominów” powietrze Rzymu. W początkach XII w. w niektórych miastach angielskich powietrze określano jako „niezdnośne”, już w XIII w. zakazano używania węgla do opału w Londynie, oczywiście następnie powszechnie łamanego. Rewolucja przemysłowa przyniosła wzrost zanieczyszczenia powietrza do zagrażających życiu poziomów. Jednak dopiero przypadki pojawienia się smogu w dolinie Mozy w Belgii w 1930 r., w Donorze w Pensylwanii w 1948 r. czy najtragiczniejszy epizod w Londynie, kiedy to w dniach 4-8 grudnia 1952 r. na ostrą niewydolność oddechową i inne choroby układu oddechowego zmarło 4000 ludzi, spowodowały uchwalenie ustaw dotyczących czystości powietrza i zasadniczych zmian w systemie ogrzewania domów.

Skonstruowanie pierwszych przyrządów meteorologicznych w XVII wieku zapoczątkowało pomiary elementów pogody. Te nieregularne i w pojedynczych miejscach prowadzone przez pasjonatów nauki z czasem łączono w sieci pomiarowe. Od końca XVIII w. w większości dużych ośrodków uniwersyteckich działały zestandaryzowane stacje meteorologiczne, co umożliwiło porównywanie klimatu różnych miejsc. O ile wzmianki o skrajnych warunkach atmosferycznych znajdują się na marginesach średniowiecznych kronik, o tyle za początek badań klimatu miasta przyjmuje się książkę *Klimat Londynu* Luke’a Howarda z 1833 r., który opisał wyższą o 0,9°C temperaturę powietrza w centrum miasta w stosunku do obszarów peryferyjnych i słusznie wskazał kilka przyczyn tego zjawiska: gęstą zabudowę, duże nagromadzenie ludzi i palenisk w centrum. Od tego czasu klimat miasta zaczął być kojarzony nie tylko z zanieczyszczeniem powietrza, ale też z wyższą jego temperaturą.

Trochę teorii

Klimat miejsca to typowe dla danego miejsca wartości i przebiegi roczne podstawowych elementów meteorologicznych, w tym zwłaszcza: promieniowania słonecznego, temperatury powietrza i opadów atmosferycznych. Wynika głównie z położenia miejsca na danej szerokości geograficznej (kąt padania promieni słonecznych determinuje ilość energii docierającej do Ziemi i temperaturę powietrza), odległości od mórz i oceanów, wysokości nad poziomem morza. Czynniki cyrkulacyjne (czyli napływ mas powietrza o różnych cechach) determinują rozkład elementów pogody (nasłonecznienie, temperatura, opady atmosferyczne). Z kolei czynniki lokalne (tj. struktura i cechy fizyczne podłoża atmosfery) decydują o tym, jakie są cechy klimatu danego miejsca (inne na obszarach trawiastych, leśnych, miejskich, przemysłowych, rolniczych).

I tak klimat miasta powstaje wskutek nakładania się na siebie wielu czynników:

- materiałów, z których zbudowane jest miasto (budynki oraz nawierzchnie), zwykle charakteryzujących się dużą zdolnością pochłaniania promieni słonecznych. Nagrzane w dzień powierzchnie wypromiowują ciepło w nocy, a to spowalnia ochładzanie powietrza;
- dużego udziału powierzchni nieprzepuszczalnych, z których woda szybko odpływa do kanalizacji, co powoduje spadek wilgotności powietrza i wzrost temperatury;
- „geometrii miasta”, w tym znacznego zagęszczenia powierzchni pionowych różnej wysokości budynków, co sprzyja wielokrotnemu odbiciu promieniowania słonecznego i zwiększeniu pochłaniania energii cieplnej, a także przyczynia się do zmiany kierunku i prędkości wiatru;
- ciepła wytwarzanego w elektrociepłowniach, systemach grzewczych i chłodzących emitowanego przez pojazdy, produkcję przemysłową oraz samych ludzi;
- zanieczyszczenia powietrza, które ogranicza dopływ promieni słonecznych, ale też spowalnia wypromiowanie zakumulowanego ciepła.

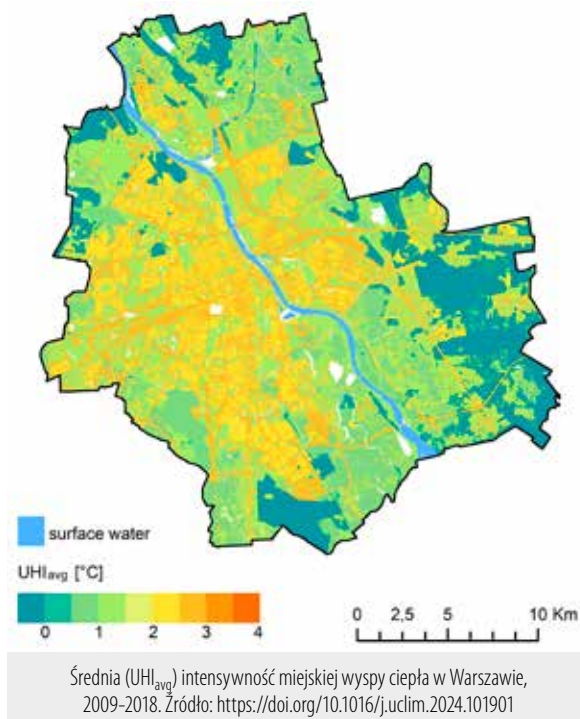
W efekcie w mieście mamy do czynienia ze znacznie wyższą niż poza miastem temperaturą powietrza, zjawiskiem znanym jako miejska wyspa ciepła (ang. UHI – urban heat island), której nasilenie jest proporcjonalne do intensywności zabudowy.

Wyspa ciepła nie stanowi jednolitego obszaru, a raczej liczne ciepłe obszary przedzielone terenami chłodniejszymi. Występuje głównie nocą i wcześniej rano, a zanika w ciągu dnia, kiedy nasłonecznione tereny wokół miasta są cieplejsze niż ocienione kaniony uliczne. Najsilniejsza jest w czasie bezwietrznych, bezchmurnych nocy. Z danych sieci monitoringu warunków termicznych aglomeracji Warszawy prowadzonej od 2001 r. przez Zakład Badań Klimatu IGiPZ PAN wynika, że średnie natężenie UHI w ścisłym centrum miasta wynosi 3,6°C, a aż 34,5% powierzchni miasta cechuje UHI o natężeniu 2,0-3,0°C.

Klimat miasta to także wyższe zachmurzenie, będące konsekwencją zwiększonego zapylenia, mniejszy dopływ bezpośredniego promieniowania słonecznego (zwłaszcza zimą w okresie wzrostu zapylenia powietrza), mniejsza prędkość wiatru i mniejsza wilgotność powietrza, która jest skutkiem szybkiego odpływu wody opadowej do kanalizacji (a przez to mniej intensywnego parowania). Proces urbanizacji, zagęszczanie zabudowy i eliminacja terenów zieleni w mieście prowadzą do wzrostu intensywności UHI i coraz częściej notowanych gorących nocy, które latem zwiększają obciążenia cieplne organizmu oraz uniemożliwiają efektywny nocny odpoczynek. Powodują także wzrost ryzyka udaru cieplnego, zaostrzenie przewlekłych chorób układu oddechowego i krążenia, prowadzą do wzrostu umieralności, głównie wśród osób starszych.

Moja ścieżka naukowa

Od początku interesowała mnie klimatologia stosowana, a szczególnie wpływ pogody na człowieka. Pracę magisterską pisałam na temat wpływu warunków atmosferycznych na wypadki drogowe. Rozprawa doktorska dotyczyła wpływu warunków aerosanitarnych i biometeorologicznych na zgony mieszkańców Warszawy, a zawierała w sobie wiele aspektów meteorologicznych, tj. wpływ termicznych warstw inwersyjnych ma stężenie zanieczyszczeń powietrza przy powierzchni ziemi czy dokładną analizę biosynoptyczną pogody w latach 1994-1995 w Warszawie. W pracy doktorskiej jako pierwsza osoba w Polsce analizowałam wpływ fal upałów na zgony. Rozprawa habilitacyjna z kolei oceniała zmiany termiczne na przełomie wieków XX i XXI w ośmiu miastach Polski oraz wpływ



skrajnych warunków termicznych na umieralność. Na podstawie dobowych danych z lat 1975-2014 obliczony został m.in. wzrost o 27% umieralności ogólnej w falach upałów w stosunku do okresu bez fali, w tym 36% wzrostu wśród kobiet i 18% wśród mężczyzn, wzrastającego w grupie osób powyżej 65 roku życia (Kuchcik M., 2017, *Warunki termiczne w Polsce na przełomie XX i XXI wieku i ich wpływ na umieralność*, „Prace Geograficzne”, 263, Warszawa). Ale w tych badaniach miasta wciąż ograły rolę drugoplanową.

Jeszcze przed ukończeniem studiów doktoranckich rozpoczęłam pracę w Zakładzie Klimatologii IGiPZ PAN i zostałam zaangażowana m.in. w prowadzone wtedy przez prof. Krzysztofa Błażejczyka badania klimatu miasta, głównie Warszawy, ale też mniejszych miast uzdrowskich. Zatem od samego początku zaznaczyły się w ten sposób dwa główne nurty badawcze, którym się poświęciłam: biometeorologia i klimat miasta. Tematy te spletają się w postaci analiz wpływu różnych elementów klimatu miasta na jakość życia i zdrowie jego mieszkańców.

Wraz z dr. Jarosławem Baranowskim rozpoczęliśmy poszerzanie założonej w 2001 r. przez prof. K. Błażejczyka sieci pomiarów termiczno-wilgotnościowych w Aglomeracji Warszawskiej z początkowych 10 stanowisk do 29 w 2018 r. A klimat miasta pomalą w moich badaniach stawał na pierwszym planie.

Strategie łagodzenia

Wyniki ze wspomnianej gęstej sieci pomiarów temperatury powietrza zostały wykorzystane m.in. w międzynarodowym projekcie „Wypracowanie i zastosowanie strategii adaptacyjnych i ograniczających oraz sposobów przeciwdziałania zjawisku miejskiej wyspy ciepła” w ramach programu Europa Środkowa oraz w projekcie NCN „Ocena wskaźnika terenów biologicznie czynnych jako standardu kształtowania struktury przestrzennej terenów mieszkaniowych”.

W ramach obu projektów prowadziliśmy pomiary w różnych typach klimatu lokalnego w mieście, także w osiedlach z różnym udziałem zieleni, w różnym wieku i o różnym pokryciu koronami drzew. Poznaliśmy lepiej oddziaływanie obszarów zieleni na temperaturę powietrza. Z danych pochodzących z sieci monitoringu IGiPZ PAN wynika, że średnie natężenie UHI w typie zagospodarowania oznaczonym jako urządzonej zieleń miejska (parki, ogrody działkowe, cmentarze) w Warszawie wynosi 1,2°C, podczas gdy średnie UHI w gęstej zabudowie wielorodzinnej 2,6°C (Kuchcik i in. 2024, *Urban heat island in Warsaw (Poland): Current development and projections for 2050*, „Urban Climate”, 55, 101901). W tym miejscu chcę także przywołać monografię i zachęcić zainteresowanego czytelnika do wyszukania innych publikacji naszego zespołu (Błażejczyk i in., 2014, *Miejska wyspa ciepła w Warszawie. Uwarunkowania klimatyczne i urbanistyczne*, Wyd. Sedno, Warszawa).

Rzadka, tym samym warta wspomnienia, jest analiza potencjału alergizującego roślin, jaką prowadziliśmy na dwóch osiedlach warszawskich, gdzie okazało się, że wiele roślin o najsilniejszym potencjale alergizującym (szczególnie brzoza) sadzonych jest wokół placów zabaw czy przedszkoli. Zatem w strategiach łagodzenia zjawiska miejskiej wyspy ciepła konieczne jest nie tylko dbanie o jak największy udział terenów zieleni, ale także odpowiedni dobór szaty roślinnej. Konieczne są rozważne nasadzenia roślin niepowodujących nasilenia alergii powietrzno-pochodnych, zwłaszcza że podwyższona temperatura powietrza w mieście sprzyja wzrostowi potencjału alergizującego roślin, a zanieczyszczenie powietrza dodatkowo ułatwia penetrację alergenów do dróg oddechowych i nasila reakcję alergiczną (Kuchcik i in. 2016, *Two faces to the greenery on housing estates –mitigating climate but aggravating allergy. A Warsaw case study*, *Urban Forestry & Urban Greening*, 16, 170-181).

Znaczenie parków w miastach rośnie zwłaszcza w kontekście bezdyskusyjnego wzrostu temperatury powietrza w Polsce, częstoci fal upałów i nocy tropikalnych, i wzrostu obciążenia termicznego mieszkańców. Dojrzał pomysł projektu łączącego klimat terenów zieleni i człowieka.

Oaza chłodu i wilgoci

Parki, a w szczególności zadrzewione ich części, są oazą chłodu i wilgoci, a ich rola w kształtowaniu i łagodzeniu klimatu miasta wzrasta w okresie wegetacyjnym, szczególnie w czasie coraz gorętszych okresów letnich. Najczęściej do badania efektu chłodzącego parków i jego zasięgu wykorzystywane są dane o temperaturze powierzchni pochodzące z termalnych obrazów satelitarnych. Nieliczne analizy były prowadzone na podstawie pomiarów terenowych temperatury powietrza lub temperatury odczuwalnej. W badaniach tych analizowano zazwyczaj jeden duży park lub kilka mniejszych, a pomiary trwały zaledwie od kilku dni do 2-3 miesięcy i nie dawały podstaw do wyciągania szerszych wniosków.

Razem z zespołem zadaliśmy sobie wiele pytań, m.in.: Czy i w jakim stopniu klimat parków różni się w zależności od ich wielkości, charakteru, składu gatunkowego, wielkości warstwy koron drzew itp.? Jak duże jest zróżnicowanie mikroklimatu wewnątrz parków? Jak daleko sięga efekt chłodzenia terenów zielonych w tereny zabudowane? Jaki jest związek temperatury powietrza i gleby z temperaturą powierzchni ziemi w różnych warunkach/porach roku wilgotnościowych? W jaki sposób kształtuje się stres termiczny związany z ciepłem i zimnem w parkach? I wiele innych.

Zbudowaliśmy międzydiscyplinarny zespół (złożony z klimatologów, specjalisty od GIS i teledetekcji, biologa, demografa, matematyka, statystyka) i złożyliśmy propozycję projektu, który zdobył finansowanie NCN w konkursie OPUS 21.

Wybraliśmy sześć różnych parków, albo raczej kompleksów parkowych, w Warszawie (od 3,5 ha do 80 ha) otoczonych zabudową o różnej intensywności, w których mogliśmy zamontować

Głównymi celami projektu CLIMPARK są: pomiar i dokładne określenie wpływu parków w Warszawie o różnej wielkości, wieku i strukturze na łagodzenie klimatu/bioklimatu ich otoczenia, ale też rozpoznanie zróżnicowania klimatu lokalnego i odczuć ciepłych w parkach o różnym składzie gatunkowym roślin, obecności zbiorników wodnych lub ich braku itp. Istotną częścią projektu jest określenie redukcji ekspozycji na stres cieplny wśród osób mieszkających w pobliżu parków.

bezpiecznie na okres 24 miesięcy stacje meteorologiczne. Dwa parki położone są na prawym, niskim tarasie nadzalewowym Wisły (Park Skaryszewski oraz traktowany jako jeden kompleks Miejski Ogród Zoologiczny wraz z Parkiem Praskim), dwa kompleksy leżące na granicy wysoczyzny morenowej i niskiego lewego tarasu nadzalewowego i obejmujące Skarpę Warszawską (Łazienki Królewskie wraz z Ogrodem Botanicznym UW oraz Park Rzeźby w Królikarni wraz z Arkadią) oraz dwa mniejsze parki: nowo utworzony Przy Bażantarni na Ursynowie oraz najmniejszy Park Zasława Malickiego na Ochocie. Stacje meteorologiczne uzupełniliśmy rejestratorami referencyjnymi i czujnikami glebowymi.

Dodatkowo od wiosny do jesieni prowadziliśmy krótkookresowe pomiary biometeorologiczne z wykorzystaniem termometru kulistego, co pozwoliło wyznaczyć średnią temperaturę promieniowania oraz badania ankietowe odczuć ciepłych wśród osób odwiedzających parki – przeprowadziliśmy blisko 2900 takich rozmów. Te jednodniowe kampanie pomiarowe umożliwią ocenę zróżnicowania bioklimatu wewnątrz parków i określenie związku między subiektywnymi odczuciami ciepłymi a wartościami wskaźników biometeorologicznych. Pomogą wskazać części parków uznawanych przez odwiedzających za najbardziej sprzyjające odpoczynkowi. Pomiary temperatury gleby w parkach i ich otoczeniu, w powiązaniu z temperaturą powierzchni (z obrazów termalnych Landsat 8 OLI/



Autorka ze stacjami meteorologicznymi gotowymi do montażu w parkach oraz pomiary zróżnicowania klimatu wewnątrz parku i warunków odczuwalnych (w Łazienkach)

TIRS), umożliwią lepsze opracowanie zasięgu ochładzającego oddziaływania parków. Wpływ parków na redukcję negatywnych skutków zdrowotnych opracowany zostanie na podstawie poznanego zasięgu chłodzenia parków oraz danych z Narodowych Spisów Powszechnych (2011, 2021) z 1600 obwodów spisowych w Warszawie w podziale na płęć i kategorie wiekowe. Prognoza oddziaływania warszawskich parków na klimat w ich otoczeniu wykonana zostanie dla dwóch scenariuszy zmian klimatu – RCP4.5 i RCP8.5. Uzyskane wyniki podlegać będą analizie statystycznej, z wykorzystaniem m.in. uogólnionych modeli addytywnych (GAM), natomiast mapy wykonane zostaną z wykorzystaniem technik GIS w programie ArcGIS.

Wyniki projektu CLIMPARK dostarczą nowej wiedzy o skali oddziaływania parków na klimat miasta w strefie klimatu umiarkowanego oraz o zróżnicowaniu klimatu/bioklimatu wewnątrz parków. Badania mikroklimatu i warunków odczuwalnych na taką skalę, w tym badania ankietowe odczuć cieplnych, są bardzo rzadko prowadzone. Pomiary temperatury gleby w różnych typach roślinności w miastach w powiązaniu z analizą obrazów termalnych będą pierwszymi tego typu w Polsce.

W 2024 r. zakończyliśmy pomiary, teraz nadszedł czas na ich opracowanie i stopniowe publikowanie wyników. Na razie przytoczyć mogą jedynie kilka wyników pierwszych ogólnych analiz: różnica temperatury powietrza między zacienionym miejscem w parku a pobliską intensywną zabudową sięgać może 8°C, a przez większą część roku temperatura minimalna jest

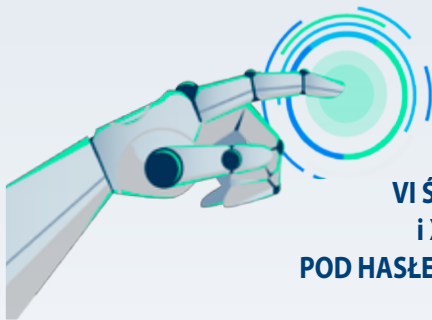
zazwyczaj niższa w parku w porównaniu z sąsiadującym z nim terenem zabudowy, ale już temperatura maksymalna w parku bywa wyższa, zwłaszcza w półroczu chłodnym. Różnica wartości uniwersalnego wskaźnika obciążeń cieplnych w samym parku potrafi sięgać kilkunastu stopni, co oznacza że w jednym miejscu parku panują warunki termoneutralne, a w innej części człowiek będzie narażony na bardzo silny stres ciepła.

Czy coś uda się zmienić?

Wiążemy spore nadzieje z wynikami projektu CLIMPARK, które mogą stać się argumentem z jednej strony za pozostawieniem pewnych części parków takimi jakie są, z drugiej za zabudowaniem czy celowym doświetleniem innych części. Z kolei opinie osób korzystających z parków przekazane zostaną do dzielnic i odpowiednich urzędników, co powinno być chociażby zauważone, o ile nie wzięte do serca, gdyż wiele uwag jest zasadnych i mądrych.

Głębsze zrozumienie efektu chłodzącego parków i odczuwanych tam warunków klimatycznych pomoże efektywniej włączyć tereny zieleni w plany adaptacji Warszawy do zmiany klimatu, czemu może pomóc owocna wieloletnia współpraca Zakładu z Urzędem m.st. Warszawy przy różnych projektach i opiniach.

Dr hab. Magdalena Kuchcik, Zakład Badań Klimatu Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN w Warszawie



SPOTKANIE POLONIJNYCH I POLSKICH INŻYNIERÓW

VI ŚWIATOWY ZJAZD INŻYNIERÓW POLSKICH
I XXVIII KONGRES TECHNIKÓW POLSKICH
POD HASŁEM „TECHNIKA DLA ZDROWIA I BEZPIECZEŃSTWA”
POZNAŃ, 9–11 CZERWCA 2025

To wielkie spotkanie polskich inżynierów zarówno tych mieszkających i pracujących w Kraju, jak i poza granicami, odbędzie się pod patronatem honorowym Marszałek Senatu Rzeczypospolitej Polskiej Pani Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Już dziś serdecznie zapraszamy na to ważne dla środowiska technicznego wydarzenie.

Idea spotkań polskich inżynierów zrodziła się jeszcze pod zaborami. Pierwszy Zjazd Techników Polskich odbył się w Krakowie w 1882 r. Współcześnie, po przemianach ustrojowych w Polsce powrócono do działań integrujących polską społeczność techniczną, organizując od 1996 r., z inicjatywy Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT, sympozja „Polacy Razem”, a od 2010 r. „Światowe Zjazdy Inżynierów Polskich”. Ich wynikiem jest współpraca inżynierów polskich, pracujących i odnoszących sukcesy poza granicami, z uczelniami, instytutami badawczymi i innowacyjnymi przedsiębiorstwami w Kraju.

Temat przewodni Zjazdu – „Technika dla zdrowia i bezpieczeństwa” nawiązuje do dwóch najważniejszych problemów współ-

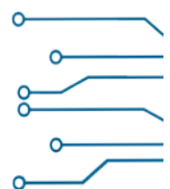
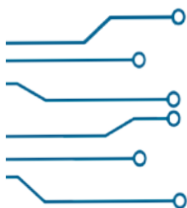
czesności: zmian klimatycznych oraz zagrożeń cywilizacyjnych m.in.: zdrowia, cyberbezpieczeństwa, żywność, hydrologii, militari. Chcemy pokazać społeczeństwu, że technika i jej twórcy mogą w sposób aktywny i efektywny włączyć się w utrzymanie takiego stanu naszej planety, aby człowiek i przyroda mogły na niej nadal żyć i rozwijać się.

Głównymi organizatorami obu imprez są: Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelna Organizacja Techniczna, Politechnika Poznańska, Europejska Federacja Polonijnych Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych oraz Rada Polskich Inżynierów w Ameryce Północnej. Współorganizatorami są: Rada Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT w Poznaniu, Konferencja Rektorów Polskich Uczelni Technicznych, Akademia Górniczo-Hutnicza i Politechnika Warszawska. Partnerami merytorycznymi są: Akademia Inżynierska w Polsce i Rada Główna Instytutów Badawczych.

(„Forum Akademickie” jest patronem medialnym wydarzenia)

Więcej informacji dostępnych na stronie: <http://szip.org.pl/>

W imieniu Organizatorów serdecznie zapraszamy!



Katarzyna Kajdanek

Rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady?

Nowa ruchliwość mieszkaniowa na obszary pozametropolitalne w (po)pandemicznej Polsce

Pandemia COVID-19 znacząco wpłynęła na wiele aspektów naszego życia, w tym na decyzje dotyczące miejsca zamieszkania. Media donosiły o rosnącym zainteresowaniu Polaków przeprowadzkami z dużych miast na tereny wiejskie i do mniejszych miejscowości. W 2020 roku, pomimo kryzysu gospodarczego i niepewności związanej z pandemią, odnotowano rekordową od dekady liczbę pozwoleń wydanych na budowę domów jednorodzinnych. Udział domów i działek pod zabudowę jednorodziną w strukturze zakupów nieruchomości wzrósł z 21% w 2016 do 34% w 2020 roku, a trzy kwartały 2020 roku były pod tym względem rekordowe. Te dane, między innymi, skłoniły do postawienia pytań, czy mamy do czynienia z nowym trendem „ucieczki z miast” i na ile jest on trwały. Czy Polacy rzeczywiście na dobre porzucają miasta i przenoszą się w odległe rejony kraju, w przysłowiowe Bieszczady? A może jest to jedynie przejściowa reakcja na pandemię i związane z nią ograniczenia?

Choć zjawisko wzmożonej migracji z miast zyskało na sile i rozgłosie w czasie pandemii, samo w sobie nie jest ono nowe. Już w czasach PRL osoby o relatywnie wyższym statusie społeczno-ekonomicznym budowały dachy i domy letniskowe poza miastem (Czarnecki & Frenkel, 2015). Z kolei wprowadzenie stanu wojennego skłoniło część inteligencji do wycofania się z miejskiej rzeczywistości społeczno-politycznej (Laskowska-Otwinowska, 2008). Od początku XXI wieku dominującym trendem w rozwoju obszarów miejskich w Polsce była suburbanizacja, czyli przenoszenie się mieszkańców miast na przedmieścia i do strefy podmiejskiej. Choć jednocześnie mamy do czynienia z selektywnym oddziaływaniem trendów przeciwnych, np. punktowej reurbanizacji w wybranych dzielnicach wielkich miast, to obecne tendencje dekoncentracji ludności wydają się jednak raczej wykraczać poza strefy silnie zurbanizowane, kierując się w stronę obszarów peryferyjnych, znacznie oddalonych od miast.

Przyczyn tego zjawiska upatruje się między innymi w wyjątkowo wysokich cenach mieszkań w miastach, zmianach wzorców mobilności (wzrost znaczenia indywidualnego transportu samochodowego), upowszechnieniu pracy zdalnej oraz rosnącej wartości przypisywanej dostępowi do terenów zielonych

i możliwości obcowania z naturą. Właśnie to zjawisko – migracje z dużych miast na obszary pozametropolitalne (wiejskie i małych miast) w okresie pandemii i po jej ustąpieniu – jest przedmiotem naszego projektu badawczego. Chcemy je empirycznie zbadać z perspektywy biografii osób, które zdecydowały się na taki krok. Interesują nas ich profile społeczno-ekonomiczne, motywacje, praktyki przestrzenne w różnych sferach życia, a także czynniki mikro- i makrostrukturalne, które wpłynęły na decyzję o przeprowadzce. Śledzimy również dalsze losy migrantów, starając się uchwycić konsekwencje podjętych przez nich decyzji dla ich trajektorii mieszkaniowych. Na realizację tego pomysłu badawczego uzyskaliśmy finansowanie w konkursie NCN Preludium BIS3 (2021/43/O/HS4/00250).

W perspektywie trajektorii życia

W projekcie odwołujemy się do koncepcji kontraurbanizacji, rozumianej jako międzyregionalna dekoncentracja ludności, polegająca na przemieszczaniu się z większych do mniejszych ośrodków oraz z obszarów gęściej zaludnionych do rzadziej zaludnionych, z wyłączeniem suburbanizacji. Warto zaznaczyć, że o ile suburbanizacja doczekała się w Polsce wielu opracowań (np. Kajdanek, K. (2012). *Suburbanizacja po polsku*. „Nomos”; Mantey, D., & Pokojski, W. (2020). *New indicators of spatial chaos in the context of the need for retrofitting suburbs*. „Land”, 9(8), 276), o tyle kontraurbanizacja była relatywnie rzadko badana empirycznie (Grzeszczak, J. (2000). *Kontrurbanizacja – idea i rzeczywistość*. „Przegląd Geograficzny”, 72(4), 373–393). Tymczasem w skali międzynarodowej temat ten zyskuje na znaczeniu. Wskazuje się przy tym na potrzebę bardziej zniuansowanej konceptualizacji tego zjawiska. Najnowsze badania międzynarodowe wskazują na potrzebę bardziej zniuansowanej konceptualizacji kontraurbanizacji. Powinna ona uwzględnić nie tylko mobilność motywowaną stylem życia czy walorami środowiskowymi (np. sezonowych turystów w regionach nadmorskich czy górskich, którzy decydują się na przeprowadzkę; poszukiwaczy wiejskiej idylli), ale przede wszystkim tych, którzy są mobilni w wyniku ograniczeń i restrykcji, a nie wyboru. Nie zawsze mamy do czynienia z dobrowolną „ucieczką z mia-

sta”, czasem jest to konieczność podyktowana sytuacją życiową i materialną.

W naszym ujęciu kontraurbanizacja jest efektem wzmożonej mobilności mieszkaniowej w specyficznych warunkach okresu pandemicznego i post-pandemicznego, na tle szerszych procesów biograficznych jednostek. Sama mobilność mieszkaniowa to pojęcie odnoszące się do zmiany miejsca zamieszkania przez gospodarstwo domowe. Kładziemy tu nacisk na procesy wpływające na decyzję o pozostaniu w dotychczasowym miejscu lub przeprowadzce, a nie tylko sam fakt migracji. Aby w pełni uchwycić naturę i złożoność mobilności mieszkaniowej prowadzącej do kontrurbanizacji, w naszym projekcie wykorzystujemy perspektywę przebiegu (trajektorii) życia (life course perspective) w ujęciu społeczno-kulturowym. Polega ona na analizie indywidualnych historii życia pod kątem tego, jak wcześniejsze doświadczenia, cechy jednostek oraz szersze uwarunkowania społeczne, ekonomiczne i kulturowe wpływają na podejmowane przez nie decyzje, w tym przypadku decyzje mieszkaniowe. Takie podejście pozwala dostrzec, że wybory jednostek są wypadkową ich osobistych aspiracji i preferencji, ale też rozmaitych ograniczeń, zarówno tych indywidualnych, jak i strukturalnych. Ważną rolę odgrywają tu profile społeczno-kulturowe gospodarstw domowych oraz trajektorie biograficzne poszczególnych osób, które są ściśle osadzone w określonych warunkach społeczno-ekonomicznych. Choć perspektywa life course jest coraz częściej stosowana w badaniach mobilności, to dotychczas koncentrowano się głównie na migracjach długodystansowych i w krajach charakteryzujących się generalnie wysokim poziomem mobilności przestrzennej ludności. Nasze badanie oferuje nowe, dynamiczne ujęcie, w którym nacisk kładzie się na praktyki relacyjne jednostek, ich trajektorie czasoprzestrzenne oraz „robienie” (doing) mobilności w specyficznym kontekście postsocjalistycznym.

Wywiady narracyjne

Prezentowany projekt ma charakter eksploracyjny i opiera się na jakościowej metodologii badań narracyjnych. Naszą główną metodą zbierania danych są pogłębione wywiady narracyjne, które planujemy przeprowadzić z około 40 osobami. Będą one uzupełnione obserwacjami terenowymi oraz analizą danych zastanych (desk research). Dobór próby do badania ma charakter celowy. Poszukujemy osób, które w ciągu ostat-

nich 2-3 lat (a więc w okresie pandemii lub tuż po jej ustąpieniu) zdecydowały się na przeprowadzkę z dużego miasta na tereny pozamiejskie. Chcemy, aby były to osoby reprezentujące różne segmenty struktury społecznej pod względem wieku, typu gospodarstwa domowego (single, rodziny z dziećmi, gospodarstwa wielopokoleniowe itp.) oraz sytuacji ekonomicznej (od osób, które przeprowadziły się „z wyboru”, po te, które zostały do tego w pewien sposób zmuszone okolicznościami). Wywiady narracyjne, które prowadzimy z tak wyselekcjonowanymi migrantami i migrantkami, mają na celu zebranie ich rozbudowanych historii (narracji) życiowych ze szczególnym uwzględnieniem wątku mobilności mieszkaniowej. Pytamy m.in. o motywacje do przeprowadzki, sposób organizacji codziennego życia w nowym miejscu zamieszkania, czynniki wpływające na decyzję o migracji (te indywidualne i te zewnętrzne), a także o dalsze plany mieszkaniowe. Tak zebrane narracje poddajemy następnie szczegółowej, wielowymiarowej analizie, starając się zrekonstruować decyzje migracyjne w kontekście całej biografii oraz tego, jak wpisują się one w szersze procesy społeczne. Zwracamy uwagę zarówno na treść, jak i strukturę opowieści, identyfikując w nich kluczowe punkty zwrotne, momenty podejmowania decyzji, ale też towarzyszące im dylematy i napięcia. Naszym celem jest skategoryzowanie zebranych przypadków i wyróżnienie dominujących typów trajektorii mieszkaniowych migrantów. Chcemy prześledzić ich przeszłość (wcześniejsze doświadczenia migracyjne i mieszkaniowe), teraźniejszość (okoliczności podjęcia decyzji o przeprowadzce i jej przebieg) oraz przyszłość (deklarowane dalsze plany i aspiracje mieszkaniowe). Dzięki temu mamy nadzieję lepiej zrozumieć obecny trend migracji z miast na peryferia oraz ocenić jego potencjalną trwałość.

Złożone motywacje

Choć prezentowany projekt jest aktualnie w fazie realizacji, to zebrane dotychczas dane pozwalają już na sformułowanie kilku wstępnych wniosków i obserwacji. Przede wszystkim wyraźnie widać, że za decyzjami o przeprowadzce z dużego miasta na tereny pozamiejskie stoją złożone i zróżnicowane motywacje. Obok czynników bezpośrednio związanych z pandemią (takich jak chęć ograniczenia ryzyka zakażenia, możliwość pracy zdalnej czy potrzeba większej przestrzeni życiowej i kontaktu z naturą w warunkach lockdownu), równie



Zdjęcie: pixabay



Fot. Karol Korczyński

istotne, a często nawet ważniejsze okazują się być kwestie ekonomiczne (bardzo wysokie ceny mieszkań w miastach w stosunku do zarobków) oraz przemiany stylu życia i preferencji mieszkaniowych, które datują się na okres sięgający daleko przed pandemię. Wiele wskazuje na to, że pandemia nie tyle zapoczątkowała nowe trendy migracyjne, co raczej wzmocniła i przyspieszyła pewne procesy, które i tak zachodziłyby w polskim społeczeństwie (i są doświadczane przez uczestników i uczestniczki naszych badań), choć może w nieco dalszej perspektywie czasowej. Widać to chociażby w przytaczanych przez niektórych rozmówców deklaracjach, że przeprowadzkę poza miasto planowali już od dawna, a COVID-19 był jedynie impulsem do przyspieszenia tej decyzji.

Ciekawe wnioski płyną też z analizy danych zastanych, w tym statystyk publicznych. Według danych GUS, polskie gminy są silnie zróżnicowane pod względem liczby ludności, od nieco ponad 1000 do blisko 2 milionów mieszkańców. Co istotne, prawie połowa populacji kraju (47,6%) mieszka w miastach, 28,2% na wsi, a 24,2% w gminach miejsko-wiejskich. Kluczowe pytanie, które się w tym kontekście nasuwa, brzmi: jak te proporcje mogą się zmieniać w wyniku nasilonych migracji z obszarów metropolitalnych do różnych typów funkcjonalnych gmin peryferyjnych, zwłaszcza tych określanych jako „rdzenie regionalne”, „pozostałe duże i średnie miasta”, „suburbia”, „urbanizujące się pozametropolitalne” czy „rolnicze”? Odpowiedź na to pytanie będzie miała duże znaczenie dla przyszłego rozwoju społeczno-przestrzennego kraju.

Podsumowując, prezentowany projekt, choć wciąż w toku, ma duży potencjał, aby wnieść nowe, ważne wątki do dyskusji na temat współczesnych procesów dekoncentracji ludności w Polsce. Dostarcza pogłębionych, jakościowych danych, które pozwalają wyjść poza dominujący dotychczas nurt ilościowych badań nad suburbanizacją. Może też pomóc zweryfikować, na ile obserwowane w czasie pandemii zmiany mobilności mieszkaniowej Polaków okażą się trwałe i jak wpłyną na relacje między miastami a ich peryferiami w dłuższej perspektywie czasowej.

Tęgo typu kompleksowa, empiryczna eksploracja zjawiska „ucieczki z miast” wydaje się szczególnie istotna i potrzebna w obliczu obserwowanego obecnie wzrostu ogólnej niepewności co do przyszłości. Wynika ona nie tylko z wciąż odczuwalnych, długofalowych efektów pandemii COVID-19, ale też z nakładających się na nią innych, równie poważnych kryzysów i wyzwań, takich jak postępujące zmiany klimatyczne, napięcia geopolityczne (w tym trwająca za naszą wschodnią granicą wojna

w Ukrainie i związany z nią masowy napływ uchodźców) czy ogólnosiwiatowy kryzys energetyczny i gospodarczy. Wszystkie te zjawiska z pewnością będą w najbliższych latach wpływać na decyzje migracyjne i mieszkaniowe Polaków.

Zastosowana w projekcie innowacyjna perspektywa badawcza life course, zakładająca nie tylko retrospektywną, ale też prospektywną analizę biografii mieszkaniowych migrantów, otwiera pole do dyskusji o potencjalnych, dalekosiężnych konsekwencjach nowych trendów w mobilności, zarówno w wymiarze indywidualnym (osobistym), jak i systemowym (dla miast, regionów, kraju jako całości). W wymiarze indywidualnym kluczowe wydaje się pytanie o trwałość decyzji o przeprowadzce na peryferia. Czy obserwujemy początki procesu „nowego zakorzenienia” migrantów w społecznościach lokalnych i stopniowego zrastania się z nowym miejscem zamieszkania? Czy też mamy raczej do czynienia z tymczasowym „przeczekaniem” trudnego czasu w odosobnieniu, po którym nastąpi powrót do miasta lub dalsza migracja w inne miejsce? A może pojawi się jeszcze jakiś inny wzorzec osiedleńczy? Z kolei w wymiarze systemowym interesujące będzie prześledzenie wpływu migracji na lokalną infrastrukturę, usługi publiczne, rynki pracy i nieruchomości oraz więzi społeczne na obszarach napływowych. Jak dużym wyzwaniem dla małych, peryferyjnych miejscowości może być konieczność przyjęcia i integracji nowych mieszkańców, zwłaszcza gdy przybywają oni falowo i w stosunkowo krótkim czasie? Czy i w jaki sposób migranci przyczynią się do rozwoju społeczno-gospodarczego tych terenów, a w jakim stopniu będą generować nowe problemy i konflikty? Jakie działania adaptacyjne powinny w tej sytuacji podejmować samorządy?

To tylko niektóre z pytań, na które mamy nadzieję znaleźć odpowiedzi w toku dalszej realizacji projektu. Niezależnie od ostatecznych ustaleń, sam fakt podjęcia tej tematyki badawczej wydaje się ważny i potrzebny. Wpisuje się bowiem w coraz intensywniejszą, międzynarodową debatę na temat współczesnego oblicza kontrurbanizacji oraz jej uwarunkowań i konsekwencji w różnych kontekstach społeczno-kulturowych, instytucjonalnych i geograficznych.

Artykuł podsumowuje dotychczasowe badania w ramach projektu NCN Preludium BIS3 2021/43/O/HS4/00250; realizowanego przez zespół w składzie: kierownik: dr hab. Katarzyna Kajdanek, prof. Wr.; wykonawca: mgr Karol Korczyński, słuchacz w Kolegium Doktorskim Socjologii Szkoły Doktorskiej UWr.

Dr hab. Katarzyna Kajdanek, prof. UWr, socjolog, Katedra Socjologii Miast i Wsi, Instytut Socjologii, Uniwersytet Wrocławski

Plagiatowa habilitacja, unieważniony doktorat

Jak mnie poinformowała rzeczniczka prasowa UZ, p. Małgorzata Włodarska, dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające zapoczątkowane jesienią 2018 r. nadal jest zawieszona. To rekord Polski w uczelnianym przeciąganiu procedury dyscyplinarnej.

Ta historia zaczęła się ponad 6 lat temu. Wtedy monografia habilitacyjna dr Anny Kuzio, adiunkt Zakładu Anglistyki Instytutu Neofilologii Uniwersytetu Zielonogórskiego pt. *Cross-cultural Deception in Polish and American English in Computer Mediated Communication* z inicjatywy autorki została wydrukowana w angielskim wydawnictwie Cambridge Scholar Publishing (2018). Jednak po roku, kiedy przedstawiono książkę jako osiągnięcie habilitacyjne, dwie recenzentki stwierdziły naruszenie przez habilitantkę praw autorskich co najmniej kilkudziesięciu zagranicznych autorów. Praca została napisana w stylu patchwork plagiarism, czyli treść została „zszyta” z mniejszych lub większych fragmentów autorstwa zagranicznych magistrantów, doktorantów i profesorów. Detale tej sprawy opisałem w artykule *Uniwersytet Zielonogórski od 3 lat „wyjaśnia” plagiat* (FA 7–8/2022). Byłem oburzony faktem, że tamtejszy rzecznik dyscyplinarny ds. nauczycieli akademickich, dr Olaf Włodkowski (prawnik), mimo, że działa na polecenie rektora, prof. Wojciecha Strzyżewskiego, od jesieni 2018 r. nie był w stanie w ciągu ponad 3 lat zamknąć postępowania wyjaśniającego, które według prawa, powinno trwać do 6 miesięcy. Z tego powodu plagiatorki przez ten okres dyscyplinarnie nie ukarano, choćby zwykłym upomnieniem.

Kiedy dowiedziałem się, że dwa pierwsze rozdziały (ok. 20 stron) doktoratu Anny Kuzio, wydanego drukiem jako książka *Exploitation of Schemata in Persuasive and Manipulative Discourse in English, Polish and Russian text* w wydawnictwie Cambridge Scholar Publishing, także mają zapożyczenia, postanowiłem działać.

Jej doktorat został obroniony 4 listopada 2011 r. na UAM w Poznaniu i trzy lata później ukazał się drukiem. Kupiłem egzemplarz monografii i przy pomocy życzliwych mi profesorów anglistyki, sprawdziłem go świetnym amerykańskim programem antyplagiatowym iThenticate. Program wykazał wysoki wskaźnik zapożyczeń (similarity index) w tekście. Jest to jednak tylko podejrzenie zaistnienia plagiatu. Każde zasygnalizowane przez program zdanie (bądź zdania, fragmenty tekstu) trzeba osobiście sprawdzić, czy mają odpowiednie i prawidłowe cytowanie. Jego brak wskazuje na ewentualny plagiat. Dlatego wymagane jest, aby porównać interesujący nas tekst ze źró-

dłem zapożyczeń. To wymaga znacznego nakładu czasu i pracy, gdyż dopiero sporządzenie tzw. tabeli konkordancji (porównania) jasno i niezbitnie pokazuje sposób przejęcia cudzego tekstu.

Wznowienie postępowania w przewodzie doktorskim

Na początku listopada 2022 r. powołując się na art. 195 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce został złożony wniosek do rektora UAM, prof. Bogumiły Kaniewskiej, o wszczęcie administracyjnego postępowania o unieważnienie doktoratu. Ku mojemu zdziwieniu (UAM ma kompetentnego prawnika, dr Aleksandrę Bocheńską, znającą prawo szkolnictwa wyższego) zdecydowano się przekierować ten wniosek do Rady Doskonałości Naukowej (RDN) w Warszawie. Motywowano, że uczelnia nie może podjąć działań, powołując się na wygasłe przepisy poprzedniej ustawy i wskazując, że to jakoby organ wyższy musi wcześniej wznowić przewód doktorski.

Ówczesny przewodniczący RDN, prof. Grzegorz Węgrzyn, 21 stycznia 2023 r. odpowiedział, że organem obecnie uprawnionym do wszczęcia tego postępowania jest według obowiązujących przepisów tylko uczelnia, w której obroniono pracę doktorską, zatem w tym przypadku UAM. Dodam, że w przeciwieństwie do kompetencji posiadanych przez rozwiązana Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów, obecna RDN nie ma możliwości prawnych wznowienia postępowań awansowych, gdy plagiaty w dysertacjach doktorskich i monografiach habilitacyjnych odkryto po nadaniu stopnia.

W związku z tym Rada poprosiła „o reasumpcję przedstawionego stanowiska i uznania podmiotu doktoryzującego za organ właściwy do załatwienia przedmiotowej sprawy. Pozwoli to uniknąć sporu kompetencyjnego, o którym mowa w art. 22 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. kpa, który RDN będzie zobowiązana wszcząć w związku z uznaniem się przez podmiot doktoryzujący za organ niewłaściwy do załatwienia sprawy”.

Pierwsze kroki

Już 23 marca 2023 r. Rada Dyscypliny Językoznawstwa i Literaturoznawstwa UAM, której przewodniczącą jest prorektor ds. nauki UAM, prof. Katarzyna Dziubalska-Kołaczyk, podjęła

uchwałę o wszczęciu z urzędu postępowania w sprawie stwierdzenia nieważności uchwały Rady Instytutu Filologii Angielskiej Wydziału Neofilologii UAM z 4 listopada 2011 r., która nadała Annie Kuzio stopień doktora. Dwa miesiące później, w połowie maja 2023 r., powołała dwóch biegłych recenzentów: prof. Piotra Capa z UŁ oraz dr hab. Martę Dąbrowską z UJ. Ta ostatnia zrezygnowała z recenzowania, dlatego z końcem września 2023 r. powołano dr. hab. Adama Głaza z UMCS w Lublinie. Obu recenzentom wysłano maszynopis pracy doktorskiej bez wcześniejszego sprawdzenia tekstu amerykańskim systemem antyplagiatowym iThenticate. Każdy wie, że samodzielnie – nawet za pomocą Google – znacznie trudniej jest odnaleźć zapożyczone fragmenty. Obecna procedura unieważnienia stopnia jest przeprowadzana wg rygorów kpa, co pozwala Radzie Dyscypliny na powołanie np. kilkusobowej Komisji Rady ad hoc jeszcze przed formalnym otwarciem postępowania wznowieniowego. Ta przy użyciu wszystkich dostępnych narzędzi sama może poszukać zapożyczeń, ujawniając je w formalnym sprawozdaniu. Tego nie zrobiono. Może też powołać dodatkowego recenzenta, który ustali, jaka jest rzetelność cytowania. Ten zaś sporządzi dla Rady Dyscypliny sprawozdanie, które posłuży jako powód do wznowienia procedury administracyjnej, a bywa pomocne recenzentom we wznowionym postępowaniu. Jednak kiedy zapytałem prywatnie kilku znajomych profesorów pracujących na Wydziale Neofilologii UAM, czy jest tam dostępny specjalistyczny program iThenticate, to każdy stwierdził, że o tym nie słyszał.

Opinie recenzentów

Prof. Piotr Cap z Zakładu Pragmatyki w Instytucie Anglistyki UŁ swoją krótką, czterostronicową opinię przesłał 28 sierpnia 2023 r. Stwierdził w niej, że rozprawa doktorska Anny Kuzio „może być uznana za pracę, w której doszło do przypisania sobie istotnych fragmentów cudzego utworu w rozumieniu art. 195 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce”. Jego zdaniem, przesądzają o tym „wnioski z lektury rozdziału 13 sekcja 1 rozprawy, w którym Autorka dokonuje analizy przemówienia inauguracyjnego przewodniczącego Izby Reprezentantów Kongresu USA Newta Gingricha z dnia 4 stycznia 1995. r. Analiza ta zawiera szereg nieudokumentowanych dosłownych zapożyczeń (fraz, zdań oraz ciągów kilkudzaniowych) z artykułu autorstwa Pamelii S. Morgan, zatytułowanego «Self-presentation in a speech of Newt Gingrich» i opublikowanego w roku 1997 w prestiżowym czasopiśmie «Pragmatics» 7(3): 275-308. Generalnie, procedura zapożyczania fragmentów tekstu z wymienionego artykułu polega na tym, że w nieudokumentowane stosownymi cytowaniami znaczne części tekstu oryginalnego, wplatane są fragmenty udokumentowane, co w mojej ocenie ma sprawić wrażenie uprawnionego korzystania z przywołanego źródła oryginalnego w pełnym jego zakresie. Na przykład, na stronie 169 rozprawy Doktorantka w sposób uprawniony przywołuje typologię ram w analizowanym przemówieniu zaproponowaną przez Pamelę Morgan, po czym słowo «przekleja» występujące bezpośrednio po tej klasyfikacji kolejne pełne zdanie autorstwa Morgan («Self-presentation frames are culturally pre-formed pieces used to construct ‘face’, in the sense of the self-image that speakers try to project to their hearers»), ale już bez stosownego cytowania”.

Na dowód recenzent przedstawił listę innych nieudokumentowanych fragmentów tekstu, przeklejonych do doktoratu w całości w analogiczny sposób. „Przytoczone fragmenty dominują – ilościowo i funkcjonalnie – nad oryginalnym wywodem Autorki w sekcji 13.1, która stanowi z kolei ponad połowę rozdziału 13 rozprawy. Jest to wprawdzie rozdział krótki, jednak już sam fakt wydzielenia go w strukturze rozprawy świadczy o jego istotności. Trudno w tej sytuacji uznać wymienione przy-

padki nieudokumentowanych zapożyczeń za nieistotne. Należy także zwrócić uwagę na fakt, że przywłaszczenie sobie przez Doktorantkę istotnych fragmentów tekstu Pamelii S. Morgan skutkuje spadkiem widzialności oryginalnego artykułu w wyszukiwarkach internetowych, ponieważ często odsyłają one mylnie do wyводу powielonego, kosztem pierwotnego. W tej sytuacji dochodzi do ewidentnego naruszenia nie tylko praw autorskich, ale także ogólnego wizerunku, pozycji i rozpoznawalności badawczej Pamelii S. Morgan”. Jak mnie poinformowano, Instytut Anglistyki UŁ posiada system iThenticate, ale recenzent wolał sprawdzać tekst samodzielnie. Moim zdaniem mogło to ograniczyć możliwość wykrycia wielu pozostałych zapożyczonych fraz w innych rozdziałach dysertacji. W raporcie, który wykonano na moją prośbę, powyższy system antyplagiatowy pokazał 43-procentowy wskaźnik podobieństwa całego tekstu doktoratu opublikowanego w Anglii.

Drugi recenzent, dr hab. Adam Głaz, prof. UMCS z Katedry Językoznawstwa Angielskiego i Ogólnego tej uczelni, swoją obszerną, siedemnastostronicową opinię z 6 listopada 2023 r. rozpoczął stwierdzeniem: „W rozprawie doktorskiej dr Anny Kuzio doszło do naruszeń wymienionych w art. 195 ww. ustawy, a naruszenia te wyczerpują znamiona istotności, o której mówi ustawa. Powyższe stwierdzenie opieram o raport pozyskany z systemu antyplagiatowego Scribbr Plagiarism Check (<https://www.scribbr.com/plagiarism/checker>), współpracującego z serwisem Turnitin (<https://www.turnitin.com>), pozyskany w dniu 31 października 2023 r. Zgodnie z zasadami stosowanymi w środowisku akademickim, raport z systemu traktuję jednak jedynie jako wskazówkę, a opinię formułuję na podstawie dokładniejszej analizy poszczególnych fragmentów pracy”.

Recenzent wspominał, że analiza identycznych fragmentów tekstów, które pokazał program, wskazuje na cztery rodzaje naruszeń uczciwości naukowej występujące w rozprawie. Prof. A. Głaz na kilkunastu stronach przedstawia ich przykłady w tabelach konkordancyjnych. W podsumowaniu pisze: „Powyższe zestawienia oraz szereg innych fragmentów rozprawy dr Anny Kuzio, które pominąłem, wskazują iż tekst rozprawy został w dużym stopniu skompilowany z różnych źródeł. Niejednokrotnie są to materiały trudno dostępne (lub wręcz niedostępne z powodu niedziałających linków internetowych), nieopatrzone nazwiskiem autora lub autorów, jednak «widoczne» i możliwe do wychwycenia przez programy antyplagiatowe. Inne pochodzą z publikacji dostępnych w bazach danych o wysokiej jakości (Elsevier) lub z książek wydanych przez uznane wydawnictwa (Peter Lang).

Biorąc pod uwagę powyższe, należy stwierdzić, iż skala praktyk sprzecznych z zasadami rzetelności i etyki naukowej, którymi obciążona jest rozprawa doktorska dr Anny Kuzio (...) nie pozwala na uznanie jej za oryginalną i autorską pracę naukową. W rozprawie znajduje się wiele naruszeń wymienionych w art. 195 ustawy «Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce» z dnia 20 lipca 2018 roku. Naruszenia te wyczerpują znamiona istotności, o której mówi ustawa”.

Uwagi A. Kuzio i jej prawnika

Opinie biegłych-recenzentów, zgodnie z kpa, przekazano dr Annie Kuzio. W 24-stronicowym piśmie z 14 grudnia 2023 r. jej pełnomocnik, radca prawny Kazimierz Pańtak, poddał krytyce recenzję prof. Głaza, a w całości zakwestionował opinię prof. Piotra Capa, zarzucając mu konflikt interesów, gdyż „jest prawdopodobnie związany osobiście z panią dr hab. prof. UŁ Joanną Nijakowską z Uniwersytetu Łódzkiego, będącą recenzentką pracy habilitacyjnej pani dr Anny Kuzio, która to otrzymała pozytywną recenzję od pani profesor, która jednak zmieniła swoje stanowisko na dalszym etapie postępowania”.

Ten argument uważam za błędny, gdyż dotyczy osoby, która napisała jedyną pozytywną recenzję tej habilitacji, z której jeszcze podczas posiedzenia Komisji Habilitacyjnej się wycofała, przekonana przez pozostałe dwie recenzentki znaczną liczbą odkrytych nieuprawnionych zapożyczeń. Prof. Capowi zarzucano też, że nie jest biegłym sądowym i nie ma „pełnego zakresu kompetencji”, jeśli chodzi o temat doktoratu p. Kuzio, co jest zupełnie bezpodstawne.

Kolejnym zarzutem jest fakt, że „recenzent nie zestawia fragmentów oryginalnego tekstu z tekstem zawartym w pracy doktorskiej, co uniemożliwia wykazanie rodzaju przywłaszczeń oraz nie dostarcza ich omówienia. To z kolei sprawia, że trudno jest skonkretyzować zarzuty i odnieść się do nich (...) co utrudnia możliwość adekwatnego odniesienia się do przedstawionych zarzutów”.

Prof. A. Głazowi zarzucano, iż nie ma odpowiednich kwalifikacji, aby ocenił doktorat. System antyplagiatowy, który był mu pomocny w znalezieniu podobieństw tekstów, uznano za nieodpowiedni, a okres tygodnia, w czasie którego recenzent pisał swoją opinię – za krótki. Omówienie wielu zarzutów merytorycznych przekracza ramy tego artykułu, aczkolwiek wskazano, że cztery przykłady rzekomej nierzetelności – plagiatu i trzech autoplagiatów – są niesłuszne, gdyż wzmiankowane publikacje wydrukowano już kilka lat po obronie doktoratu.

Odpowiedź recenzentów

Prof. Adam Głaz w swojej obszernej, 20-stronicowej odpowiedzi ustosunkował się do wszystkich zarzutów. Potwierdził pomyłkę w czterech opisanych przykładach, ale pozostałe odda-

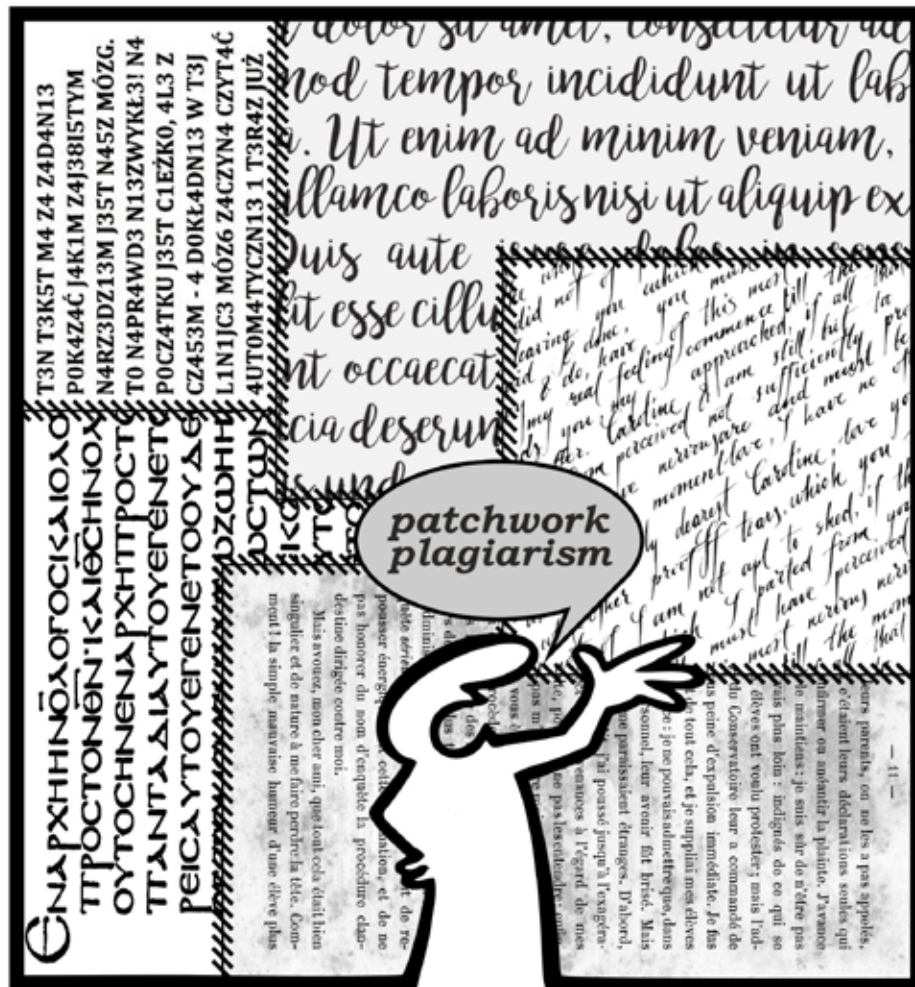
lił celnymi argumentami. Powinien jednak sporządzić albo nową recenzję, albo dodać do pierwszej addendum, bo trudno się zorientować, co z jego opinii pozostaje aktualne.

Z kolei prof. Piotr Cap w piśmie z 7 stycznia 2024 r. zaprzeczył, aby znajomość z dr hab. Joanną Nijkowską wpłynęła na obiektywność jego recenzji. Pozostałe punkty krytyki radcy K. Pańtaka były nieistotne i nie wymagały odpowiedzi, np. że brak jest upoważnienia i zgody rektora UŁ na to, aby prof. Cap był recenzentem i brak dowodów na to, że ma on kwalifikacje, aby recenzować.

Po otrzymaniu powyższych odpowiedzi pełnomocnik p. Anny Kuzio w dwudziestostronicowym piśmie z 19 marca 2024 r. ostatecznie podważył rzetelność i kompetencje dr. hab. Adama Głaza, zarzucając m.in. brak wpisu na listę biegłych sądowych i braku zgody rektora UMCS na wykonanie recenzji. Stwierdził, że po wycofaniu się z tyłu (czterech – red.) ważnych zarzutów, recenzja ta słabo oddaje nierzetelność doktoratu jego mandatanki. Natomiast całkowicie odrzucił recenzję prof. P. Capa. W ostatnim akapicie podkreślił: „Przedłożone opinie, stanowią istotne zagrożenie dla zaufania wobec uczelni oraz kompetencji osób podejmujących decyzje, a w szczególności działania ówczesnego Dziekana Wydziału Anglistyki (prof. Katarzyna Dziubalska-Kończak) oraz znacznej części osób z Rady Dyscypliny, które to brały udział w procesie nadania stopnia, a teraz poddają weryfikacji swoją pracę”.

Uchwała Rady Dyscypliny

Sprawa doktoratu p. Anny Kuzio była 23 maja 2024 r. przedstawiona na Radzie Dyscypliny Językoznawstwa i Literaturo-



Był. Sławomir Mela

znawstwa UAM, gdzie po zapoznaniu się z całą dokumentacją i dyskusji podjęto uchwałę o stwierdzeniu nieważności jej przewodu doktorskiego. Na 55 głosujących, 49 osób było „za unieważnieniem”, jedna przeciw, zaś 5 się wstrzymało. Uzasadnienie uchwały liczy 12 stron i jest bardzo szczegółowe. Kolejno przedstawiono całość wydarzeń, opisując poszczególne etapy postępowania administracyjnego. Przytoczono wydzwięk recenzji i argumenty, krytykę i zarzuty pełnomocnika A. Kuzio oraz odpowiedzi recenzentów. Podkreślono, że wbrew argumentacji radcy K. Pańtaka, plagiaty w doktoracie nie przedawniają się po 10 latach, jak ma to miejsce w odniesieniu do wszelkich decyzji kpa. Reguluje to artykuł 195 ustawy PSWN z 2018 r., który stanowi *lex specialis* „wyłączając” sprawę przedawnienia plagiatowych dysertacji doktorskich oraz monografii habilitacyjnych spod reżimu kpa.

Od tej uchwały p. Anna Kuzio odwołała się 8 lipca 2024 r. za pośrednictwem radcy K. Pańtaka, który przygotował w tej sprawie obszernie, kilkudziesięciostronicowe pismo, w przeważającej części powtarzając te same argumenty co w pismach do Rady Dyscypliny UAM. Obecnie odwołanie jest procedowane w Zespole Nauk Humanistycznych RDN, który powołał dwóch recenzentów. O wyniku powiadomimy, ale do zakończenia jest daleko, gdyż w przypadku nieuwzględnienia obecnego odwołania, p. A. Kuzio ma prawo odwołać się do WSA, a później do NSA.

Sprawa sądowa

Przed wakacjami 2022 r. do Prokuratury Rejonowej w Zielonej Górze wpłynęło zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa plagiatu w habilitacji dr Anny Kuzio, adiunkt Uniwersytetu Zielonogórskiego. Postępowanie przygotowawcze prowadził prokurator Paweł Jankowski. O ile się orientuję, zebrał on dokumenty habilitacyjne z Wrocławia, przesłuchał recenzentów oraz dr Kuzio, zamykając postępowanie przygotowawcze w połowie lipca 2023 r. W dalszym kroku 20 lipca 2023 skierował do III Wydziału Karnego Sądu Rejonowego w Zielonej Górze wniosek o warunkowe umorzenie postępowania karnego. Zarzucał on dr Kuzio popełnienie 11 niewątpliwych plagiatów (prawnie to naruszenia prawa autorskiego) pochodzących z konkretnych tekstów autorów zagranicznych. Zażądał dwuletniego okresu próbnego od daty uprawomocnienia się orzeczenia oraz prosił o wymierzenie grzywny w wysokości 3 tys. zł i zasądzenia kosztów procesu. Poinformował, że A. Kuzio przyznała się do popełnienia tych plagiatów i wyraziła skruchę. Stwierdził, że oskarżona nie była dotąd karana, przestępstwo plagiatu miało charakter incydentalny, a stopień szkodliwości społecznej nie jest znaczny. Z tym ostatnim nie sposób się zgodzić.

Sędzia III Wydziału Karnego SR, Weronika Gil (jest ona także wiceprezesem Sądu Rejonowego) 5 października 2023 r. umorzyła postępowanie karne wobec Anny Kuzio, z jednorocznym okresem próbnym. Nałożyła na nią świadczenie pieniężne w wysokości 3 tys. złotych na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, jak również zasądziła 160 zł kosztów sądowych. Ani sąd, ani prokurator nie powiadomili o wyroku rektora Uniwersytetu Zielonogórskiego. Jak widać – prokuratorzy czasami też mają łagodne serce.

Wiadomości z prasy

Pod koniec maja 2024 r. poznańska „Gazeta Wyborcza” w dwóch artykułach red. Marii Bielickiej przypomniała sprawę nierzetelnej habilitacji dr Kuzio i opisała sprawę postępowania o odebranie doktoratu. Ten ostatni temat przedstawiono też w zielonogórskim wydaniu GW.

Władze UAM przesłały rektorowi Strzyżewskiemu kopię uchwały o unieważnieniu doktoratu p. A. Kuzio, a z innego źródła dowiedział się on o wyroku sądowym w sprawie habilitacji. Jak podała GW w trzecim artykule z 27 lipca 2024 r., w połowie tego miesiąca rektor Wojciech Strzyżewski rozwiązał z mgr A. Kuzio umowę o pracę bez wypowiedzenia i z winy pracownika (tzw. zwolnienie dyscyplinarne). Powodem było poważne naruszenie przez nauczyciela akademickiego obowiązku przestrzegania przepisów o prawie autorskim. Złożył się na to fakt, iż jako osoba ubiegająca się o stopień doktora A. Kuzio przypisała sobie autorstwo istotnego fragmentu cudzego utworu w swojej rozprawie doktorskiej, co zostało ustalone przez Radę Dyscypliny Językoznawstwo UAM, która unieważniła 23 maja jej przewód doktorski. Co więcej, jako osoba ubiegająca się o stopień doktora habilitowanego przywłaszczyła sobie autorstwo całości lub części utworów naukowych innych osób w pracy habilitacyjnej, co ostatecznie zostało ustalone w wyroku z dnia 5 X 2023 r. wydanym przez Sąd Rejonowy w Zielonej Górze.

Jak mnie poinformowała rzeczniczka prasowa UZ, p. Małgorzata Włodarska, dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające zapoczątkowane jesienią 2018 r. nadal jest zawieszona. To rekord Polski w uczelnianym przeciąganiu procedury dyscyplinarnej.

Od nagłego zwolnienia A. Kuzio odwołała się do Wydziału Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Rejonowego w Zielonej Górze, argumentując, że odebranie doktoratu nie jest jeszcze prawomocne. Pierwsza rozprawa odbyła się 27 stycznia 2025 r., ale będą zapewne dalsze. Anna Kuzio pracuje teraz w szkolnictwie, ucząc angielskiego. Do chwili złożenia artykułu do druku, jej pełnomocnik, radca Kazimierz Pańtak, nie odpowiedział na pisemną prośbę o ustosunkowanie się do odbywającego się procesu, kwestionującego zwolnienie dyscyplinarne.

Komentarz

Zauważyłem, iż wszystkie uchwały Rady Dyscypliny Językoznawstwo oraz Literaturoznawstwo UAM są drukowane na druku firmowym prorektor ds. nauki UAM, którą jest prof. Katarzyna Dziubalska-Kończak. Równocześnie jest ona przewodniczącą Rady Dyscypliny, organu kolegialnego. Nie ma jedności organizacyjnej pomiędzy stanowiskiem prorektora a stanowiskiem przewodniczącej rady dyscypliny. Dlatego drukowanie uchwał Rady Dyscypliny na druku firmowym prorektora UAM to tak, jakby wyrok składu sędziowskiego sądu rejonowego został wydrukowany na druku firmowym prokuratora okręgowego.

Rozwiązanie polegające na tym, że prorektorzy zajmują dodatkowe stanowiska/funkcje w organach kolegialnych, które są pod ich nadzorem urzędowym, jest niewłaściwe, gdyż nie ma wtedy możliwości skorygowania błędów popełnianych przez przewodniczącą. Któż ośmieli się skrytykować i zwrócić publicznie uwagę prorektorowi? Takie sytuacje ostatnio zdarzyły się na Uniwersytecie Rzeszowskim czy Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu, gdzie prorektorzy ds. nauki kierowali komisjami doktorskimi w przewodach, w których doktorantowi zarzucono plagiat. Popełniony wtedy błąd nie mógł być naprawiony i w ostateczności sytuacja obróciła się przeciw prorektorom. Dodatkowo w takich sytuacjach pojawia się instytucjonalny konflikt interesów. Jest to temat na osobny artykuł, bo przykładów podobnych niezręczności jest w kraju dość dużo.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od połowy 1997 roku.

Spektakl grany wciąż na nowo

Czym w istocie jest kultura studencka? Przede wszystkim zmianą – przekonuje Izabela Pastuszko – dyrektorka Akademickiego Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka w rozmowie z „Wiadomościami Uniwersyteckimi” (nr 12/2024). Jej moc, dodaje, tkwi w studentach i studentkach. To oni mają w sobie potrzebę tworzenia i twórczą odwagę. Nie boją się eksperymentować i sięgają po najróżniejsze formy wyrazu, co niektórzy mają im czasem za złe, twierdząc, że są zbyt niedoświadczeni i nie potrafią z nich w pełni czerpać. Kultura studencka tymczasem, mówi Izabela Pastuszko, jest chwilowym działaniem, które „ma dać się do poznawania i dalszego budowania siebie, społeczności, grupy”. Oczywiście nie sposób pominąć roli, jaką pełni w niej wyraz artystyczny, ale nie można zapominać, że w tym przypadku nie mówimy o skończonym dziele, jakim jest z pewnością „spektakl teatru repertuarowego”. Tu chodzi raczej o pewien proces dziejący się tu i teraz. Kultura studencka jest bowiem lustrzanym odbiciem tego, jacy są studenci w danym momencie. Zmienia się



w rytmie nadchodzących po sobie generacji, z których każda tworzy własne wyobrażenia o świecie. Ważne, by ich niepotrzebnie nie wartościować. Tego z pewnością młodzi ludzie nie potrzebują.

Tym natomiast, co trzeba im zapewnić, jest bezpieczna przestrzeń, w której będą mogli bez ograniczeń realizować swoje twórcze wizje. To musi być miejsce otwarte na wszelkie przejawy prób poszukiwania i odkrywania siebie. Jak podkreśla rozmówczyni, czas studiów, kiedy zazwyczaj nie ma się jeszcze poważnych ograniczeń życiowych, jest właśnie najlepszym momentem, by oddać się swobodzie kreatywnego eksplorowania.

Świat się kręci, a oni z nim

Nie tylko Europa, ale także Malesja i Chiny. Politechnika Częstochowska nie ustaje w poszukiwaniu szans na współpracę z ośrodkami z najbardziej odległych zakątków naszego globu. Niemiecki RWU Hochschule Ravensburg-Weingarten University of Applied Sciences to



partner, z którym kooperacja zaczęła się ponad dwie dekady temu i będzie trwać przez co najmniej 5 kolejnych lat, bo na tyle opiewa następna umowa. Podpisane porozumienie umożliwi bilateralną wymianę studentów i doktorantów, wizyty studyjne pracowników naukowych, a potem także przygotowanie wspólnych publikacji i wniosków projektowych oraz starania o pozy-

skanie ich finansowania ze środków europejskich, czytamy w piśmie „Politechnika Częstochowska” (nr 86/2024).

Na podobnych zasadach przebiega współpraca z Uniwersiti Malaysia Perlis. Na liście wspólnych celów do realizacji umieszczono organizowanie konferencji i seminariów, a także udział w międzynarodowych wystawach badawczych i programach mobilności, które stwarzają możliwości do wymiany wiedzy i technologii. Po okresie trwającej 10 lat współpracy między stroną polską i malezyjską sygnowane zostało Memorandum of Understanding, które pozwoli umocnić dotychczasowe partnerstwo na rzecz rozwoju obszaru naukowo-badawczego.

Przyszłościowo wygląda także zacieśnianie relacji z Handan University. Zwłaszcza po tym, jak goście z Chin odwiedzili Wydział Infrastruktury i Środowiska Politechniki Częstochowskiej coraz bardziej realna staje się perspektywa nawiązania kolejnej długofalowej międzynarodowej współpracy międzyuczelnianej.

Nie można stać w miejscu

„Konieczność nadążania za zmianami cywilizacyjnymi zmusza nas przede wszystkim do doskonalenia procesu dydaktycznego, nasycania treści nauczania najnowszymi osiągnięciami nauki i praktycznego ich wdrażania, bycia na bieżąco z rozwojem współczesnych koncepcji we wszystkich dziedzinach wykładanych w naszej Akademii”. Tak, o tym, jak widzi rolę uczelni, opowiada „Leszczyńskiemu Notatnikowi Akademickiemu” (nr 78/2024) dr Janusz Poła, rektor Akademii Nauk Stosowanych im. Jana Amosa Komeńskiego w Lesznie.

W czasie swojej drugiej kadencji wódz ANS chce realizować program twórczej kontynuacji. W praktyce chodzi o to, by



umiejętnie połączyć rozwój i nowe pomysły ze stabilnością i równowagą. Zdaniem dr. Poły, to właśnie integracja wspomnianych obszarów pozwoli uniknąć niebezpieczeństwa przerodzenia się stabilizacji w stagnację, a rozwoju w ryzykowne wprowadzenie nowości. Rozmówca zwraca ponadto uwagę na niezwykle istotną kwestię, jaką jest potrzeba zdobywania aktualnej wiedzy

i umiejętności przez kadre wykładowców związanych z leszczyńską ANS. Podkreśla, że należy ich stale zachęcać do podnoszenia posiadanych kwalifikacji.

Sama kadra to jednak nie wszystko. Aby bowiem przyciągnąć kolejnych studentów, trzeba jednocześnie inwestować w zaawansowaną infrastrukturę dydaktyczną. Uczelnia powinna zapewniać im możliwość nauki w laboratoriach przyszłości. Nie można przy tym zapomnieć, że w studiowaniu, jak zaznacza dr Poła, chodzi o coś więcej, niż tylko o zdobycie dyplomu czy nabycie specjalistycznych kompetencji. Liczy się także to, by młodzi dzięki nauce wzrastali jako ludzie i by nauka przyczyniała się do ich rozwoju duchowego i moralnego. Tak, jak chciał Jan Amos Komeński, którego przesłaniu uczelnia z Leszna pozostaje wierna.

Aneta Zawadzka

Zbigniew Drozdowicz

Akademickie klimaty

W krajach, które metaforyści nazywali „bratnimi narodami ZSRR”, a realiści państwami satelickimi, klimaty akademickie były różne. W tych, których przywódcy za punkt honoru stawiali sobie wierne podążanie za „wielkim bratem”, nie tyle nawet tworzono zamknięte miasta, co zamknięte placówki badawcze dla uczonych ideowo niepewnych, a tych, którym gdzieś udało się znaleźć zatrudnienie, inwigilowano.

O tym, że klimat odgrywa istotną rolę w ludzkim życiu i współżyciu z innymi, raczej mało kogo trzeba przekonywać. Dyskusyjna może być natomiast kwestia tego, jakie kroki należałoby podjąć, aby możliwie najlepiej się do niego przystosować lub przynajmniej „nie odmrozić sobie uszu”. Rzecz jasna akademickie klimaty różnią się pod niejednym względem od naturalnych zjawisk atmosferycznych.

Zimne klimaty

Poglądy filozofa i prawnika Monteskiusza na wpływ klimatu na ludzką naturę i kulturę do dzisiaj budzą spore zainteresowanie, a niektóre z jego wskazań wydają się zachowywać coś z trafności. W pamięci potomnych zapisał się przede wszystkim dziełem pt. *O duchu praw* (znajdują się w nim idee prekursorskie dla nowoczesnego pojmowania prawa konstytucyjnego). Można wprawdzie poważnie polemizować z jego generalną tezą, że to Bóg ustanowił „nieziemne prawa przyrody”, jednak raczej trudne do zakwestionowania byłoby jego twierdzenie, że „człowiek gwałci je bez ustanku” oraz że prawa, które stanowią ludzie, są zależne nie tylko od nich samych, lecz także od ich naturalnego otoczenia, w tym od klimatu, w którym przyszło im żyć i współżyć z innymi. Generalnie wyróżnił trzy takie strefy klimatyczne: zimną, gorącą („skwarną”) i umiarkowaną. Ludy żyjące w pierwszej z nich mają się wyróżniać nie tylko odpornością na ból, ale także odwagą i „dufnością” w swojej sile. Natomiast żyjących w strefie gorącej ma cechować m.in. łękiwość. Najlepiej wypadają w tej klasyfikacji ludy żyjące w strefie umiarkowanej, bowiem nie tylko potrafią panować nad swoimi emocjami, ale także najlepiej korzystać ze swojego rozumu oraz z bogactw naturalnego środowiska. Wprawdzie w tej strefie Monteskiusz umieścił różne nacje, jednak najlepiej wypadają w jego opisie Francuzi. Potwierdzeniem ma być m.in. to, że mają najlepszych uczonych, prawników, artystów i oczywiście filozofów. Można to potraktować z przymrużeniem oka (w końcu autor tego dzieła miał prawo do patriotyzmu). Kłopot jedynie w tym, że jeszcze dzisiaj można spotkać Francuzów, którzy również tak myślą i mówią. Wartością „dodaną” jest jednak podział na trzy strefy klimatyczne oraz wskazane przez niego cechy niektórych ludów. Można jednak generalnie powiedzieć, że praktycznie wszystkie żyjące w róż-

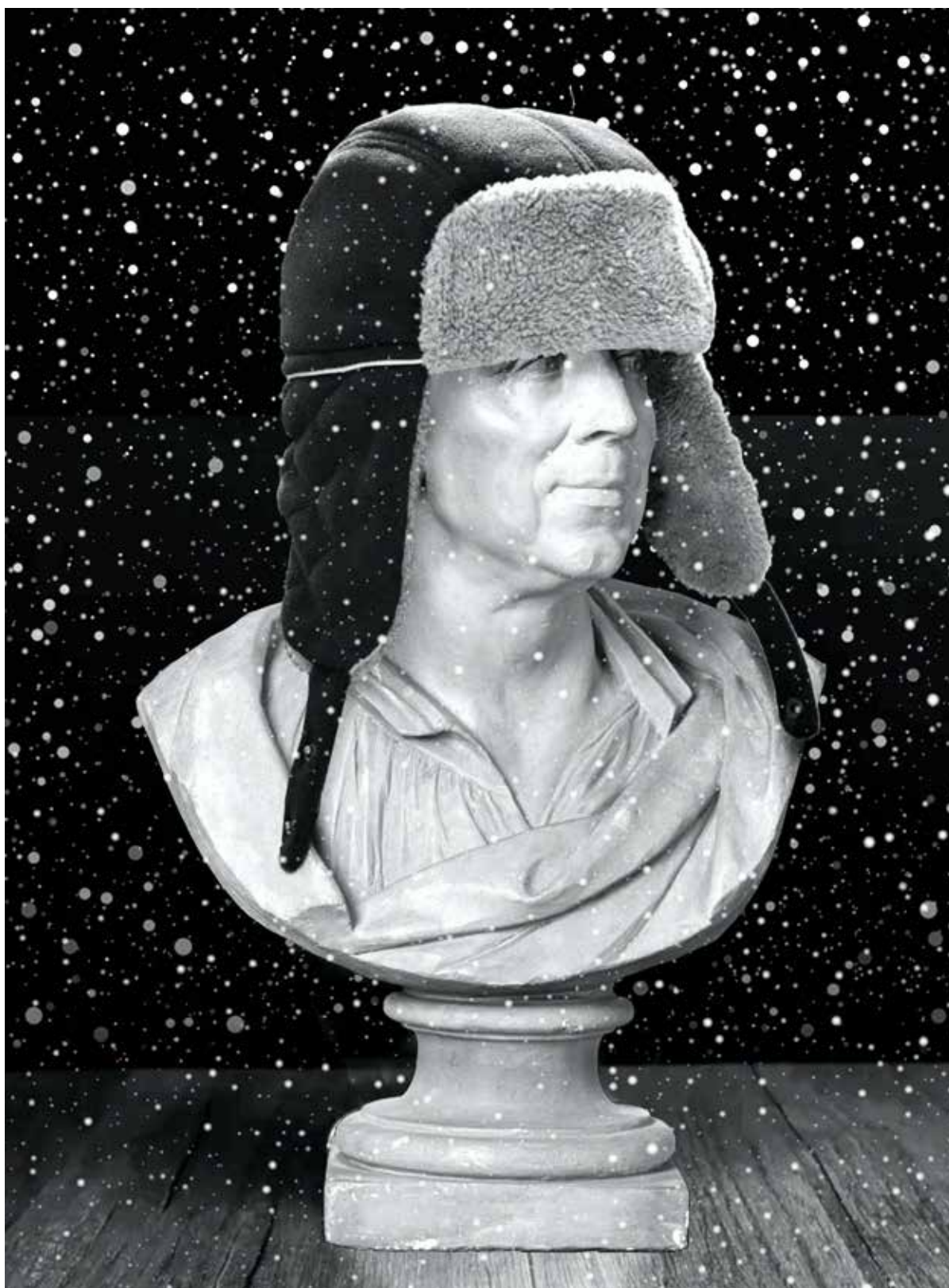
nym miejscu i czasie ludy miały okazję doświadczyć zmian klimatycznych oraz plusów i minusów każdej z tych stref.

W okresie zimnej wojny również akademickie klimaty bywały zimne, zwłaszcza w krajach, które uczestniczyły w wyścigu zbrojeń. Szczególnie surowe warunki uprawiania nauki występowały jednak w Związku Radzieckim. W okresie tzw. pierestrojki świat zachodni dowiedział się o istnieniu w tym kraju ośrodków badawczych, w których kadra naukowa była „skoszarowana” i całkowicie odizolowana od świata zewnętrznego. Takie nazwy jak Tomsk-7 niewiele mówiły również przeciętnemu obywatelowi tego kraju. Dopiero po wybuchu zbiornika reaktora jądrowego nazwa trafiła na szpalty gazet („Time” uznał ten wybuch za jedną z największych katastrof jądrowych). Okazało się, że chodzi o Siewiersk założony w 1949 r., leżący w obwodzie tomskim, miasto liczące obecnie nieco ponad 100 tys. mieszkańców. Do strefy zimnej ten ośrodek może być zaliczany nie tyle z uwagi na występujące tam niskie temperatury (nawet w zimie nie przekraczają one zwykle minus 25 stopni C.), co na swoiste uwięzienie w nim nie tylko personelu badawczego, ale także członków ich rodzin i personelu pomocniczego. Rzecz jasna ich los był lepszy niż tych uczonych, którzy w okresie stalinowskich czystek trafiali do znacznie zimniejszej części Syberii lub pod lufy NKWD. W krajach, które metaforyści nazywali „bratnimi narodami ZSRR”, a realiści państwami satelickimi, klimaty akademickie były różne. W tych, których przywódcy za punkt honoru stawiali sobie wierne podążanie za „wielkim bratem”, nie tyle nawet tworzono zamknięte miasta, co zamknięte placówki badawcze dla uczonych ideowo niepewnych, a tych, którym gdzieś udało się znaleźć zatrudnienie, inwigilowano. W naszym kraju nie przybrało to wprawdzie tak patologicznych form jak np. w NRD, to jednak niejednym z naszych uczonych spotykał się z chłodnym przyjęciem, „pukając do akademickich bram” i jeśli nawet nie został odesłany z kwitkiem, to trafił albo do jakiejś prowincjonalnej uczelni, albo do niemającej kontaktu dydaktycznego ze studiującą młodzieżą PAN. W całej Polsce wielkim chłodem powiało w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r., nie tyle nawet za oknem, co w tych środowiskach, które miały nadzieję na demokratyczne zmiany w życiu społecznym (należała do nich w zdecydowanej większości społeczność akademicka). Wprawdzie formalnie wprowadzony wówczas stan wojenny został zniesiony 22 lipca 1983 r., jednak na przełomowe ocieplenie trzeba było czekać do czerwca 1989 r.

Gorące klimaty

W okresie gorącej wojny, jaką była II wojna światowa, również akademickie klimaty bywały nieraz gorące. Dotyczy to wszystkich zaangażowanych w tym konflikcie państw. W III Rzeszy tworzone ośrodki badawcze, gdzie uczeni pracowali nad wynalezieniem Wunderwaffe (cudownej broni), którą można byłoby zadać rozstrzygający cios przeciwnikom. Dzisiaj wiadomo, że mieli mocno zaawansowane prace nad bronią jądrową. Nie byłoby to możliwe bez udziału wybitnych niemieckich fizy-

ków, takich m.in. jak kierujący pracami zespołu powołanego do jej skonstruowania Werner Heisenberg (laureat Nagrody Nobla w 1932 r.). Po zakończeniu wojny tematem gorącym stał się udział uczonych we wspieraniu ekspansjonistycznych planów Hitlera. Przynajmniej niektórzy z nich „bili się w piersi”, a po sprowadzeniu do USA próbowali odkupić grzechy zaangażowaniem w realizację amerykańskich prac nad bronią jądrową. Przeszły one do historii pod nazwą „Projekt Manhattan”. Zapoczątkowany on został w 1942 r. i prowadzony był



rys. Sławomir Makal

na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, Uniwersytecie Chicagowskim oraz Uniwersytecie Kalifornijskim w Oakland. Bomby jądrowe skonstruowano w znajdującym się w północnej części stanu Nowy Meksyk ośrodku w Los Alamos National Laboratory. Dyrektorem naukowym tego programu został fizyk, profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego Robert Oppenheimer. W poświęconym mu filmie fabularnym dosyć realistycznie przedstawiony został zarówno ten uczyony (Albert Einstein wprawdzie wypadł humorystycznie), jak i klimat gorących dyskusji, które towarzyszyły pracom badawczym nad bombami jądrowymi. Entuzjazm przynajmniej niektórych współautorów tego sukcesu przygasł po zrzućeniu bomb na japońskie miasta. Dla całego świata zachodniego swoistym szokiem było przeprowadzenie przez ZSRS w sierpniu 1949 r. na poligonie atomowym w Semipalatynsku pierwszej próbnej eksplozji bomby atomowej. Zaczęło się szukanie tych, którzy sowietom udostępnili amerykańską dokumentację. W gronie podejrzanych znalazł się m.in. R. Oppenheimer. Wprawdzie w 1954 r. sąd go uniewinnił, jednak amerykańskie władze pozbawiły go nie tylko kierownictwa nad projektem, ale także prawa dostępu do tajnych dokumentów. Polowanie na komunistów i ich sympatyków w USA objęło nie tylko środowiska akademickie, ale także rządowe, wojskowe i dziennikarskie. Do historii przeszło ono pod nazwą makkartyzmu (od nazwiska stojącego na czele senackiej Komisji do Badania Działalności Rządu nazwiska senatora J.R. McCarthy'ego), łączył się on z tworzeniem przez media atmosfery strachu i podejrzeń oraz z tropieniem komunistycznej infiltracji nieprzebierającymi w środkach sposobami.

W krajach bloku wschodniego tropienie „wrogów ludu” miało miejsce praktycznie od momentu przejścia pełni władzy przez komunistów. Współautorzy książki pt. *Czarna księga komunizmu* w podtytule dodają, że jest to historia pisana „zbrodniami, terrorem i prześladowaniami”, w tym komunistów przez komunistów. Szczególnie „gorące” przyjęcie Stalin zgotował w 1934 r. delegatom na XVII Zjazd Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików), na jego polecenie aresztowano i stracono 1108 spośród 1996 uczestników. „Ucierpiał też środowiska naukowe, które miały choćby luźne związki z polityką, ideologią, gospodarką lub obronnością. Aresztowano i posłano do jednostek badawczych NKWD (...) największe sławy przemysłu aeronautycznego, tej rangi co Tupolew (konstruktor słynnych samolotów) czy Korolow (twórca pierwszego sowieckiego programu kosmicznego)”. W krajach „bratnich” (satelickich) ZSRS jedni komuniści bardziej przykładali się do naśladowania takich działań, a przynajmniej do podgrzewania atmosfery podejrzeń i nieufności, inni natomiast traktowali je z większym dystansem. Nie inaczej było w PRL-u. Jego historię w jakiejś mierze pisali zarówno tacy przywódcy, jak gorliwy realizator poleceń Moskwy B. Bierut, jak i ociągający się z ich wprowadzaniem w życie W. Gomułka i E. Gierek. Zainicjowana przez studentów warszawskich uczelni „gorąca” wiosna 1968 r. była wprawdzie incydentalnym wydarzeniem, jednak stanowiła wyraźny sygnał, że czas ich panowania zbliża się do końca.

Umiarkowane klimaty

Są one stosunkowo najtrudniejsze do wskazania, bowiem to, co u jednych nacji może być uznane za przejaw umiarkowania, u innych może uchodzić za świadectwo jeśli nie skrajności, to przynajmniej obojętności. Można oczywiście posiłkować się wskazaniem Monteskiusza i przyjąć, że do nacji mających naturalną skłonność do umiarkowania należą narody romańskie. W swoim akademickim życiu miałem niejednokrotnie do czynienia zarówno z Francuzami, jak i z Włochami czy Hiszpanami. W przypadku tych ostatnich mogłem się prze-

konać, co oznacza u nich określenie „mañana”. W słownikowym tłumaczeniu może ono oznaczać zarówno „poranek”, jak i „w przyszłości”, oraz „jutro będzie lepiej” (żyć lub coś zrobić). Natomiast w praktyce oznacza ono, że nie należy się z niczym zbyt spieszyć, a w każdym razie to, co można zrobić dzisiaj, równie dobrze lub lepiej można zrobić jutro lub później. W Polsce jego odpowiednikiem jest kolokwialne powiedzenie: „podchorąży zawsze zdąży”; może i zdąży zdobyć jakąś oficerską gwiazdkę, ale jeśli będzie się ociągał, to raczej nie zdąży dojść do stopnia generała, a na uczelni do tytułu profesora. Na podstawie okazjonalnych kontaktów z Włochami skłonny jestem zaryzykować tezę, że raczej mało który z nich stosuje w praktyce taką zasadę. Raczej skłonni są coś zrobić „na wczoraj” niż na jutro, a powiedzenie, że już jest na coś za późno, wywołuje u nich zdziwienie. Francuz zaś to osoba, która raczej szuka „złotego środka” i nawet jeśli go nie znajdzie, to skorzysta z wielu grzecznościowych słów, które mają „osłodzić” jego opieszałość. Jest takie rozpowszechnione przekonanie, że typowy Anglik, to flegmatyk, który zanim podejmie działania, to będzie dłużej i spokojnie zastanawiał się, czy warto. Coś jest na rzeczy. Przynajmniej zdaje się to w jakiejś mierze potwierdzać opis klimatu All Souls College (Kolegium Wszystkich Zmarłych) Oksfordzkiego Uniwersytetu, w którym przebywał prof. Andrzej Walicki w latach 1966–67 i w 1973 r. W jego świetle „był to zupełnie odmienny, uroczony anachroniczny świat. Wspólne posiłki, wieczorem w togach, z obsługą przez lokai, ściśle przestrzeganie ustalonych rytuałów (...). Nade wszystko zaś przenikający całą atmosferę ideał gentlemana, tj. człowieka niespieszącego się, mającego na wszystko czas, pewnego własnej wartości...”. To kolegium może sobie na to pozwolić, bowiem należy do najbogatszych na uczelni (jego majątek przekracza 144 mln funtów), a kadra nie zajmuje się kształceniem studentów.

W naszych realiach akademickich z obowiązku kształcenia studentów zwolniona jest kadra PAN. Problem w tym, że jej instytuty nie są tak bogate, aby fundować wspólne posiłki pracownikom (nie mówiąc już o lokajach), ale nawet, aby godziwie wynagradzać swoich profesorów. Pamiętam, jak podczas gorących dyskusji nad przygotowywaną Ustawą 2.0 jeden z nich postawił ówczesnemu szefowi naszego resortu J. Gowinowi pytanie: „Panie ministrze, chce pan nas zagłodzić?”. Dzisiaj wprawdzie poprawiło się wyposażenie większości pracowników akademickich, jednak nie na tyle, aby mogli skupić się wyłącznie na badaniach naukowych. Można oczywiście powiedzieć: „jaka płaca, taka praca”. Tak jednak mogą myśleć i mówić głównie ci, którzy mają wygórowane aspiracje finansowe, a jeśli chodzi o pracę, to raczej „mañana”. Jeśli do tego funkcjonują w otoczeniu, które toleruje umiarkowane zaangażowanie w wykonywanie zawodowych obowiązków, to jest niemal pewne, że luka między ich aspiracjami a wynikami osiąganymi w pracy badawczej będzie się pogłębiała. W środowisku akademickim funkcjonują jednak również uczeni, którzy nie oglądając się specjalnie na wynagrodzenia, podnoszą swoje kwalifikacje i ze sporym oddaniem realizują obowiązki. Czy stanowią oni zdecydowaną większość? Jest to raczej retoryczne pytanie. Jeśli bowiem by tak było, to zapewne polskie uczelnie i instytuty badawcze sytuowałyby się znacznie wyżej w prestiżowych rankingach wiodących na świecie ośrodków akademickich. Od czegoś jednak trzeba zacząć. Sugeruję, aby zacząć nie tyle nawet od rezygnacji z finansowych oczekiwań, co od rzetelnej oceny swoich naukowych kwalifikacji i dopasowania ich do istniejących możliwości badawczych. Rzecz jasna kwalifikacje te mogą i powinny być nieustannie podnoszone. Sprzyja temu obecna otwartość granic i możliwości uczenia się od lepszych od nas. Trzeba jednak nie tylko chcieć wyjeżdżać, ale także nie traktować takich wyjazdów jedynie jako turystycznej wycieczki.

Rozmowa z prof. Januszem Reykowskim, jednym z założycieli Uniwersytetu SWPS

Nie jest moim celem zasiewanie wątpliwości

Najważniejsze jest, żeby podchodzić do krytyki rzeczowo, a nie emocjonalnie. Nie uważać jej za osobistą krzywdę czy zagrożenie poczucia własnej wartości. Raczej jako coś, co może, ale nie musi przyczynić się do lepszego wykonania mojego zadania.

Czy można być szczęśliwym profesorem?

Nie widzę żadnego powodu, żeby te dwa stany rzeczy – bycie profesorem i bycie szczęśliwym – miały się wykluczać.

Jet pan szczęśliwy?

Osiąganie szczęścia i dobre wypełnianie swoich zadań w środowisku akademickim mogą być w jakimś stopniu zbieżnymi celami, ale na pewno nie identycznymi. Należę do tej kategorii profesorów, która ciągle nie jest w pełni zadowolona z tego, co robi i co osiąga. Nie chodzi o to, że odrzucam to, co zrobiłem, tylko o to, że prawie zawsze myślę, że można było to zrobić lepiej. Tak więc nie mam poczucia spełnienia. Mam oczywiście powody myśleć, że moje bardzo długie życie było udane, powinienem być zadowolony, ale... Profesorowie bywają ludźmi, którzy dążą do celów trudnych do osiągnięcia. Nie zaspokaja ich to, co udało im się osiągnąć.

Co dawało panu radość?

Sytuacje, kiedy moi doktoranci pomyślnie przechodzili obronę swoich prac doktorskich, a potem osiągnęli sukces zawodowy. Ukazanie się mojego artykułu lub książki, do których w tamtej chwili nie miałem uwag krytycznych. Dodałbym do tego momenty, kiedy wygłoszony przeze mnie wykład spotykał się z pozytywną reakcją publiczności. Jak pan widzi, profesor może mieć wiele powodów do radości.

Może tego mi brakuje. Dla wielu z nas nauka jest trudną rzeczywistością, odrzucone teksty, recenzje, krytyka, wypalenie...

Panie docencie...

Jest pan pierwszą i jedyną osobą, która tak mnie określiła!

Wie pan, moja żona zauważyła, że jestem dość staromodny w sposobie zwracania się...

Mnie się to bardzo podoba.

Tak, nauka jest trudna i pracochłonna. Ale uważam za bardzo ważne, aby robić w nauce to, czym się naprawę żywo inte-

resujemy. To może chronić nas przed wypaleniem. A krytyka? Jest nieodczuwalna. Kiedy spotykałem się z krytyką czy to mojej pracy, czy też pracy mojego współpracownika lub współpracownicy, zastanawiałem się, czy krytyk może mieć rację. Jeśli uznałem, że ma rację, przynajmniej w jakiejś części, to starałem się wykorzystać do poprawy tego, co robię. Ale jeśli myślałem, że nie ma racji, to podejmowałem polemikę. Najważniejsze jest, żeby podchodzić do krytyki rzeczowo, a nie emocjonalnie. Nie uważać jej za osobistą krzywdę czy zagrożenie poczucia własnej wartości. Raczej jako coś, co może, ale nie musi, przyczynić się do lepszego wykonania mojego zadania.

To dobra rada dla wrażliwych naukowców.

Patrząc na krytykę ogólniej, nie tylko w nauce, musimy uznać, że jest ona naturalnym składnikiem interakcji między ludźmi, bo w różnych sprawach mamy sprzeczne opinie, bazujemy na sprzecznych wartościach, realizujemy różne interesy. To skłania do krytyki cudzego postępowania i cudzych poglądów, co jest częstym powodem konfliktów. Wyzwanie polega na tym, jak wyrazić krytykę, aby nie poniżyć drugiej osoby, określić, na czym polega różnica czy sprzeczność zdań, ale zachować szacunek dla oponenta, uznając jego prawo do odmiennego zdania. Czasami wymaga to ustalenia, że nie ma między nami punktów zbieżnych.

Przypomina to kluczową ideę Jean-Michela Oughourliana, który mówił mi o tym, że w przywództwie najważniejsza jest umiejętność zejścia z huśtawki rywalizacji.

To, co tu mówię, jest związane z moją życiową filozofią. Widziałem wiele konfliktów między ludźmi, które szybko narastały, przekształcając się w zdarzenia destrukcyjne, to jest takie, w których uczestnikom bardziej zależy na zaszkodzeniu przeciwnikowi niż na załatwieniu sprawy, o którą chodziło na początku, bo spierające się strony odpowiadały kontratakiem na krytykę, którą uważały za atak. I ta wymiana stawała się coraz ostrzejsza, coraz bardziej bolesna. Dość wcześnie uznałem, że taka taktyka reagowania na sytuacje konfliktowe do niczego dobrego nie prowadzi. Tworzy tylko niekończącą się

wymianę ciosów, działań, które mają zaszkodzić drugiej stronie. Dlatego starałem się wypracować strategię postępowania, która polega na racjonalnym i dwustronnym spojrzeniu na sytuację konfliktową i poszukiwaniu nieagresywnych jej rozwiązań. To podejście ma jednak ograniczenia. Nie nadaje się do zastosowania, kiedy mamy do czynienia z osobą czy grupą zdeterminowaną realizować swoje cele przy pomocy podstępny lub przemocy.

Czy ta filozofia przekłada się na życie duchowe?

Jeśli w tym pytaniu chodzi o to, czy ta „filozofia” ma związek z jakimś myśleniem religijnym, to powiem, że nie ma, choć rozumiem i doceniam wiele wartości, które zawiera Ewangelia. Podobają mi się też niektóre formy kultu Kościoła katolickiego, na przykład jego muzyka, pewne odmiany uroczystego ceremoniału pogrzebowego. Wychowałem się w rodzinie katolickiej, byłem nawet przewodniczącym kółka ministrantów. Dotąd profesor Jerzy Wiatr wypomina mi, że wyrzuciłem go z tego kółka, ponieważ nie chciał uczyć się ministrantury. W późnym okresie dojrzewanego rozstałem się z Kościołem. Nie podejmuję się dyskusji z osobą religijną, aby ją przekonać do swojego stanowiska, ponieważ uważam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie jest moim celem zasiewanie wątpliwości. Religia jest dla wielu ludzi podstawą ich światopoglądu, a więc określenia sensu w życiu i fundamentem poczucia bezpieczeństwa. Nie można lekkomyślnie tego podważać.

A jak się przechodzi od nauki do budowy SWPS-u? Po co to panu było?

Jeden powód był prozaiczny. Byłem wtedy dyrektorem Instytutu Psychologii PAN, który był coraz gorzej finansowany. Ponieważ dobrzy pracownicy zaczęli odchodzić z instytutu, zastanawialiśmy się, w jaki sposób można by polepszyć ich sytuację finansową. I rzeczywiście, utworzenie SWPS przyczyniło się do tego. Ale był także inny powód. Nie wiem, jak to elegancko powiedzieć – nie podobało mi się to, jak psychologia była nauczana na uniwersytetach. I to myślenie o potrzebie zmian podzielało parę osób w instytucie, a także poza nim. Chcieliśmy zrobić coś nowego, odpowiadającego i potrzebom społecznym, i potrzebom dyscypliny. Chodziło nam także o zmianę relacji między pracownikami naukowymi, a studentami, o większą podmiotowość studentów.

Jak pan patrzy na rozwój SWPS?

Przez pierwsze lata SWPS był autorskim pomysłem dwóch, trzech osób, realizowanym przy współpracy z gronem dobrych przez nas pracowników naukowych z PAN oraz innych instytucji psychologicznych w Polsce. Ale w miarę jak rósł, stał się instytucją coraz bardziej autonomiczną. Dziś Uniwersytet SWPS jest bardzo dużą uczelnią, z wieloma wydziałami, z filiami w pięciu głównych miastach Polski, to duży sektor kształcenia podyplomowego, różne zespoły czy organizacje studenckie. Ma dobrą markę i dobrą pozycję wśród uczelni w Polsce. Jestem zadowolony, że przyczyniłem się do jego powstania. Dziś, kiedy już nie pracuję w SWPS, patrzę na nią trochę tak, jak rodzic patrzy na dorosłe dziecko – kiedyś było od niego zależne, wkładał dużo wysiłków w jego wykształcenie i wychowanie, ale teraz, kiedy jest już dorosłe, układa swoje życie według własnych planów. Mogę się tylko cieszyć, że pomyślnie się rozwija i osiąga sukcesy. Ale jestem też zadowolony, że już się tym nie zajmuję.

Dlaczego?

Moje wyobrażenia o rzeczywistości były budowane w innej epoce i nie chciałbym, żeby przeszkadzały tworzeniu nowych sposobów działania.



Prof. Janusz Rejkowski

Jakie główne wyzwania widzi pan w przywództwie akademickim?

Przywództwo akademickie jest postawione przed pewnymi dylematami. Jeden związany jest z tym, że obecnie szybko narasta tendencja do traktowania instytucji akademickich jako pewnej odmiany korporacji, gdzie efektywność mierzona jest wymiernymi wynikami. Mają to być wyniki finansowe – w ankiecie sprawozdawczej przekazanej przez Ministerstwo Nauki jest punkt dotyczący korzyści finansowych osiągniętych z badań naukowych. Ale osiągnięcia w nauce mierzone są także za pomocą systemu punktów parametrycznych. Ten system w swojej obecnej formie odgrywa ważną rolę w pobudzaniu aktywności naukowej i zwiększaniu liczby publikacji. Ale ma też różne niespodziewane defekty. Są bowiem sposoby zwiększania punktacji bez realnego zwiększania naukowych osiągnięć. Są też ważne osiągnięcia naukowe, które nie przekładają się na liczbę publikacji. Przywództwo naukowe musi szukać racjonalnych sposobów radzenia sobie z tymi dylematami.

To duże napięcie.

Tak, bo może to dotyczyć ważnych problemów dotyczących pracowników naukowych. Na przykład problemu awansu naukowego. Jak zmierzyć osiągnięcia naukowe? Praktyka punktowania, która się wykształciła w dużej części świata, pewne rzeczy wypacza. Na przykład opłaca się napisać cztery artykuły, a nie jedną książkę. Ale pisząc cztery artykuły nie można w pełni wyłożyć problemu, który przerasta ich ramy. Osobiście uważam, że motywacja wewnętrzna, czyli wynikająca z wewnętrznej potrzeby rozwiązania problemu naukowego, prowadzi do większej kreatywności niż motywacja zewnętrzna, taka jak powiększenie liczby punktów. Przytoczę co Karol Modzelewski, ówczesny wiceprezes PAN, odpowiedział na regulę zaproponowaną przez dziennikarza, zgodnie z którą „naukowiec jest wart tyle, ile granty, które dostaje”: „[Ta

reguła] się bierze z przeświadczenia, że produkcja książki jest takim samym biznesem, jak produkcja gwoździ. [...] Nauka to nie biznes. [...] Prawdziwy uczony jest jak jedwabniczek, który snuje nić z siebie nie dlatego, że ktoś stoi nad nim i go pogania, ale dlatego, że on tak musi, to jego wewnętrzny organiczny mus”. W konkluzji profesor Modzelewski stwierdził: „mechanizm urzędu i mechanizm biznesu [...] nie wychodzą na zdrowie nauce”. Myślę, że jest to stwierdzenie, które przywództwo naukowe powinno mieć stale w pamięci.

Z jakimi jeszcze innymi wyzwaniami mierzył się pan w swojej pracy lidera akademickiego?

Polityka personalna. Zasady awansu. Sposób gospodarowania środkami. Każda z tych spraw wzbudzała kontrowersje.

Jak sobie pan radził?

Starałem się komunikować z osobami, których dotyczyły decyzje i przedstawiać im swoje racje, a także wysłuchać ich racji. Nie przypominam sobie sytuacji, w której nie doszliśmy do porozumienia.

Czyli wcielał pan w życie swoje założenie, że dobro jednostki i dobro wspólnoty są nierozłączne. Ale przywództwo wymaga nie tylko rozumienia innych, ale również rozumienia siebie, swoich własnych motywacji. Był pan jednym z pierwszych, którzy stosowali w Polsce osiągnięcia nowoczesnej psychologii do zarządzania. Zajmował się pan także motywacjami w życiu naukowców.

Każdy z nas ma bardzo różnorodne źródła potrzeb i motywów. Są one związane na przykład z poczuciem własnej wartości, zadaniami, jakie wykonujemy w życiu, obowiązkami wobec innych ludzi: rodziny, przyjaciół, sąsiadów, przełożonych, z potrzebami materialnymi itd. Psychika człowieka to samoorganizujący się system, który musi jakoś uwzględnić te wymagania i zapewnić pewien poziom wewnętrznego ładu. Ważną rolę w tym procesie odgrywa struktura „ja”, ale jej własne potrzeby i motywy muszą być uzgadniane z innymi psychologicznymi mechanizmami.

Pana wizja przypomina bliski mi System Wewnętrznej Rodziny (IFS), który postuluje budowanie relacji między naszymi wewnętrznymi częściami – pan pewnie powiedziałby: podsystemami – oraz między nami, a innymi osobami. Dlaczego ludzie za panem szli?

Nie jestem właściwą osobą do odpowiedzi na to pytanie. Mogę się tego tylko domyślać. Chyba ważną rolę odegrały czynniki sytuacyjne, np. fakt, że zajmowałem się problematyką, która interesowała wielu kandydatów na studia doktorskie, a także wielu magistrantów. Pewien wpływ mógł mieć sposób działania – starałem się pokazać moim współpracownikom wspólne cele i tworzyć warunki dla współdziałania między członkami zespołu. Zależało mi też, żeby doktoranci nie czuli się osamotnieni w pracy nad swoimi doktoratami.

Jak tworzył pan taką wspólnotę naukową?

Mieliśmy pewne kolektywne formy pracy. W trakcie mojej pracy na Uniwersytecie Warszawskim co roku odbywaliśmy sesje wyjazdowe. Miały one ustalony temat, jej uczestnicy mieli przydzielone zadania. Na sesji każdy referował wykonane zadanie, a potem próbowaliśmy spojrzeć na nie z ogólniejszej perspektywy. Takie sesje miały nie tylko naukowe znaczenie. Były także okazją do nawiązania bliższych koleżeńskich stosunków między członkami zespołu. Dodam, że ja ze swoimi współpracownikami miałem przyjazne relacje. Niektórzy przychodzili do mnie ze swoimi prywatnymi problemami. Dla członków zespołu duże znaczenie miał też fakt, że co jakiś czas organizowaliśmy konferencje międzynarodowe, na które zapraszaliśmy ważnych w naszej dyscyplinie naukowców z Europy i ze Stanów Zjednoczonych, a nawet z Indii. Przyjeżdżali do nas chętnie, bo byli ciekawi, co się dzieje za żelazną kurtyną. Z kolei w okresie, w którym wyjazdy na Zachód były bardzo ograniczone, takie konferencje stanowiły dla młodych pracowników bardzo ważne doświadczenia. Zapraszaliśmy na nie także kolegów z innych placówek psychologicznych w Polsce.

Rozmawiał Michał Łuczewski

Nowi profesorowie

30 stycznia 2025 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Adriana Biedroń** (UPS), **Anna Sylwia Czyż** (UKSW), **Wanda Jarząbek** (ISP PAN), **Leonarda Mariak** (USz), **Mirosław Szumiło** (UMCS), **Beata Waligórska-Olejniczak** (UAM)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Piotr Michał Bugajski** (URK), **Robert Burduk** (PW), **Andrzej Tomasz Burghardt** (PRz), **Joanna Cabaj** (PW), **Krzysztof Antoni Gaska** (PŚ), **Marek Andrzej Gaworski** (SGGW), **Marta Elżbieta Gmurtek** (PŁ), **Dariusz Horla** (PP), **Jacek Marcin Hunicz** (PL), **Piotr Paweł Krawiec** (PP), **Robert Andrzej Król** (PW), **Piotr Marcin Martyniuk** (WAT), **Marcin Andrzej Morawiec** (PG), **Piotr Paweł Nawrocki** (AGH), **Krzysztof Piotr Okarma** (ZUT), **Dariusz Paweł Oleszak** (PW), **Ewa Pawłuszewicz** (PB), **Kinga Agnieszka Pielichowska** (AGH), **Piotr Jerzy Samczyński** (PW), **Małgorzata Ewa Szczerska** (PG), **Petar Sabev Varbanov** (Brno University of Technology, Czechy), **Jolanta Karolina Warchoń** (PW), **Iwona Anna Zarzyka** (PRz), **Lidia Zofia Żakowska** (PK)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Armand Cholewka** (UŚ), **Marek Grygier** (UMP), **Mateusz Bartłomiej Jagielski** (UMK), **Dorota Jenerowicz** (UMP), **Paweł Franciszek Kleczyński** (UJ), **Joanna Krystyna Kolmas** (WUM), **Marcin Sebastian**

Okrój (GUMed), **Edyta Monika Paczkowska** (PUM), **Małgorzata Teresa Peregud-Pogorzelska** (PUM), **Michał Mateusz Sarul** (UMWr), **Edyta Zbroch** (UMB)

NAUKI O RODZINIE: **Maria Ryś** (AEH)

NAUKI ROLNICZE: **Hanna Baranowska** (UPP), **Marcin Kurek** (SGGW), **Michał Kwiatek** (UPP), **Małgorzata Majcher** (UPP), **Kinga Stuper-Szablewska** (UPP)

NAUKI SPOŁECZNE: **Dominik Jan Gajewski** (SGH), **Bernadetta Cecylia Izydorczyk** (UJ), **Grzegorz Michał Nieć** (UPK), **Anna Antonina Odrowąż-Coates** (APSMG), **Joanna Olbryś** (PB), **Sławomir Śmiech** (UEK)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Marcin Bartłomiej Bilski** (UJ), **Van Cao Long** (UZ), **Karol Zdzisław Fijałkowski** (ZUT), **Jolanta Kumirska** (UG), **Zbigniew Dawid Lazar** (UPWr), **Tomasz Ligor** (UMK), **Ewa Bożena Łupikasza** (UŚ), **Kamilla Małek** (UJ), **Marzena Ewa Osuch** (IG PAN), **Tomasz Paterek** (UG), **Maciej Andrzej Rybczyński** (UJK), **Julian Tadeusz Sitar** (UŁ), **Robert Jacek Szoszkievicz** (UW), **Stefan Zbigniew Tukaj** (UG), **Guillaume Valette** (UJ)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Robert Woźniak** (UPJPII)

NAUKI WETERYNARYJNE: **Anna Duszewska** (SGGW)

SZTUKI: **Zbigniew Józef Latała** (PK), **Anna Małgorzata Mikolon** (AMG), **Mariusz Henryk Mróz** (AMB), **Karolina Anna Piątkowska-Nowicka** (AMG), **Joanna Stefańska** (PP)

Rozmowa z prof. Wojciechem Pukoczem,
artystą-malarzem, rektorem Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu

Mandat na drugą kadencję

Staramy się łączyć dwa światy:
innowacje i klasyczne fundamenty sztuki.

W ubiegłym roku rozpoczął pan drugą kadencję jako rektor wrocławskiej ASP. W programach wyborczych podkreślał pan znaczenie troski o ukonstytuowane tradycją wartości, a zarazem o adekwatną odpowiedź na współczesne wyzwania. Jakie wartości związane z kształceniem w dziedzinie sztuki są dziś zagrożone albo wymagają szczególnej uwagi?

Jeśli miałbym wskazać obszary, które mogą być zagrożone, to przede wszystkim wskazałbym szeroko pojętą wolność twórczą. Jest ona fundamentem edukacji artystycznej, a jednocześnie – w pewnych warunkach – może podlegać różnym formom nacisku. Obserwując obecną sytuację, mam poczucie, że klimat sprzyja swobodnej ekspresji artystycznej, co jest dla mnie bardzo pozytywną zmianą po latach napięć i niepewności.

Czy wcześniej dostrzegał Pan konkretne zagrożenia dla wolności twórczej?

Nie powiedziałbym, że mieliśmy do czynienia z cenzurą, ale z pewnością istniała atmosfera, która budziła obawy. Nie spotkaliśmy się z żadnymi bezpośrednimi ograniczeniami ze strony ministerstwa czy władz, nikt nie ingerował w działalność uczelni, nie było nacisków ani kontroli. Mimo to w środowisku artystycznym wyczuwało się napięcie, które wynikało z ogólnej sytuacji społeczno-politycznej. Była to bardziej kwestia odczucia i refleksji nad tym, w jakim kierunku mogą zmierzać pewne procesy, niż realne doświadczenie ograniczeń.

Były to więc raczej subiektywne obawy?

W pewnym sensie tak, choć nie bez podstaw. Artyści są szczególnie wrażliwi na wszelkie sygnały świadczące o możliwych ograniczeniach wolności wypowiedzi. Kiedy na początku mojej pierwszej kadencji wybuchły protesty związane ze Strajkiem Kobiet, zdecydowałem – podobnie jak inni rektorzy wrocławskich uczelni – o ogłoszeniu dnia rektorskiego. Był to gest wsparcia dla wszystkich pracowników i studentów, którzy chcieli wziąć udział w demonstracjach. Wówczas spotkało się to z wieloma pozytywnymi reakcjami, ale nie brakowało też

głosów wyrażających wątpliwości, czy uczelnia powinna angażować się w sprawy społeczne. Moje stanowisko było i pozostaje jasne: nie możemy być obojętni wobec tego, co dzieje się wokół nas. Sztuka i edukacja artystyczna zawsze są częścią szerszego kontekstu społecznego, a wolność twórcza wymaga czasem stanowczego opowiedzenia się po stronie fundamentalnych wartości.

Czy głosy dyscyplinujące dobiegały z zewnątrz?

Nie, były to głosy wewnętrzne.

Jak widać, środowisko akademickie jest zróżnicowane w swoich poglądach i opiniach.

Tak, i to całkowicie naturalne. W naszym środowisku ścierają się różne perspektywy i światopoglądy, co jest rzeczą normalną w uczelni artystycznej. Ostatecznie nie spotkaliśmy się z żadnymi konsekwencjami, co zresztą byłoby absurdem, ale nie da się zapominać o atmosferze, w której funkcjonowaliśmy.

Wartości, które są dla mnie kluczowe, to przede wszystkim swoboda artystycznej ekspresji i otwartość na różne formy wypowiedzi. Już w tamtym czasie uważałem, że należy głośno mówić o wolności sztuki i jasno deklarować, że w murach naszej uczelni nigdy nie zabraknie dla niej miejsca. Ważnym elementem jest również pielęgnowanie indywidualizmu i subiektywności, aby każdy twórca – niezależnie od tego, czy jest studentem, doktorantem czy nauczycielem akademickim – mógł swobodnie wyrażać swoje idee w granicach etyki i prawa. Zależało mi także na tym, aby uczelnia była miejscem, w którym ludzie czują się bezpiecznie, gdzie mogą rozwijać się w sposób wolny od zbędnych napięć. W tym celu wprowadziliśmy i zaktualizowaliśmy narzędzia prawne, które regulują relacje wewnątrz społeczności akademickiej: Kodeks Etyki, Komisję Etyki, Komisję Antymobbingową oraz Komisję Dyscyplinarne. Dzięki temu udało nam się stworzyć mechanizmy, które nie tylko zabezpieczają wolność artystyczną, ale też zapewniają poczucie bezpieczeństwa i klarowność zasad współpracy. Oczywiście, w środowisku akademickim zawsze pojawiają się konflikty wynikające

z różnic ideowych, ale po to właśnie powstały te narzędzia, aby pomagały w rozwiązywaniu sporów bez niepotrzebnej eskalacji.

Kolejną kluczową wartością jest dialog z tradycją.

Jak Pan go rozumie?

Jako dbałość o historię i świadomość, że w pogoni za nowoczesnością nie można tracić kontaktu z przeszłością i zapominać o tym, co nas ukształtowało. Staramy się więc łączyć te dwa światy: innowacje i klasyczne fundamenty sztuki. To szczególnie ważne w kontekście kształcenia młodych artystów, którzy powinni czerpać zarówno z przeszłości, jak i ze współczesnych narzędzi i metod pracy. Nasza uczelnia ma bogatą historię i ogromny dorobek. Regularnie zbieramy materiały i publikujemy monografie poświęcone wybitnym postaciom związanym z uczelnią, zarówno tym, którzy wciąż są aktywni, jak i tym, którzy kładli fundamenty pod jej rozwój. W tym roku planujemy wydanie monografii poświęconej Jerzemu Boroniowi, znakomitemu, choć nieco zapomnianemu rzeźbiarzowi.

Istotne jest także kontynuowanie i rozwijanie kierunków o ugruntowanej pozycji, takich jak szkło i ceramika, które łączą tradycję z nowoczesnym myśleniem o sztuce i wzornictwie. Kładziemy nacisk na to, aby nasi studenci byli nie tylko dobrze przygotowani do funkcjonowania w świecie sztuki, ale również świadomi swojego miejsca w tradycji artystycznej i akademickiej. Wierzę, że takie podejście pozwoli nam rozwijać się w sposób zrównoważony, czerpiąc zarówno z dziedzictwa, jak i z nowych możliwości, które daje współczesność.

A jaka jest obecnie kondycja wspomnianych kierunków, czyli szkła i ceramiki, z którymi wiążą się tradycje wrocławskiej akademii? Czy po upadku przemysłu szklarskiego straciły charakter użytkowy i wyewoluowały w stronę czysto artystyczną?

Ta dwoistość – pomiędzy funkcjonalnością a sztuką – istniała od zawsze. W przyszłym roku nasza uczelnia obchodzi 80-lecie istnienia, a właśnie wydany pierwszy tom monografii ukazuje, jak od samego początku była wpisana w system dywersyfikacji kierunkowej. Przy jej zakładaniu zwrócono szczególną uwagę na bliskość hut szkła, co wpłynęło na decyzję o rozwoju kierunków związanych z tym materiałem. Rozbudowa zaplecza techniczno-technologicznego miała wówczas na celu głównie wsparcie edukacji projektowej w duchu powojennych założeń społeczno-politycznych. Artyści i projektanci pracujący na uczelni dbali o to, by kształcenie łączyło dwie ścieżki: projektowanie i funkcję z jednej strony oraz dbałość o formę i wyraz artystyczny z drugiej. Dziś te aspekty naturalnie się przenikają. Wraz ze zmianami w nomenklaturze powstały kierunki Sztuka i Wzornictwo Szkła oraz Sztuka i Wzornictwo Ceramiki, a obecnie rozważamy dalsze rozwinięcie tej specjalizacji poprzez wyodrębnienie nowych kierunków: Projektowanie Szkła, Projektowanie Ceramiki, Szkła Artystycznego i Ceramiki Artystycznej. Wprawdzie te obszary zawsze będą się przenikać, ale dostarczamy duży potencjał w ich specjalizacji.

Kontynuujemy tradycje, a najlepszym tego przykładem jest fakt, że jako jedyna uczelnia w Polsce i jedna z nielicznych



Fot. B. Radziszewski

w Europie posiadamy własną pełnoskalową hutę szkła. To unikatowy atut. Nasi studenci i pracownicy mogą realizować swoje projekty w warunkach zbliżonych do przemysłowych, zdobywając nie tylko doświadczenie artystyczne, ale i techniczne. Infrastruktura kierunków związanych ze szkłem i ceramiką jest znakomicie rozwinięta, a przecież mówimy tylko o jednym z pięciu wydziałów ASP. Tworzenie kierunków wzorniczych było naturalnym elementem rozwoju uczelni plastycznych w Polsce. Szczególnie zasłużoną postacią w tym kontekście jest prof. Władysław Wincze, który odegrał kluczową rolę w budowaniu tej tożsamości.

Pomimo upływu lat i kolejnych kadencji rektorskich, meble zaprojektowane przez prof. Winczego nadal znajdują się w gabinecie

rektora wrocławskiej ASP.

Tak, to projekty, które przetrwały próbę czasu. Biurko w moim gabinecie zostało już poddane konserwacji, co pokazuje, że doceniamy nie tylko wartość historyczną, ale i użytkową tych mebli. Jest dość niskie i wąskie – mam miejsce na laptop, ale gdy muszę rozłożyć dokumenty, zazwyczaj korzystam z drugiego stołu. Mimo to nikomu nie przyszłoby na myśl, by wymienić te meble na nowe. To dowód, że dobre wzornictwo jest ponadczasowe. Gabinet wydaje się współczesny, choć jego wyposażenie ma już status zabytkowego.

A jakie wyzwania współczesności uważa Pan za istotne dla edukacji przyszłych artystów?

Nie zagłębiając się w szczegóły, widzę pewne zagrożenie w rosnącej technicyzacji narzędzi. Z jednej strony technologia jest ogromnym wsparciem i otwiera nowe możliwości, z drugiej niesie ryzyko spłylenia procesu twórczego i pójsicia na skróty tam, gdzie nie powinno to mieć miejsca. Upraszczając znacznie pewną myśl: ludzie generalnie są leniwi, więc pojawiają się nowe wynalazki, które mają nam życie ułatwić, co przy okazji napędza cywilizację. Jestem przekonany, że w najbliższych latach sztuczna inteligencja nie zastąpi człowieka w procesie twórczym, ponieważ nie posiada świadomości ani zdolności do głębokiej refleksji. Oczywiście naukowcy spekulują, że AI może kiedyś osiągnąć pewien rodzaj samoświadomości, ale mam nadzieję, że to odległa perspektywa i nie stanie się to zagrożeniem dla sztuki.

Rozwój technologii jest nieunikniony i może być inspirujący, ale istotne jest, by nie zastępował kluczowych etapów kształcenia artystycznego. Nie możemy udawać, że nie istnieją narzędzia cyfrowe, sztuczna inteligencja czy algorytmy generujące obrazy, jednak ważne jest to, aby studenci nie tylko potrafili z nich korzystać, ale również mieli świadomość, w jaki sposób mogą je twórczo wykorzystywać i oceniać własne działania. Dlatego kluczowe jest wyposażenie ich w solidne podstawy: ołówki, pędzel, klasyczne techniki i umiejętności warsztatowe, które będą mogli rozwijać i łączyć z nowoczesnymi technologiami. Może to brzmieć archaicznie, ale w szkolnictwie artystycznym nadal funkcjonuje renesansowy model mistrz – uczeń, który niezależnie od kierunku pozostaje skuteczną metodą edukacyjną. Podejmowano próby jego podważenia, jed-

nak rzeczywistość pokazała, że ten model, choć funkcjonuje od ponad 500 lat, nadal dobrze się sprawdza. Oczywiście nie jest już taki sam jak w renesansie, ale w kluczowych aspektach opiera się na tych samych fundamentach.

Jak zmieniło się kształcenie na kierunku malarstwo we wrocławskiej ASP od czasu pana studiów w pracowni prof. Stanisława Kortyki?

Obroniłem dyplom w pracowni profesora w 1997 roku, a już wcześniej byłem jego asystentem. Mija właśnie 30 lat mojej pracy na uczelni. W tym czasie dokonała się ogromna rewolucja technologiczna i cyfrowa. Mimo to kształcenie na kierunku malarstwo przeszło raczej ewolucję niż rewolucję. Podstawy wciąż są te same – w pracowniach stoją sztalugi, studenci pracują z modelem lub nad martwą naturą, rozwijając swoje umiejętności krok po kroku. Trzydzieści czy czterdzieści lat temu studenci malarstwa mogli fakultatywnie korzystać z zajęć w pracowniach graficznych czy rzeźbiarskich, dziś ta możliwość również istnieje.

Największa różnica polega na tym, że obecnie mamy pełną świadomość, iż młodego artystę trzeba wyposażać także w umiejętność korzystania z narzędzi cyfrowych. Obsługa programów do edycji obrazu czy montażu filmowego to kompetencje, które stają się naturalnym uzupełnieniem klasycznego warsztatu. Dlatego wprowadziliśmy regularne zajęcia w pracowniach multimedialnych i intermedialnych, aby studenci nie tylko poznawali nowe technologie, ale potrafili świadomie je wykorzystywać w swojej pracy.



Ciągle wracam do pojęcia świadomości, ponieważ uważam, że to fundament współczesnej edukacji artystycznej. Sama znajomość narzędzi nie wystarczy, kluczowe jest, by młody twórca wiedział, jak je stosować, jakie znaczenie mają w jego pracy i w jakim kierunku może je rozwijać.

Niegdyś definiowanie malarstwa wydawało się proste, wystarczyło wspomnieć o posługiwaniu się plamą barwną albo linią umieszczanymi na odpowiednim podłożu. Obecnie ta definicja nie wydaje się tak oczywista. Jak odniesie się pan np. do kwestii granic medium malarstwa?

To niezwykle interesujący temat, który od lat wywołuje żywe dyskusje. Pamiętam rozmowy na radach wydziału, kiedy próbowaliśmy określić, gdzie leżą granice malarstwa; szczególnie w kontekście tego, że współczesny malarz ma do dyspozycji znacznie więcej środków niż tradycyjne płótno, farba i pędzel. Pojawiało się pytanie: kiedy obraz stworzony przy pomocy narzędzi cyfrowych nadal jest malarstwem, a kiedy przestaje nim być? Oczywiście były głosy, które kategorycznie odrzucały taką możliwość, niektórzy uważali, że używanie terminu „malarstwo” w odniesieniu do obrazu stworzonego cyfrowo to nadużycie.

Diskusje na radach wydziału musiały więc być dynamiczne.

Tak, i to bardzo. Wciąż mówi się o zmierzchu autorytetów, ale ja nadal w nie wierzę. Dla mnie jednym z nich jest David Hockney, dziś już niemal dziewięćdziesięcioletni, wybitny malarz, który przez lata tworzył klasyczne obrazy figuratywne.

W pewnym momencie zaczął jednak eksperymentować, sięgnął po aparat fotograficzny, kamerę, a nawet tablet, rezygnując z tradycyjnych narzędzi malarskich. I on powiedział coś, co uważam za kluczowe: obraz to obraz. Albo artysta ma świadomość, że tworzy malarstwo, albo jej nie ma.

Dawniej definicja malarstwa wydawała się prosta: forma, kolor, plama barwna na płótnie. Hockney poszedł dalej, pokazując, że istotą malarstwa jest sposób myślenia, a nie fizyczne podłoże czy narzędzie. Możemy robić to samo, tylko zamiast pędzla i farby używać narzędzi cyfrowych. Właśnie to przesunęło granicę malarstwa, nie jego cechy formalne, ale sposób, w jaki postrzegamy obraz i jego relację z medium.

Dzisiaj, jeśli student przedstawi na dyplomie realizację wideo, nie wywoła to już skandalu. Oczywiście nadal pojawią się pytania, czy to, co widzimy, ma cechy malarskie, czy rzeczywiście możemy mówić o obrazie malarskim. Sama natura medium nie budzi jednak kontrowersji, a jeszcze kilkanaście lat temu byłoby inaczej.

Czas nieuchronnie zmienia perspektywę, następuje wymiana pokoleń. Wspomnę tu mojego mistrza, profesora Stanisława Kortykę, który zawsze wykazywał się ogromną otwartością i tolerancją wobec nowych form wyrazu. Na ścianie mojego gabinetu wisi jedna z moich dyplomowych prac – metalowa rama, w której wykorzystałem fotografie i żywice.



W tamtym czasie materiały te nie kojarzyły się z klasycznym warsztatem malarskim, co wywołało dość burzliwą dyskusję. Ostatecznie obroniłem się, ale pokazuje to, jak bardzo zmieniają się granice percepcji malarstwa na przestrzeni lat.

„Obraz to za mało” to tytuł Pana katalogu wydanego w 2014 roku. Proszę o komentarz w kontekście wcześniejszej wypowiedzi.

Tytuł ten odnosił się także do mojej wystawy w Galerii Awangarda i w pewnym sensie był przewrotną deklaracją mojego podejścia do sztuki. W swojej pracy posługuję się bardzo szerokim spektrum środków wyrazu. Maluję w sposób tradycyjny, używając płótna, farb olejnych i akrylowych, ale sięgam też po rysunek, fotografię, narzędzia cyfrowe. Tworzę animacje, filmy, wideo nie dlatego, że odrzucam malarstwo, ale dlatego, że czasem obraz w klasycznym rozumieniu to dla mnie za mało, by w pełni wyrazić to, co chcę powiedzieć.

Zawsze fascynowało mnie, jak różne mogą być postawy twórcze. Są artyści, którzy przez całe życie zajmują się – w pewnym sensie – malowaniem jednego obrazu, co może być interpretowane jako konsekwentna, godna podziwu postawa artystyczna. Ja jednak odczuwam w sobie pewną niecierpliwość, chęć eksplorowania innych rozwiązań, testowania różnych materiałów, przekraczania granic medium.

I właśnie w tym kontekście – w otwartości na różne sposoby budowania obrazu – uważam, że malarstwo nie musi, a nawet nie powinno być definiowane wyłącznie przez konkretne narzę-

dzia, ale przez sposób myślenia o obrazie jako takim.

Kandydując na stanowisko rektora w 2020 roku, wspominał pan o potrzebie poszerzenia oferty edukacyjnej. Co w tej dziedzinie udało się przeprowadzić?

Dla mnie rozwój uczelni nie polega na zwiększaniu limitów przyjęć, lecz na tworzeniu nowych kierunków, które realnie wzbogacają ofertę edukacyjną. I to właśnie udało nam się zrealizować. Po intensywnych pracach nad programem kształcenia uruchomiliśmy kierunek rysunek. Obecnie mamy studentów na trzecim roku, a ponieważ są to studia jednolite, pierwszych absolwentów spodziewamy się za dwa lata. Można by pomyśleć, że rysunek to podstawowa i oczywista dziedzina kształcenia artystycznego, jednak gdy przeprowadziliśmy analizę programów na innych uczelniach, okazało się, że nikt wcześniej nie wyodrębnił go jako osobnego kierunku. Jesteśmy więc jedyną uczelnią w Polsce, która oferuje taki program. To było dla nas duże zaskoczenie, a jednocześnie źródło ogromnej satysfakcji.

Czy rysunek cieszy się dużym zainteresowaniem kandydatów na studia?

Tak, zainteresowanie jest duże, w tym roku mieliśmy więcej kandydatów na ten kierunek niż na malarstwo. Oczywiście limity przyjęć są inne: na rysunek przyjmujemy 12 studentów, na malarstwo 22.

Popularność tego kierunku wynika m.in. z jego praktycznego charakteru – oprócz czysto artystycznych umiejętności studenci zdobywają także kompetencje przydatne w pracy zawodowej. Mają możliwość nauki storyboardingu, rysunku narracyjnego, komiksu, co daje im szerokie perspektywy w sektorze kreatywnym i pozwala odnaleźć się na rynku pracy, np. jako freelancerzy realizujący zlecenia komercyjne.

Drugim kierunkiem, który już utworzyliśmy, jest animacja kultury, choć planujemy zmianę jego nazwy na menadżer kultury. To kierunek o charakterze praktycznym, skierowany do osób, które chcą zarządzać instytucjami kultury, prowadzić galerie, organizować wydarzenia artystyczne i promować sztukę. Rzeczywistość pokazuje, że takich specjalistów, potrafiących łączyć środowisko artystyczne z przestrzenią instytucjonalną, bardzo brakuje.

Czy kształcenie na tym kierunku obejmie także praktyczne zapoznanie się z warsztatem?

Oczywiście. Chcemy, aby nasi absolwenci mieli realne doświadczenie pracy z artystami, rozumieli, jak wygląda proces twórczy i jakie są potrzeby twórców. Praktyczna znajomość warsztatu artysty pozwoli im skuteczniej działać w obszarze organizacji kultury i promocji sztuki.

Równolegle pracujemy nad dalszym poszerzeniem oferty edukacyjnej poprzez wyodrębnienie nowych specjalizacji z istniejących kierunków. Rozważamy utworzenie osobnych programów dla projektowania mebla i projektowania środków

transportu w ramach wzornictwa. Podobnie w konserwacji i restauracji dzieł sztuki – planujemy rozszerzenie zakresu kształcenia o konserwację biżuterii, drewna, mebli oraz instrumentów muzycznych, ponieważ widzimy w tym duży potencjał zarówno artystyczny, jak i komercyjny.

Nieustannie analizujemy potrzeby rynku i dostosowujemy ofertę edukacyjną do współczesnych wyzwań, aby nasza uczelnia nie tylko kształciła artystów, ale także przygotowywała ich do świadomego funkcjonowania w świecie sztuki i kultury.

„Zasadniczą kwestią działania jest dla mnie element współpracy” – to cytat z pańskiego programu wyborczego. Czy ma pan jakiś „wytrych” przydatny w tworzeniu dobrej atmosfery pomiędzy pracownikami uczelni?

Od początku stawiałem na współpracę, to była jedna z kluczowych wartości mojego programu wyborczego. Oczywiście fakt, że nie miałem kontrkandydata, dawał mi pewien komfort, ale jednocześnie traktowałem swoje obietnice bardzo poważnie. Chciałem, aby uczelnia była miejscem, w którym wszyscy czują się współodpowiedzialni za jej funkcjonowanie. To może brzmieć górnolotnie, ale sprowadza się do uważnego słuchania pracowników i studentów. Moim celem jest, aby każdy miał poczucie sprawczości, świadomość, że rozmowy i inicjatywy mogą prowadzić do realnych zmian. Poprzednia kadencja pokazała, że ta strategia działa, dlatego dostałem mandat na kolejne cztery lata.

Jednym z najtrudniejszych, ale też najbardziej satysfakcjonujących wyzwań było wypracowanie regulaminu zarządzania prawami autorskimi. Był to dokument, który budził ogromne kontrowersje i wymagał długich negocjacji. Ostatecznie udało nam się wypracować rozwiązanie zaakceptowane przez Senat niemal jednogłośnie, tylko z jednym głosem wstrzymującym się. Regulamin ten reguluje relacje między uczelnią a pracownikami w kontekście własności intelektualnej, co jest niezwykle delikatną kwestią, bo dotyczy twórczości artystycznej i projektowej.

Nie mam zwyczaju wyznaczania oficjalnych dyżurów, moje drzwi są zawsze otwarte. Jeśli akurat nie jestem na spotkaniu, każdy może przyjść i porozmawiać. Uważam, że dostępność i otwartość to fundament dobrej atmosfery na uczelni.

Co jest dla pana jako rektora wrocławskiej ASP największą troską w 2025 roku, a z czego czerpie pan satysfakcję?

Największym wyzwaniem, nie tylko dla naszej uczelni, ale dla całego szkolnictwa wyższego, jest finansowanie. Pomimo wielu działań sytuacja finansowa nie jest idealna. Chciałbym, aby wynagrodzenia, szczególnie na stanowiskach asystentów, były wyższe. Obecnie młodzi wykładowcy zarabiają niewiele ponad płacę minimalną, co nie jest sytuacją, którą można zaakceptować.

Równocześnie staram się pozyskiwać środki na rozwój infrastruktury. Na moim parapecie stoi makietka nowego budynku, mamy już pozwolenie na budowę i szukamy finansowania. Obiekt ten, zlokalizowany przy Traugutta, stanie się częścią przyszłego kampusu i będzie dedykowany wzornictwu. Chcemy, aby proces edukacyjny obejmował nie tylko projektowanie, ale także etap wdrożenia, oczywiście we współpracy z firmami i zewnętrznymi partnerami.

Cieszę się również, że udało nam się kupić budynek przy ul. Niemcewicza 2, w bardzo dobrym stanie i w pobliżu akademika. Zostanie on przeznaczony m.in. na potrzeby scenografii, która obecnie boryka się z ograniczoną przestrzenią. Dzięki wsparciu ministerstwa i miasta kupiliśmy ten obiekt z 80-procentową bonifikatą, co było ogromnym sukcesem.

Największą satysfakcję czerpię jednak z tego, że ASP to nie tylko uczelnia, ale także istotny ośrodek kulturotwórczy. Przewodzimy kilkanaście galerii, w których odbywają się liczne wystawy i wydarzenia artystyczne. Nasza rola nie ogranicza się do edukacji, aktywnie uczestniczymy w życiu kulturalnym Wrocławia, co jest dla mnie niezwykle istotne i daje mi ogromną radość.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Dobre obyczaje

Niewłaściwe rozumienie relacji autora z redakcją polega na tym, że nie jest to wbrew pozorom transakcja o charakterze biznesowym. W wielu czasopismach za publikację trzeba zapłacić, ale fakt wniesienia wymaganej opłaty nie czyni z autora klienta, który może wymagać, czego tylko zechce. Ma pełne prawo oczekiwać przede wszystkim profesjonalnej redakcji, jasnej komunikacji i publikacji bez zbędnej zwłoki, ale nie może traktować np. konieczności poprawek wskazanych przez redaktorów w ramach korekty autorskiej jako zbędnego utrudnienia.

Wiele wielkich religii ma zarówno święte księgi, jak i tradycję, i dopiero w połączeniu stanowią one przekaz wiary. Także w sferze profanum są uświęcone tradycje i zwyczaje stanowiące element tożsamości danego narodu czy innej zbiorowości. Tak jest również w międzynarodowej społeczności badaczy i innych osób związanych z nauką (scientific community). Istnieją zachowania, które nie są nielegalne z punktu widzenia żadnego prawa, ale stanowią naruszenie – mniej lub bardziej poważne – dobrych obyczajów w nauce. Niektóre z nich są specyficzne dla kontaktów autorów prac naukowych z redakcjami czasopism. Najpewniej większość omawianych poniżej sytuacji wynika z niewiedzy. Im więcej jest na świecie osób zawodowo uprawiających naukę, tym większa jest szansa, że jakiejś części z nich nikt nigdy nie przekazał, że niektóre zachowania – choć dają się uzasadnić – są zwyczajnie niestosowne (w nauce lub w ogóle).

Znikające manuskrypty

Autorzy mają prawo wycofać manuskrypt z danego czasopisma (withdrawal – nie mylić z retrakcją) w dowolnym momencie prac nad artykułem, zarówno na etapie recenzji, jak i po akceptacji, a przed publikacją (tzn. w trakcie redakcji językowej lub składu). Wynika to z faktu, że osobiste prawa autorskie do artykułu należą właśnie do nich, zarówno przed, jak i po ukazaniu się artykułu, i to oni decydują, w którym czasopiśmie ma pojawić się dany tekst i czy w ogóle ma być rozpowszechniany. Niektóre redakcje oczekują podania powodu wycofania, inne nie (co ważne: na ogół redaktorzy i tak nie są w stanie potwierdzić, czy podano powód prawdziwy, czy tylko „oficjalny”, niektóre używane przez autorów uzasadnienia są właściwie jednobrzmiące, jakby je skądś kopiowali). Jednak wycofanie artykułu nie oznacza, że znika on z systemu do zarządzania manuskryptami używanego przez redakcję, zarówno tekst z ostatniego etapu prac nad nim, jak i dane autorów i inne informacje (np. o źródłach finansowania) pozostają, gdyż musi pozostać dowód na to, że dany artykuł został złożony w danym periodyku, a następnie konkretnego dnia wycofany. Może mieć to znaczenie także dla autorów, w razie gdyby ktoś np. zarzucił im, że złożyli ten sam artykuł jednocześnie do kilku czasopism, redakcja na podstawie danych z systemu będzie mogła wystawić odpowiednie zaświadczenie i autorom nikt nie będzie musiał wierzyć na słowo.

Jednak kilka razy zetknąłem się z sytuacją, gdy badacze niejako sami pozbawili się takiej możliwości. System poinformował mnie, że autorzy konkretnego manuskryptu zażądali jego wycofania, ale gdy wszedłem na profil tego konkretnego (będącego jeszcze w trakcie recenzji) artykułu, okazało się, że z systemu usunięto już wszystko to, co dało się usunąć: wszystkie pliki (główny tekst, tabele, ryciny, listę piśmiennictwa), a także tytuł. Jednak używane przez wiele redakcji oprogramowanie uniemożliwia manipulację niektórymi danymi przez autorów po nadesłaniu manuskryptu do redakcji bez zgody redaktorów, dotyczy to przede wszystkim nazwisk, e-maili i afiliacji autorów. Ma to na celu uniemożliwienie dodawania, usuwania i podmieniania autorów na własną rękę, co mogłoby być sygnałem, że manuskrypt nie jest tak naprawdę rezultatem pracy tych, którzy deklarują jego autorstwo. Spytałem zatem twórców wycofanego artykułu, dlaczego usunęły wszelkie informacje, które tylko mogli. Nie otrzymałem (czego niestety się spodziewałem) żadnej odpowiedzi. Takie postępowanie nie jest nielegalne, ale świadczy o podstawowej niewiedzy w obszarze dobrych obyczajów w publikowaniu naukowym. Autorzy nie mieli zapewne złych intencji, ale ich postępowanie przywodzi na myśl próbę zatarcia za sobą śladów. Być może w rzeczywistości wysłali artykuł równoległe do kilku czasopism i jedno z nich opublikowało artykuł znacznie szybciej niż my, a wtedy spanikowali i uznali, że w ten sposób nie wyjdzie to na jaw. Mogła też jednak kryć się za tym po prostu nieświadomość, że wycofanie nieopublikowanego artykułu nie polega na tym, że powracamy do sytuacji sprzed zgłoszenia danego manuskryptu do danego czasopisma, tak jakby redaktorzy w tym periodyku nigdy go nie widzieli. Dane i materiały gromadzone w systemach do zarządzania obiegiem manuskryptów są poufne i nie wyciekną poza redakcję, gdyby tak się stało, redaktorom (przynajmniej w uczciwych, poważnych czasopismach) groziłyby poważne konsekwencje służbowe. Nie ma zatem powodu, by zacierać za sobą ślady, po otrzymaniu z redakcji potwierdzenia wycofania artykułu (co powinno nastąpić niezwłocznie po zażądaniu tego, najdalej po kilku dniach) można jeszcze tego samego dnia złożyć go w innym periodyku, a o poprzednim po prostu zapomnieć.

Nad głową redaktora

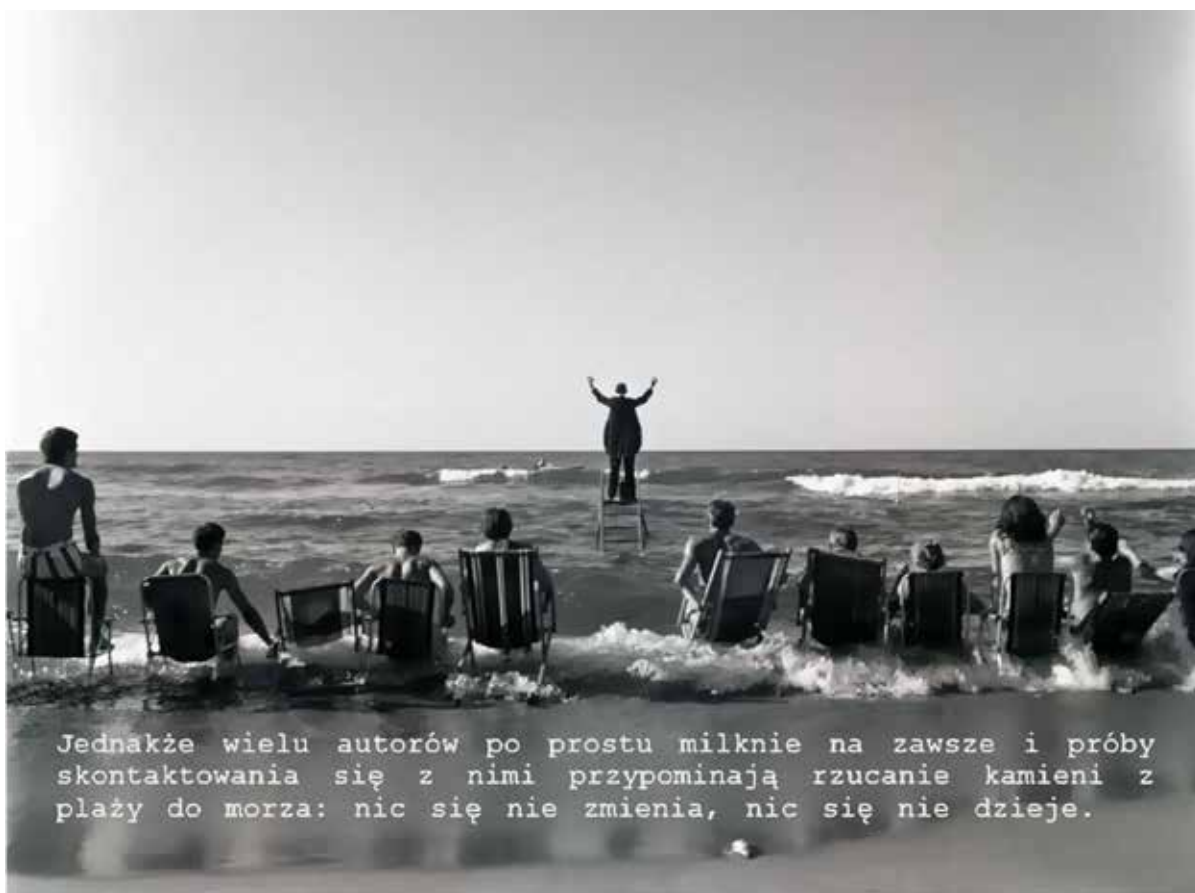
W zarządzaniu używa się pojęcia „eskalacja”. Niekoniecznie oznacza ono coś groźnego (jak np. eskalacja konfliktu),

lecz sytuację, gdy danego problemu nie sposób rozwiązać na danym poziomie danej struktury (instytucji, firmy) i musi się o nim dowiedzieć bezpośrednio przełożony (a jeśli i ta osoba nie umie lub nie chce mu zaradzić, eskaluje się dalej). Jest to możliwe oczywiście także w kontaktach z czasopiśmie naukowym, jeśli redaktor (np. managing editor, czyli osoba kierująca pracą redakcji i obróbką językową i techniczną artykułów) nie wykonuje należycie swoich obowiązków lub nie reaguje na próby kontaktu, naturalne jest poinformowanie o tym fakcie redaktora naczelnego. Niektórzy autorzy zdają się jednak opacznie rozumieć ten mechanizm i eskalują swoją sprawę do osoby stojącej na czele czasopisma także wówczas, gdy redaktor postępuje zgodnie z regułami obowiązującymi w danym periodyku, ale sprawy biegną – w ich czysto subiektywnym rozumieniu – nie po ich myśli. Najczęściej dotyczy to sytuacji, gdy oczekuje się od nich spełnienia wymagań, które obowiązują wszystkich autorów i wszystkie manuskrypty, a które ten konkretny badacz uważa za bezdurne. Czasem komunikacja ze strony takich osób przybiera dziwnie feudalny posmak, piszą oni do redaktorów naczelnych w tonie sugerującym, żeby zdyscyplinowali „krnąbrnego” pracownika, by przestał robić problemy. Widzę tu dwa rodzaje motywacji: jeden wynika z błędnego rozumienia własnej pozycji w strukturze, drugi z błędnego postrzegania natury relacji między autorem a czasopiśmie naukowym. Niektórzy badacze wywodzący się z instytucji (uczelni, instytutów badawczych, placówek służby zdrowia) lub całych społeczeństw o charakterze wyraźnie hierarchicznym, sprawiającym czasem wrażenie półfeudalnego, bywają autentycznie przekonani, że będą mogli dogadać się z redaktorem naczelnym jak równy z równym (np. jak profesor z profesorem) z pominięciem niżej umocowanego w hierarchii „zwykłego” redaktora. Nie traktuję takich spraw ambicjonalnie i chciałbym wyraźnie podkreślić, że nie czuję się w żadnym sensie „lepszy” od autorów, którzy są na ogół ludźmi znacznie lepiej wykształconymi ode mnie, wykonującymi eli-

tarny i trudny zawód naukowca. Jednak reguły w publikowaniu naukowym są te same dla wszystkich, i dla profesorów, i dla studentów z koła naukowego (rozumiem, że nie wszędzie tak jest, ale stoję na stanowisku, że tak być powinno).

Niewłaściwe rozumienie relacji autora z redakcją polega zaś na tym, że nie jest to wbrew pozorom transakcja o charakterze biznesowym. W wielu czasopismach za publikację trzeba zapłacić, ale fakt wniesienia wymaganej opłaty nie czyni z autora klienta, który może wymagać, czego tylko zechce. Ma pełne prawo oczekiwać przede wszystkim profesjonalnej redakcji, jasnej komunikacji i publikacji bez zbędnej zwłoki, ale nie może traktować np. konieczności poprawek wskazanych przez redaktorów w ramach korekty autorskiej (szczotka, galley proof) jako zbędnego utrudniania. Zadaniem czasopisma naukowego jest nie tylko dawać badaczom możliwość publikacji, ale też dbać o odpowiedni poziom rozpowszechnianych na jego łamach artykułów, zarówno merytoryczny, jak i językowy. Rozumiem, że w realiach współczesnej nauki zabrzmi to skrajnie naiwnie, ale każdemu jej pracownikowi też powinno na tym zależeć. Jeśli ktoś chce po prostu „przepchnąć” swój artykuł, a jego poziom jest dla niego bez znaczenia, to nasuwa się wniosek, że danej osobie nie zależy tak naprawdę na rozwoju nauki, ale na zrobieniu w niej kariery, a to nie to samo. Być może z traktowania badań naukowych po prostu jako kolejnego sposobu zarabiania pieniędzy i zdobywania społecznego prestiżu wynikają propozycje o charakterze jawnie korupcyjnym, gdy autor proponuje przekazanie mi prywatnie jakiejś sumy w zamian za zagwarantowanie szybkiej i bezproblemowej publikacji, choć reguły danego czasopisma nic nie wspominają o szybkiej ścieżce (fast-track) publikacji, a redaktor nie może zapewnić, że recenzje będą pozytywne.

Całe szczęście w wielu czasopismach redaktorzy naczelnicy po zorientowaniu się, że to nie problem po stronie redaktora, a próba ominięcia go, po prostu odsyłają do niego dany



Jednakże wielu autorów po prostu milknie na zawsze i próby skontaktowania się z nimi przypominają rzucanie kamieni z plaży do morza: nic się nie zmienia, nic się nie dzieje.

Zdjęcie: pixabay

e-mail. Gorzkie rozczarowanie autorów, gdy okazuje się, że irytującego „utrudniacza” nie da się ominąć, jest niestety wynikiem trzeciego (ogólnego i również mylnego) przekonania, że reguły i regulaminy to tylko niezobowiązujące wskazówki i że wszystko można „dogadać” i „załatwić” (szczególnie jeśli dysponuje się odpowiednio wysokim umocowaniem i/lub pieniędzmi). Jako redaktor mogę tylko wskazać, że z czasopiśmie, w którym takie „dogadywanie się” ponad czyjąś głową i „załatwianie” pod stołem w ogóle jest możliwe, nie chciałbym mieć nic wspólnego. Jedną z zalet tego zawodu jest fakt, że nie stanowi się trybiku wykonującego za pieniądze dowolne polecenia.

Milczenie morza

Trzecie wykroczenie przeciw dobrym obyczajom – i w nauce, i w ogólności – ma najbardziej generalny charakter i występuje najczęściej. Ujmę to wprost: niektórzy autorzy sprawiają wrażenie, że kontaktują się z redakcją tylko do momentu, gdy jest to dla nich dogodne, jeśli mogą w ten sposób coś uzyskać (przede wszystkim publikację) i jeśli nie padają żadne niewygodne pytania. Regularnie zdarza się, że jakiś manuskrypt staje się „martwą duszą”, jego autorzy na jakimś etapie przestają reagować na ponaglenia, przypomnienia, pytania, raz za razem ponawiane próby kontaktu. Czasem dzieje się to na etapie wstępnej weryfikacji artykułu, czasem podczas peer review, zwłaszcza jeśli ten proces się przeciąga, ale (choć rzadziej) może to też nastąpić już po zaakceptowaniu artykułu, np. podczas korekty autorskiej lub gdy trzeba przysłać podpisane umowy licencyjne stanowiące zgodę na publikację. Niekiedy da się wskazać prawdopodobny powodów tej sytuacji, np. jeśli pojawiło się żądanie zmiany składu autorskiego już po przyjęciu do druku, a redakcja nie wyraziła na to zgody. Jeśli próby wyjaśnienia przyczyn ciszy nie dają rezultatu, po pewnym czasie manuskrypt jest odrzucany, im mniej zaawansowane są prace nad nim, tym szybciej (np. przy wstępnej weryfikacji, po miesiącu, a jeśli autorzy zamilkli podczas korekty autorskiej, gdy zostanie opublikowany zeszyt cza-

sopisma, do którego artykuł był przypisany). Odrzucenie przed etapem peer review jest nieodwracalne (manuskrypt zawsze można zgłosić od nowa). Jeśli autorzy uaktywnią się ponownie po odrzuceniu w trakcie recenzji, redaktor naczelny rozpatruje ich sprawę indywidualnie; jeśli znikli z radarów po akceptacji, na ogół możliwe jest przypisanie pracy do jednego z późniejszych numerów (szczególnie jeśli dane czasopismo pobiera opłatę za publikację).

Jednakże wielu autorów po prostu milknie na zawsze i próby skontaktowania się z nimi przypominają rzucanie kamieni z plaży do morza: nic się nie zmienia, nic się nie dzieje. Tu także nie będę owijał w bawełnę: rozumiem brak czasu czy różnice kulturowe, ale ignorowanie jasno sformułowanych pytań w sformalizowanej sytuacji, jaką są relacje autorów z redakcją, jest zwyczajnie niekulturalne i wystawia takiej osobie jak najgorsze świadectwo. Jeśli dany badacz stracił zainteresowanie publikacją w danym periodyku i postanowił wysłać swój manuskrypt gdzie indziej, wystarczy zażądać wycofania manuskryptu, uzasadnić to jednym zdaniem (jeśli jest wymagane podanie konkretnego powodu) i skupić się na kolejnym czasopiśmie, ale nie po prostu milczeć. Po drugiej stronie znajduje się nie bot, tylko żywy człowiek, który ma prawo być traktowany poważnie także wtedy, gdy już nie może lub nie chce sprawić, że sprawy ułożą się po naszej myśli. Ma prawo do odpowiedzi na pytanie, uprzejmej i na temat, po prostu dlatego, że wszyscy jesteśmy częścią świata nauki, gdzie powinny przynajmniej obowiązywać pewne zasady. Mogą się one wydawać nielogiczne czy niedzisiejsze, ale to właśnie pewne konwencje w relacjach międzyludzkich sprawiają, że (na ogół) nie skaczemy sobie na co dzień do gardeł. Warto poważnie traktować tradycje i zwyczaje, zwłaszcza jeśli oczekujemy, że my będziemy traktowani poważnie i z szacunkiem (czyli tak, jak w oczywisty sposób powinniśmy być traktowani). Świat nauki to także takie tradycje, a nie tylko czysta praktyka, i między innymi właśnie to czyni go tak pociągającym.

Nowi profesorowie

5 lutego 2025 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Maria Zofia Barłowska** (UŚ), **Marek Tadeusz Bernacki** (UBB), **Krzysztof Buchowski** (UwB), **Piotr Oliński** (UMK)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Jarosław Janusz Arabas** (PW), **Tomasz Jan Gancarz** (IMiM PAN), **Janusz Paweł Gołdasz** (PK), **Jacek Kasperski** (PWr), **Krzysztof Kęćik** (PL), **Agata Barbara Markowska-Szczupak** (ZUT), **Elżbieta Maria Sobiecka** (PŁ), **Adam Piotr Wojciechowski** (PŁ), **Radosław Przemysław Zimroz** (PWr)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Piotr Jerzy Adamowicz** (IES), **Waldemar Andrzej Andrzejewski** (AWFWr), **Anna Maria Badowska-Kozakiewicz** (WUM), **Piotr Paweł Buszman** (KA), **Joanna Aleksandra Didkowska** (NIO), **Barbara Frączek** (AWFKr), **Paweł Gać** (UMWr), **Anna Galicka** (UMB), **Anna Janas-Naze** (UML), **Elżbieta Kamysz** (UG), **Aleksandra Anna Kasperczyk** (SUM), **Veria Khosrawipour** (Petrus-Hospital, Wuppertal, Niemcy), **Janusz Aleksander Konstanty-Kalandyk** (UJ), **Magdalena Marta Lipczyńska** (NIK), **Maria Małgorzata Litwiniuk** (UMP), **Radosław Adam Litwinowicz** (RSS Grudziądz), **Agnieszka Ługowska** (IPiN), **Urszula Mackiewicz** (CMKP), **Piotr Malara** (ZSM Chorzów), **Elżbieta Maria Paszyń-**

ska (UMP), **Anna Maria Raciborska** (IMiD), **Jan Manuel Rodriguez Parkitna** (IF PAN), **Maciej Stanisław Sałaga** (UMŁ), **Rafał Sebastian Sądej** (GUMed), **Szymon Paweł Skoczeń** (UJ), **Barbara Maria Stawińska-Witoszyńska** (UMP), **Marek Janusz Talała** (CMKP), **Piotr Michał Terlecki** (UML), **Małgorzata Anna Wójcik** (UJ)

NAUKI ROLNICZE: **Iłona Czyczyło-Mysza** (IFR PAN), **Bogdan Dubis** (UWM), **Małgorzata Karwowska** (UPL), **Anna Koziarowska** (URz)

NAUKI SPOŁECZNE: **Jacek Chlebny** (UŁ), **Marta Anna Götz** (AFiB Vistula), **Iwona Aneta Niewiadomska** (KUL), **Łukasz Marek Pisarczyk** (UZ), **Karolina Safarzyńska** (UW), **Maciej Serwaniec** (UMK), **Bogumił Szmulik** (UKSW), **Grzegorz Szumski** (UW), **Dorota Maria Weziak-Białowska** (ALK)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Julien Guthmuller** (PG), **Łukasz Kosiński** (UJ), **Róża Kucharczyk** (IBiB PAN), **Katarzyna Magdalena Matczynszyn** (PWr), **Anna Maria Osyczka** (UJ), **Joanna Pietrasik** (PŁ), **Radosław Podsiadły** (PŁ), **Daria Szymanowska** (UPP), **Jan Feliks Zawala** (IKiFP PAN), **Dariusz Adam Zuba** (IES)

NAUKI WETERYNARYJNE: **Paweł Chorbiński** (UPWr), **Radosław Radzki** (UPL)

SZTUKI: **Maciej Aleksandrowicz** (ASPW), **Monika Zuzanna Bachowska** (UAFM), **Józef Zbigniew Kotowicz** (UMFC)

Piotr Kędziora

Od Tinctoris do Spotify ze słuchaniem w tle

Ambient jako muzyka, ambient jako doświadczenie

O muzyce tła wyrażamy się z zasady źle i podobnie zaczęto wyrażać się o niewykwalifikowanym słuchaniu. Zdaje się, że częściej pisano o tym, jak powinniśmy słuchać, a nie o tym, jak faktycznie słuchamy.

Pod koniec 2024 roku fanów muzyki zelektryzowała wiadomość o etycznie wątpliwych praktykach serwisu Spotify ujawnionych przez Liz Pelly, autorkę zapowiedzianej na styczeń 2025 roku książki *Mood Machine: The Rise of Spotify and the Costs of the Perfect Playlist*. Z artykułu w „Harper’s Magazine”, którym autorka zapowiada książkę, dowiadujemy się o projekcie Perfect Fit Content konsolidującym szereg działań i inwestycji Spotify mających na celu zwiększenie zysków spółki technologicznej działającej w domenie muzyki jako dostawca usług streamingowych. Choć doniesienia te wydają się odległe od naszej muzycznej codzienności, to przy głębszym namyśle objawiają wpływ na to, jak zmienia się nasze doświadczenie muzyczne, a więc między innymi to, czego i jak słuchamy.

Spotify i idealne dopasowanie

Czego dotyczy problem, który podjęła w swoim śledztwie Pelly? W roku 2008 Spotify startował jako serwis, który miał być lekiem na piractwo muzyczne i zachęcał subskrybentów hasłem „better than piracy”, nazywając się iTunes’em z dostępem on-demand do świata muzyki. Po okresie prób przekształcania się w sieć społecznościową, a więc od 2012, serwis zaczął zmieniać swój wizerunek, nazywając się dostawcą „muzyki na każdą chwilę”, zaś od roku 2014 poczynił poważne inwestycje w nowe, dodatkowe usługi i funkcje dotyczące personalizacji, tworzenia systemów rekomendacji oraz tworzenia list odtwarzania. Wsparcie ze strony technologii uczenia maszynowego, analizy big data i tworzenia modeli predykcyjnych okazało się jednak niewystarczające i rozszerzono je na nowy obszar. Tu pojawia się wspomniany Perfect Fit Content.

Z wewnętrznych badań Spotify, na które powołuje się Pelly, wynikało, że użytkownicy nie przywiązują wagi do tego, czego słuchają, a raczej ich słuchanie motywowane jest potrzebą uzyskania konkretnego efektu, jaki muzyka ma dawać. W przeważającej większości efektem tym jest pożądany nastrój, stan koncentracji ze wzmocnionym stopieniem uwagi czy wyciszenie, których osiągnięcie wspierać miałyby takie playlisty, jak Chill-

-Out, Music for Learning czy Relaxation. Moc obliczeniowa skierowana została na badania autorskiej muzyki, która w serwisie cieszy się popularnością i skorelowanie jej z badaniami zachowań użytkowników. Krokiem ostatnim stało się tworzenie na bazie tych analiz surogatu muzyki oraz amplifikowanie „rzekomej” popularności zamówionych utworów artystów-widm, by wypełniały playlisty, a tym samym by redukowały koszty niewielkich przecież opłat na rzecz prawdziwych twórców o ustanowionej już reputacji i wielu odtworzeniach. Celem stało się połączenie mechanizmów rekomendacji opartych na playlistach użytkowników z tworzeniem muzyki, która choć jest inna, to bardzo podobna do utworów artystów już na listach obecnych. Muzyką „idealnie dopasowaną” jest muzyka ludzko do popularnych utworów podobna, ale tworzona przez fantomowych artystów na zamówienie. To również muzyka niewymagająca dzielenia się zyskami z subskrypcji, ale jednocześnie w sposób niejawni i planowy „wpychana” na listy rzekomo tworzone na podstawie gustów, preferencji i zachowań słuchaczy.

Muzyka jako tło, muzyka jako sztuka

Ujawniony projekt Perfect Fit Content serwisu Spotify jest ważnym punktem nieuchronnie toczącej się debaty wokół muzyki w erze cyfrowej dystrybucji oraz całokształtu praktyk dostawców usług streamingowych. Jej przebieg ujawnia różne warstwy tego zagadnienia, jak i rozmaite zależności udzielających się w niej stron, ich interesów i jawnych bądź ukrytych intencji. Jednak jej domeną jest nie tylko problem własności intelektualnej, twórczości opartej na AI czy manipulacji uświęconej ekonomicznymi celami. Problem ten odkrywa szereg fundamentalnych pytań dotyczących miejsca muzyki w naszym życiu, sposobów jej doświadczania, jak i pośredników, nadzorców tego doświadczenia, a nade wszystko zmian, jakie dotykają muzykę we współczesnym cyfrowym świecie. W przywołanych przez Pelly wewnętrznych badaniach Spotify wynika, że w przypadku egalitarnego, demokratycznego sposobu słu-

chania trudno mówić o postawie zaangażowanej. To nie jest wyedukowane i skupione słuchanie muzyki, które wywodzić można z postulatów naukowych dziedzin, instytucji i agend muzyki. Jest to raczej słuchanie towarzyszące, rozproszone, bardziej podobne do słyszenia lub quasi-słuchania, za którym nie podąża postulowane w kontekście muzyki przygotowanie słuchowe i merytoryczne.

Nie zapominajmy przy tym, że sama muzyka ewoluowała do statusu autonomicznej praktyki społecznej, między innymi poprzez profesjonalizację połączoną z apoteozą sztuki i wysublimowania umiejętności kompozytorskich i wykonawczych. Coraz „lepsz” i bardziej skomplikowana muzyka, chwyciwszy słuchacza za serce, wywoływała potrzebę jej zgłębiania, wsłuchiwania się i poszukiwania w niej tego, co wyjątkowe, wybitne i niepowtarzalne. Od zawsze jednak była po prostu częścią naszego życia w wielu jego przejawach i dopiero z czasem urosła do rangi stosownej do obudowania jej ceremoniami i świątyniami. Od zawsze też ujawniała swoją wielką moc przekształcania miejsc i momentów, w których była użyta. Czy zatem tworzenie generatywnych playlist z fantomową, „idealnie dopasowaną” muzyką potwierdzałoby renesans nastawienia na swoisty „efekt” muzyczny i odwrócenie się od muzyki tworzonej dla muzyki? Czy może jednak dochodzi tu do przekształcenia naszego doświadczenia muzycznego w nową formę, której źródłem jest współczesna kultura jako całość? W końcu, czy tzw. muzyka tła, rozumiana jako sposób jej doświadczania, jest nie tylko ofertą, ale również odpowiedzią na konkretne zapotrzebowanie? Być może, jednak jest ono inne niż w przypadku funkcji i celów muzyki jako sztuki, jak i funkcji oraz celów muzyki towarzyszącej rytuałom wspólnotowym, ceremoniom dworskim, obrzędom religijnym czy wojskowym musztrami.

Ambient jako kultura słuchania

Polskiemu czytelnikowi przydarzyła się w kontekście powyższych pytań sprzyjająca okoliczność. Opublikowana nakładem Wydawnictwa Naukowego PWN w 2024 roku książka *Ambient. Kultury słuchania i sposoby posługiwania się dźwiękiem* stanowi bowiem kompendium zagadnień teoretycznych oraz odniesień historycznych, zarówno do muzyki, jak i historii wiedzy o muzyce, które osadzają incydent ze Spotify w dużo szerszym kontekście historycznym i kulturowym.

Muzyka ambient, zwyczajowo kojarzona z twórczością Briana Eno, posiada określone, specyficzne dla siebie właściwości muzyczne, rytmiczne, melodyczne i harmoniczne. W oparciu o nie posiada też określone cechy, które można wyrazić poprzez typowy dla tego gatunku sposób, w jaki wpływa ona na poczucie czasu czy przestrzeni, nierzadko nim manipulując. Zdaje się, że w tym aspekcie ambient może uchodzić za flagowy przykład muzyki, która niejako odsuwa od siebie uwagę, by skupić ją na nieoczywistych czasoprzestrzeniach, które wytwarza, lub wytworzyć przestrzeń, którą wypełnią wspomnienia, przemyślenia czy inne aktywności, jak chociażby uczenie się, czytanie czy rozmowa z inną osobą. Ambient posiada też wielu rodziców i choć skojarzenie jej z osobą Briana Eno pada najczęściej, to okazuje się, że brytyjski artysta nie był pierwszym ani jedynym, który zainteresował się możliwościami muzyki, która z zasady nie zajmowała naszej uwagi, nie była w tym nachalna, tylko usuwała się w cień, pozostawiając miejsce na inne aktywności.

Książka proponuje ujęcie ambientu jako jedną z artystycznych form muzyki sytuującej się na granicy uwagi, ale niebędącej tylko tapetą dźwiękową, jak tzw. muzyka do windy. Ponadto ambient to nie tylko specyficzny co do formy i brzmienia repertuar, ale również specyficzne nastawienie do muzyki

i sposób, w jaki wchodzimy w kontakt z muzyką. Z tego powodu praca za cel obiera opracowanie fenomenu muzyki ambient poprzez usytuowanie jej w dwóch kontekstach, a więc w historycznym horyzoncie praktyk artystycznych, które wskazują na powinowactwo z ideą muzyki towarzyszącej, oraz w teoretycznym kontekście ewolucji idei doświadczenia muzycznego, którego ambient jest odzwierciedleniem. Porządkującym modelem łączącym oba konteksty stała się etnomuzykologiczna koncepcja muzyki-kultury Jeffa Todda Titona, a więc perspektywa pozwalająca oddzielić cztery komponenty muzyki: repertuar, społeczny wymiar jej funkcjonowania, kulturę materialną oraz idee dotyczące muzyki. *Ambient* skupia się na ostatnim z nich, choć – zgodnie z założeniem o współdziałaniu tych komponentów – nie sposób pisać o nim w oderwaniu od trzech pozostałych.

Od tafelmusik do Kankyō Ongaku

Historia muzyki wskazuje, że nieraz wracano do idei słuchania muzyki tak, jak paradoksalnie jej nie słuchamy. Ambient nie jest pierwszą koncepcją, która eksploruje ten fenomen, ale na pewno wpłynęła na to, że stał się on bardziej widoczny i znaczący. Jako pewien wariant muzyki tła w istocie kontynuuje poszukiwania o dekady wcześniejsze oraz wpisuje się w pewną tradycję funkcjonalnego myślenia o muzyce, które było obecne w zasadzie od zawsze. Koresponduje to z tym, jakie miejsce muzyka zajmuje w kulturze, a ma w niej określone, strukturalne powinowactwa. W książce znaleźć można omówienia takich praktyk artystycznych, jak najczęściej kojarzona z muzyką tła musique d'ameublement Erika Satie, rzadko podejmowaną w tym kontekście ideę Gebrauchsmusik rozwinętą przez Heinricha Besellera, Paula Hindemitha czy Carla Dahlhausa, koncepcję Muzak-Plus Johna Cage'a sięgającą jednocześnie do źródeł amerykańskiej awangardy czy ruchu Fluxus. Znajdziemy w niej również związaną z ruchem New Age, a powiązaną z Irvingiem Teibelem i rozgłośnią Heart of Space tzw. Environmental Music czy Space Music, oczywiście tytułową Ambient Music Briana Eno i grona innych twórców z nim współpracujących (Robert Fripp, Harold Budd, Jon Hassell), ale również jego wersję japońską, czyli środowiskową muzykę Kankyō Ongaku.

Z drugiej strony, a więc w wariancie komercyjnym, muzykę tła realizowała najpełniej firma Muzak i podobne korporacje, jak chociażby jej japoński odpowiednik znany jako Mainichi. Termin „muzak”, jak doskonale wiemy, utrwalił się jako opisujący pewien typ muzyki towarzyszącej, zwanej też „tapetą dźwiękową”. Poza fascynującą historią napięć pomiędzy liberalną wizją własności przestrzeni wypełnianej muzyką motywującą do pracy lub do zakupów a społecznie zaangażowanym podejściem do uwolnienia świata od dźwiękowej perwersji, muzak i pokrewne praktyki ujawniają również inną, niezwykle interesującą rzecz. Okazuje się bowiem, że w przypadku Briana Eno czy Johna Cage'a to właśnie współtworzony przez muzaka burzliwy ekosystem dźwiękowy współczesności był jednym z głównych powodów ich artystycznych eksploracji tzw. muzyki otoczenia. Nie było inaczej w przypadku Erika Satie, choć wtedy zgiełk, który ten artysta chciał „poprawić”, tworzyli uliczni katoryniarze paryskiej dzielnicy Montmartre, w której dekretowano dopuszczalną ilość grajków. Motorem napędowym rozwoju muzyki tła była potrzeba zastępowania niechcianych dźwięków otoczenia muzyką. Z czasem zastępowania wymagała ona sama, gdy tylko w owo otoczenie wrosła, stając się jego swoistym problemem. Rozwój tej muzyki ujawnia więc jej responsywny, ewoluujący charakter, pokazuje też zmienność gustów i postaw muzycznych, w ramach których taka, a nie inna muzyka może w określonych okolicznościach, miejscu i czasie zafunkcjonować jako muzyka otoczenia.

Ewolucja słuchania i jej naukowe obrazy

Drugim, równie ważnym i interesującym kontekstem rozważań o niej jest ewolucja idei dotyczących muzyki (i jej słuchania) wyrażanych w polu wiedzy o muzyce. *Ambient*, posiłkując się rekonstrukcją teoretycznych prób uchwycenia tego, co w zasadzie oznacza słuchanie na granicy uwagi, rozszerza zagadnienie background music o fundamentalny problem uchwycenia granicy (lub jej historycznych przesunięć) między tym, co muzyczne i nie muzyczne, bo właśnie tam lokuje się ambientowe słuchanie. Przypomnieć warto w tym miejscu, że wraz ze specjalizacją wiedzy podążającą za autonomizacją muzyki jako dziedziny sztuki, słuchanie stało się również „wyspecjalizowane” i też w taki sposób o nim myślano. Ma być odpowiednie do rangi sztuki muzycznej, a tym samym coraz bardziej elitarne i „wykluczające”.

Obraz, jaki wyłania się z części teoretycznej, potwierdza pewną wyczuwalną już intuicję, że o muzyce tła wyrażamy się z zasady źle i podobnie zaczęto wyrażać się o niewykwalifikowanym słuchaniu. Zdaje się, że częściej pisano o tym, jak powinniśmy słuchać, a nie o tym, jak faktycznie słuchamy. A jak już wiemy, historia muzyki jest pełna przykładów tego, że artyści eksplorowali ten efemeryczny aspekt doświadczenia muzycznego czy po prostu komponowali muzykę nie dla

samej muzyki, a do konkretnych celów i sytuacji religijnych czy dworskich, okolicznościowych czy „codziennych”. Oczywiście za różnicami podejść do „słuchania na pograniczu uwagi” czy do muzyki zwanej tafelmusik, elevator music lub easy-listening stoją odmienne, równocześnie ewoluujące epistemologie i systemy wartości. W odniesieniu do nich czym innym jest „muzyka dla” profesjonalnego dyskursu sztuki muzycznej, a czym innym jest „muzyka dla” etnologa, czym innym dla badacza komunikacji, socjologa badającego praktyki życia codziennego lub subkultury czy w końcu dla psychologa badającego uwarunkowania i źródła psychicznego dobrostanu. Ważne okazuje się w związku z tym przyjrzenie się tym różnicom i sprawdzenie, na ile określone dziedziny wiedzy są w stanie wspomóc teoretyczną rekonstrukcję fenomenu muzyki tła w pełnym wolumenie jej wariantów.

W związku z tym konieczne okazuje się odwołanie do takich tradycji, paradygmatów czy dziedzin, jak bazowy dla naszej kultury dualizm myśli pitagorejskiej i arystotelesowskiej, rozmaite przejawy myślenia o muzyce w kontekście efektów, jakich dostarcza, a niekoniecznie zgodności jej ze światem idei, na które trafiamy w średniowieczu, czy też podległość muzyki względem tekstu, jaką znajdujemy w renesansowych dyskusjach o prima practica i secunda practica, później rozwijanych



w debatach na temat autonomii i funkcjonalności muzyki. Oczywistymi źródłami tych rozważań stają się również rodząca się w XIX wieku muzykologia wraz z jej późniejszym, dwudziestowiecznym przewartościowaniem w ramach tzw. nowej muzykologii. Towarzysząca im etnografia muzyczna ewoluująca ku etnomuzykologii oraz w zasadzie wszystkie nauki pomocnicze tych obu, czyli antropologia muzyki, socjologia muzyki, psychologia muzyki z psychoakustyką i neuroestetyką muzyki uzupełniają wolumen koniecznych odwołań. W powojennej humanistyce zagadnienia, o których mowa, pojawiają się jako najnowsze konteksty praktyk muzycznych również w takich polach dziedzinowych, jak cybernetyka, badania nad komunikacją czy medioznawstwo. W ostatnich dekadach XX wieku powstają na ich fundamentach istotne w odniesieniu do ambientu jako muzyki otoczenia oraz do słuchania ambientowego, interdyscyplinarne amalgamaty badawczo-poznawcze, jak sound studies, soundscape studies czy rozwinięcia koncepcji słuchania regresywnego, repetytywnego, nierzadko kontynuujące bazowe pytania muzyczno-filozoficzne orientujące się wokół idei tzw. słuchania niewinnego, naiwnego, idei słuchającego ciała i w końcu wokół tego wymiaru słuchania, który możemy uchwycić w formule tzw. habitusu muzycznego z jego obszernym wolumenem uwarunkowań obiektywnych, w których ta bazowa czynność związana z muzyką, jaką jest jej słuchanie, staje się przedmiotem, ale i narzędziem zależności ekonomicznych, technologicznych oraz politycznych.

Muzyczny towarzysz codzienności

Bez wyjątku każdy z nas słuchał muzyki w sposób tu opisany. Jaka muzyka nam wtedy towarzyszy i czy jej wybór ma związek z potrzebami chwili, w której się znajdujemy? Kiedy wracamy do muzyki, którą dobrze znamy, i czy słuchamy jej, czy wspominamy chwile, które przywołuje w pamięci? Czy to muzyka jest w centrum doświadczeń związanych z konkretnym momentem dnia lub naszego życia, czy towarzyszy ona jedynie czemuś zgoła innemu, potrzebie pobudzenia czy uspokojenia i wyciszenia? Czy gdy towarzyszy intensywnym aktywnościom wewnętrznym, emocjom, nastrojom, wspomnieniom lub wyobraźni, to w ogóle jej słuchamy? Te wszystkie pytania orbitują wokół centrum grawitacyjnego naszej muzyczności, a jest nim badana od wieków zagadka, po co w ogóle nam muzyka. W historii muzyki i myśli muzycznej widać obszary marginalizowania tych pytań, nie będzie jednocześnie przesadą uznanie, że bez gmachu zgromadzonej wiedzy i repertuaru, bez

muzyki zwróconej ku sobie, nieustannie poszukującej własnych granic, nie byłibyśmy w stanie rozważać, w jaki sposób granice te poszerza muzyka otoczenia oraz odpowiednie dla niej słuchanie ambientowe. Choć dużo wiemy o muzyce artystycznej, coraz lepiej rozumiemy muzykę popularną i alternatywną, to muzyka tła do tej pory była badana znacznie mniej dogłębnie. Dla badacza, któremu bliskie są sprawy efektywności nauki i jej wpływu na otaczający nas świat, sprawa Spotify to doskonały przykład opacznie rozumianego transferu wiedzy w obszar biznesu z przystankiem na badania oparte w szczególności na rozwijających się technologiach sztucznej inteligencji. To powinowactwo AI z muzyką ma wiele przejawów, a jednym z nich jest sposób, w jaki „kapitalizuje” się twórczą pracę artystów, ale również aktywność nas, słuchaczy płacących ukryte koszty nieograniczonego dostępu do muzyki.

Pytania o warunki i możliwości muzyki otoczenia przenoszą nas w epoki minione, zaś czasy współczesne podsuwają nam nowe konteksty, w których idea ta powraca. Muzyka służy nam nie tylko do tego, by być blisko jej najznakomitszych przejawów, muzyka po prostu jest z nami, ludźmi, od zawsze i dowodzą tego wszystkie odkrycia z obszaru antropologii i archeologii. Historię archetypowych form ambientu można przy tej okazji potraktować jako przegląd podstawowych sposobów, w jakie muzyka towarzyszy nam w życiu duchowym, prywatnym, społecznym, publicznym, kulturowym i politycznym. Zawsze jednak towarzyszyły tym rozmaitym sposobom wielowątkowe, poznawczo i historycznie skontekstualizowane znaczenia głębsze i rozleglejsze. W książce *Ambient. Kultury słuchania i sposoby posługiwania się dźwiękiem* można odkryć kilka z nich, a okrycia własne dzięki tej książce zainspirować. Incydent ze Spotify, od którego zaczęliśmy, jest również odkryciem nowego sensu kryjącego się w historii muzyki tła, której poświęciłem swoją książkę i do której lektury gorąco zachęcam.

Artykuł oparty na wynikach badań zawartych w monografii: P. Kędziora, *Ambient. Kultury słuchania i sposoby posługiwania się dźwiękiem*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2024.

Dr Piotr Kędziora, adiunkt w Zakładzie Badań nad Kulturą Filmową i Audiowizualną w Instytucie Kulturoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się muzyką elektroniczną, ambientową i eksperymentalną oraz ideą muzyki tła i słuchaniem jako praktyką kulturową.



Zdjęcie: pixabay

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Uczony i reformator oświaty weterynaryjnej

Profesor Jerzy Poluta (1820–1897)

Był profesorem Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej, Charkowskiego Instytutu Weterynaryjnego, lekarzem, wybitnym farmakologiem, jednym z pionierów krajowej farmakologii eksperymentalnej, jednym z czołowych reformatorów Charkowskiej Szkoły Weterynarii, działaczem społecznym, uczestnikiem życia Polonii Charkowa oraz członkiem komitetu budowy kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Charkowie.

Jerzy Poluta urodził się w 1820 r. w Grodnie w rodzinie mieszczanina Antoniego Poluty. W mieście dzieciństwa zdobył wykształcenie średnie. W wieku szesnastu lat wyjechał do Wilna, gdzie studiował farmację na Oddziale Farmaceutycznym Akademii Medyko-Chirurgicznej. W 1839 r., po uzyskaniu dyplomu asystenta aptekarza, udał się do nieznanego Charkowa i został przydzielony do służby państwowej.

Charków w losach Jerzego Poluty

Dla Jerzego Poluty Charków stał się miejscem życia i gniazdem dla dużej rodziny, polem szerokiej działalności społecznej na rzecz jego dobra oraz wspólnoty polskiej. Jego życie zawodowe można podzielić na trzy okresy: lata 1839–1851 to czas intensywnych studiów farmaceutycznych, weterynaryjnych oraz lekarskich w połączeniu z pracą dydaktyczną w Praktycznej Szkole Weterynaryjnej przy Uniwersytecie Charkowskim; lata 1851–1873 – działalność dydaktyczna i naukowa w Charkowskiej Szkole Weterynaryjnej, drugiej po uniwersytecie powstałej w mieście wyższej placówce oświatowej; lata 1873–1882 – działalność dydaktyczna i naukowa w przekształconym Charkowskim Instytucie Weterynaryjnym, do którego powstania dołożył wiele starań i energii.

W 1849 r. Jerzy Poluta ukończył drogę oświatową jako student, uzyskawszy stopień lekarza medycyny i dyplom cum eximia laude (ze szczególnym wyróżnieniem). W wieku 29 lat posiadał potrójne wykształcenie wyższe: jako farmaceuta, weterynarz i lekarz. W momencie przeniesienia na stanowisko adiunkta Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej miał trzy dyplomy ze studiów farmaceutycznych, weterynaryjnych oraz lekarskich.

Praca zawodowa

24 października 1851 r., jak odnotował „Dziennik Ministerstwa Edukacji Narodowej” Imperium Rosyjskiego, młodszy lekarz weterynarii I Oddziału Poluta został mianowany adiunktem w Charkowskiej Szkole Weterynaryjnej. Na uczelni,

która powstała w tym samym roku na bazie Praktycznej Szkoły Weterynaryjnej, Jerzy Poluta został trzecim wykładowcą Polakiem wraz z dyrektorem Napoleonem Halickim i prof. Jerzym Witowiczem.

W 1856 r. Jerzemu Polucie, po obronie pracy *Teoria i mechanizm wymiotów*, na mocy uchwały Rady Naukowej Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej przyznano stopień magistra nauk weterynaryjnych. W 1859 r. został mianowany na stanowisko profesora tej uczelni, a w 1873 r. profesora zwyczajnego Charkowskiego Instytutu Weterynaryjnego.

Poluta został zatrudniony w nowo powstałej Katedrze Fizjologii Zwierząt, którą kierował do 1879 r. Wykładał farmakologię, zoofizjologię i terapię ogólną, podstawy zwierząt, anatomię porównawczą zwierząt, zoohigienę, botanikę i nawet łacinę. Od 1865 r. prowadził kurs hodowli bydła. W tym samym roku z jego inicjatywy do programu nauczania wprowadzono osobny kurs fizjologii porównawczej. Wykłady Poluty były łatwe do zrozumienia, prowadzone w sposób rzetelny i klarowny. W 1882 r. zakończył działalność dydaktyczną, pozostawiając po sobie pamięć wybitnego wykładowcy.

Głównym przedmiotem prowadzonym przez Jerzego Polutę była farmakologia z elementami receptury. Dzięki jego staraniom w 1855 r. w Charkowskiej Szkole Weterynaryjnej założono jedno z pierwszych na terenach Europy Wschodniej laboratoriów farmakologicznych, czym podniesiono jej rolę wśród ówczesnych placówek oświatowych w tej dziedzinie. Polutę uznano za jednego z pierwszych na Ukrainie uczonych w dziedzinie eksperymentalnej farmacji weterynaryjnej, a jego podręcznik *Farmakologia weterynaryjna z terapią ogólną i receptą* (1879) był oceniany jako najlepszy w tej dziedzinie na terenie całego Imperium Rosyjskiego.

Reformator, uczestnik wypraw, delegat

Jerzy Poluta uczestniczył w przekształcaniu Charkowskiej Szkoły Weterynarii w Instytut Weterynaryjny. Miał duże

doświadczenie jako dydaktyk, niejednokrotnie przebywał na europejskich uczelniach weterynaryjnych, znał potrzeby weterynarii praktycznej, będąc od czerwca 1870 r. członkiem Komitetu Weterynaryjnego działającego przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Imperium Rosyjskiego. Opracował wszystkie instrukcje służbowe, zajmował się ułożeniem obowiązków dyrektora, rady naukowej i studentów nowo otwartego Instytutu. 28 maja 1873 r. na podstawie rozkazu imperatora rosyjskiego zostały powołane Instytuty Weterynaryjne w Charkowie i Dorpacie. Poluta brał czynny udział w rozbudowie szkolnictwa weterynaryjnego w innych miastach Rosji. Przy bezpośrednim jego udziale w maju 1873 r. została założona nowa placówka edukacyjna – Kazański Instytut Weterynaryjny. W uznaniu zasług organizacyjnych został wybrany na członka korespondenta tej uczelni. Według profesora weterynarii Wasyla Bażenowa, autora licznych biogramów wybitnych uczonych w dziedzinie weterynarii, Poluta jest uważany za jednego z twórców oświaty weterynaryjnej w skali całego Imperium Rosyjskiego.

Jako ceniony lekarz-praktyk Jerzy Poluta brał udział w różnych inicjowanych przez rząd wyprawach naukowych. W marcu 1863 r. został wysłany w dwumiesięczną delegację do Obwodu Wojska Dońskiego w celu zbadania pasożytów bydła. Za swoją pracę otrzymał wynagrodzenie w wysokości 350 rubli. W 1868 r. tamże badał miejscową roślinność na pastwiskach bydła, ujawniając jej wpływ na przyczyny chorób zakaźnych. W 1873 r. odbył podróż na Kaukaz, gdzie badał zależność roślin na pastwiskach od warunków klimatycznych, ich wpływ na rozwój dżumy bydła. W 1878 r. odbył kolejną ekspedycję na Kaukaz w celu zbadania wartości szaty roślinnej pod względem hodowli bydła, a także w celu ujawnienia powodów szerzenia epidemii bydła.

Jerzy Poluta był uczestnikiem różnych forów międzynarodowych i licznych zagranicznych delegacji naukowych, m.in. na III Międzynarodowy Kongres Weterynaryjny w Zurychu (1867), oraz Wystawę Międzynarodową w Wiedniu (1873) i Paryżu (1878), na której otrzymał brązowy medal za wyniki badań nad rodzajami pasożytów runa owczego oraz prezentował kolekcję owadów. W tym samym roku w Paryżu ukazała się jego broszura. W 1869 r. przybył z wizytą do Warszawy, gdzie na posiedzeniu Towarzystwa Lekarzy Weterynarii wygłosił referat, w którym przedstawił analizę własnych badań nad komórkami nerwowymi. W 1875 r. został delegowany do Moskwy na Wszechrzyjską Wystawę Koni.

Dorobek naukowy

Jedną z pasji Jerzego Poluty była botanika. O tym świadczy taki wymowny fakt: na początku pracy w Charkowskiej Szkole Weterynaryjnej przekazał dla Biblioteki własny zielnik z 1050 gatunkami roślin. Wiedzę botaniczną wykorzystał w publikacjach z zakresu trucizny roślin i powszechnego stosowania roślin leczniczych w farmakologii weterynaryjnej. Było to wynikiem jego licznych wypraw służbowych w celu zbadania flory roślin Imperium Rosyjskiego. Zajmował się też badaniem flory i fauny guberni charkowskiej, w wyniku czego zostały wydrukowane artykuły w roczniku „Kalendarz Charkowski” (1886, 1887). Poluta opisał 211 gatunków roślin dziko rosnących do wykorzystania w leczeniu, 53 gatunki jadalne roślin dziko rosnących, 83 gatunki jadalne roślin uprawnych, 13 gatunków roślin uprawnych wykorzystanych w leczeniu, 70 gatunków roślin dziko rosnących wykorzystanych w leczeniu, 4 gatunki roślin wykorzystanych w celach leczniczych.

Jerzy Poluta zajmował się pracą naukową na szeroką skalę, m.in. badaniami z zakresu farmakologii, fizjologii, epidemiologii, zoologii, botaniki i toksykologii. Badał wpływ strychniny i chloroformu na organizm, toksyczność tetraetylołowiu



Jerzy Poluta. Źródło: Biblioteka Uniwersytecka w Wilnie

i toksyczność roślin. Najwcześniejszym jego dziełem było opublikowane w latach 1852–1854 *Chloroform jako antidotum na strychninę*. Jest autorem ponad 30 prac naukowych, z których w Charkowie ukazały się m.in.: *Flora i fauna słowiańskich jezior mineralnych* (1879), *Notatki o jadalnych i leczniczych roślinach nieuprawnych* (1887), *Leczenie cholery azyjskiej w okresie algidnym [chłodnym]* (1874), *O objawach cholery w okresie algidnym* (1874), *Terapia ogólna okresu algidnego cholery azjatyckiej* (1874), *O leczeniu cholery* (1886). W zakresie medycyny interesował się chirurgią, a także farmakologią, opublikował szereg prac w periodykach naukowych Warszawy, Moskwy i Charkowa.

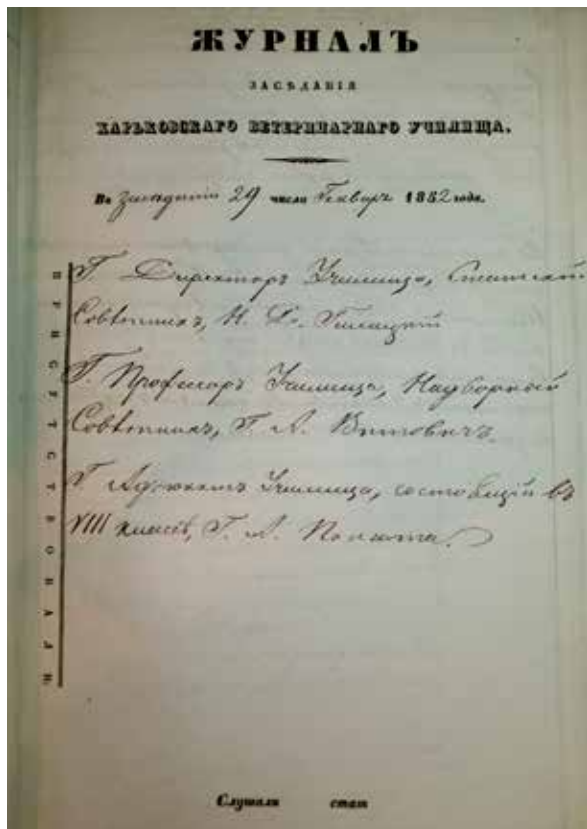
Przez wiele lat Poluta był członkiem szeregu towarzystw naukowych różnych państw. W wrześniu 1850 r. został wybrany na członka-korespondenta Towarzystwa Lekarzy Wilna, w 1867 r. Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego oraz Paryskiego Towarzystwa Botaników. Był też członkiem Charkowskiego Towarzystwa Medycznego i Towarzystwa Weterynarii przy Instytucie Weterynarii w Kazaniu.

Działacz społeczny i polonijny

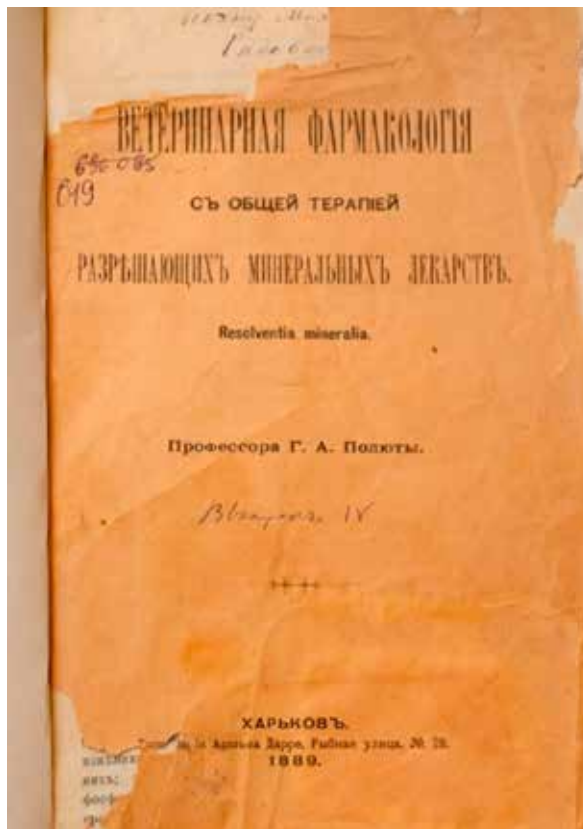
Jerzy Poluta prowadził także szeroką działalność społeczną na rzecz rozwoju Charkowa. Szczególną kartą był jego udział w zwalczaniu dżumy bydła i cholery u ludzi. W okresie epidemii cholery w 1871 r. pracował dobrowolnie jako lekarz w 12. dzielnicy. W 1887 r. był inicjatorem założenia w Charkowie, a później kierownikiem Komitetu ds. Zwalczania Cholery. Pracował też jako ekspert sądowy w zakresie analizy leków pochodzenia mineralnego.

Jerzy Poluta był jednym z szanowanych działaczy miejscowej Polonii, zaangażowanym w powstanie nowej świątyni katolickiej w latach 1887–1891. 23 listopada 1886 r. został wybrany na członka Komitetu ds. Budowy Kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Charkowie.

Przyjaźnił się z polskimi naukowcami weterynarii z Charkowa: Edwardem Ostrowskim i Napoleonem Halickim, a później z Lucjanem Pawłowiczem. Utrzymywał też bliskie kontakty z chemikiem Dmitrijem Mendelejewem, który często opierał się w swoich badaniach na farmakologicznych i chemicznych



Karta z *Dziennika posiedzeń Charkowskiej Szkoły Weterynaryjnej*, na której zostało wymienione nazwisko Jerzego Poluty (22 stycznia 1859 r.), źródło: ze zbiorów Centrum Muzealnego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie



Książka Jerzego Poluty *Farmakologia weterynaryjna...* (Charków, 1889) z dedykacją dla Iwana Sadowskiego, profesora Charkowskiego Instytutu Weterynaryjnego, źródło: ze zbiorów Centrum Muzealnego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie

doświadczeniach uczonego. Współpracował z wieloma uczonymi charkowskimi, pomagał im w pracach, sam mało publikując i nie troszcząc się o to, aby w publikacjach nazwisko jego było wzmiankowane. Jak odnotował Konrad Millak, Poluta był człowiekiem bardzo szerokiej wiedzy, o fenomenalnej pamięci, władającym licznymi językami, dziwakiem i oryginałem. Bezinteresownie pomagał wielu swoim uczniom w prowadzeniu badań naukowych.

W oczach przyjaciół i w rodzinie

Cenną informację o Polucie pozostawił jego przyjaciel Edward Ostrowski. W artykule *Mittheilungen über die Kaiserlich Russische Tierarzneischule in Charkow. Vom Professor Ostrowski daselbst* (*Magazin für die gesammte Thierheilkunde*, Berlin 1856) z wielkim szacunkiem napisał: „Przed otrzymaniem dyplomu lekarza weterynarii adiunkt Poluta posiadał już



Widok gmachu Charkowskiego Instytutu Weterynaryjnego. Źródło: Centrum Muzealnego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie



Budynek, w którym mieszkała rodzina Jerzego Poluty przy ul. Miszczarskiej 17 (obecnie – Gromadianska 25).

stopień doktora i magistra farmacji. Szczególnie kochał botanikę i inne nauki przyrodnicze; odbył podróże naukowe na Krym i w inne regiony Rosji, i dał nam wiele świadectw o swojej rozległej wiedzy i owocnej pracy w dziedzinie farmakologii i fizjologii. Jego poglądy na temat konieczności nowej klasyfikacji leków i zaprojektowania takiej klasyfikacji opartej na fizjologicznym działaniu leków, jego poglądy na temat działania niektórych leków, jego naukowe wyjaśnienie przyczyny wymiotów na podstawie własnych eksperymentów stanowią temat interesującego traktatu, który niewątpliwie zostanie doceniony przez naszych świadomych uczonych”.

Krótką nota biograficzna Poluty ułożona przez Ostrowskiego została umieszczona w *Leksykonie biograficzno-literackim lekarzy weterynarii wszystkich czasów i krajów: a także przyrodników, lekarzy, rolników, koniuszch itp., którzy wnieśli wybitny wkład w medycynę zwierząt* Georga Wilhelma Schradera, opublikowanego w 1863 r. w Stuttgarcie. W bezprecedensowym w XIX w. wydawnictwie biograficznym Jerzy Poluta znalazł się w gronie wybitnych lekarzy wszystkich czasów.

Z małżonką Teofilą Albertą mieli sześcioro dzieci: Helenę Marię (1855), Antoniego Józefa (1857), matematyka w Odessie, Stanisława Jerzego (1858), sędziego i adwokata w Sankt-Petersburgu, Jadwigę Teofilę (1861), Jerzego Bronisława (1862), lekarza na Krymie; Stefana Adama (1870), inżyniera-mechanika w Grodnie. W Charkowie w różnych okresach rodzina mieszkała pod adresami: Miszczańska 17 (obecnie Gromadianska 25), ul. Sumska 3 (po reorganizacji numeracji – ul. Sumska 36). W latach 1870–1871 Jerzy Poluta zbudował dla rodziny dwa piętrowe budynki (niezachowane) przy centralnej ulicy w Charkowie – ul. Sumskiej 40, w pobliżu Instytutu Weterynaryjnego, oraz przy ul. Sumskiej 37.

Należy dodać, że przez kilka lat mieszkał z rodziną Polutów przeniesiony z Warszawy do Instytutu Weterynaryjnego rodak Marcjjan Żórawski wraz z żoną i urodzonymi w Charkowie dwoma synami.

Jerzy Poluta zmarł w Charkowie 15 kwietnia 1897 r. Podczas ceremonii pożegnalnej koledzy wspominali trudną drogę życiową uczonego. Jak pisano w ówczesnej prasie: „Jego przyjaciół profesor Lucjan Pawłowicz doskonale nakreślił jasny moralny portret zmarłego, którego życie od wczesnego samotnego dzieciństwa do starości upływało w pracy i szlachetnych dążeniach do wiedzy. Musiał stopniowo wspiąć się ze stopnia na stopień po drabinie wiedzy, ale dzięki energii i cierpliwości pokonał wszelkie przeszkody” („Jużnyj Kraj”, 1897, 19 kwietnia).

Konsultacja językowa dr Marcin Lutomierski

Prof. dr hab. Lubow Żwanko, kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchołóstwa i wojny światowej, historii Ukrainy Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało, profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.



Były gmach Imperatorskiej Wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej (pierwotnie pałac hrabiów Chodkiewiczów), wrzesień 2023 r.

Marcelina Smużewska

Jadwiga Staniszkis – życie w rekonstrukcji

Starła się nie przekraczać doradczej roli i nie „wchodzić w buty” robotników, którzy jej zdaniem byli prawdziwymi aktorami tego spektaklu. Uważała, że Geremek i Mazowiecki nieco tę granicę przekraczali. Sama postulowała, żeby wszystkie ustalenia były prezentowane robotnikom i żeby to oni mogli je demokratycznie przegłosować. Tak się to jednak nie odbywało. Samą „Solidarność” oceniała sceptycznie, jako mało zorganizowany ruch, podlegający łatwo manipulacjom i nieposiadający w sobie znaczącego potencjału rewolucyjnego.

Znana z licznych wystąpień medialnych i konsekwentnego upodobania do czerwonej szminki, Jadwiga Staniszkis nie chciała nigdy patrzeć na swoje życie z perspektywy chronologicznej. Uważała, że nic jej nie łączy z poprzednimi wersjami siebie. „To, co uważam za istotę własnej tożsamości, czyli ciągłość metody pozwalającej na wewnętrzną ultrastabilność, kruchą równowagę możliwą tylko dzięki ciągłym przekształceniom, odbywa się bowiem w znacznym stopniu poza kontrolą świadomości. Nie wyklucza to oczywiście elementów automanipulacji. To trochę jak aktywność złożonej maszyny, inteligentnego robota, którego konstrukcji i zasad funkcjonowania sama nie do końca rozumiem. Tym bardziej że przebudowa owej konstrukcji opartej na czterech filarach – intelektu, fizyczności, emocji i duchowości (tak określam ludzką zdolność wiary wbrew rozumowi i działaniu wbrew własnym interesom, wbrew instynktowi i emocjom) – zachodzi w sposób nieliniowy” (J.S. Ja. *Próba rekonstrukcji*. Warszawa: Prószyński i S-ka, s. 9.). Była przekonana o własnej sprawczości niemal w każdej sytuacji. Nie da się jednak zaprzeczyć, że to historyczne zbiegi okoliczności (Marzec '68, powstanie Solidarności, kolejne podróże i wybory w wolnej Polsce) w znacznej mierze wpłynęły na jej życiorys.

Rodzina

Jadwiga Maria Staniszkis przyszła na świat 26 kwietnia 1942 roku w Warszawie. Matką była Maria Staniszkis z domu Rzętkowska (1911–2004) – adwokat, radca prawny, członkini Obozu Narodowo-Radykalnego. Ojcem socjolożki był Witold Wincenty Staniszkis (1908–2008) – inżynier hydrotechnik, pracownik naukowy, także związany ze środowiskiem endeckim. Jadwiga miała dwóch braci i siostrę. Bezpośrednio po wojnie rodzina Staniszkisów mieszkała w Gdańsku, gdzie ojciec zatrudnił się w Biurze Odbudowy Portów. W 1948 roku trafił do więzienia, gdzie odbył kilkuletni wyrok za działalność przedwojenną. Dla młodej Jadwigi było to traumatyczne doświadczenie.

Nikt dzieciom niczego nie tłumaczył. Zapewne dlatego, żeby nie powiedziały czegoś w szkole, co mogłoby mieć konsekwencje dla rodziny. Gdy zabrakło ojca, dzieci trafiły do Łodzi do domu stryja. Nie pozostały tam jednak długo, gdyż i ten został aresztowany. Na dłużej rodzina Staniszkisów przeprowadziła się do Poznania. Matka Jadwigi była nękana przez służby i zastraszana, ale nie trafiała do więzienia.

Już od najmłodszych lat Jadwiga była zdolną uczennicą. Jednak jako córka więźnia politycznego przez szkołę traktowana była nieufnie. Nie chciano jej w żadnej z młodzieżowych organizacji socjalistycznych. Dopiero w okolicach 1956 roku zaczęła zdawać sobie sprawę z natury systemu komunistycznego i jej potrzeba przynależności znacznie zmalała. Wraz z bratem obserwowała wydarzenia w Poznaniu. O nastawieniu ideologicznym rodziców powiedziała, że ich „późnoendecki sposób przeżywania świata był: zdroworozsądkowy, taki bezpośrednio dotykający materii życia, powiedzmy, co należy zrobić w danej sytuacji. Unikający rekonstrukcji typu teoretycznego, intelektualnego, ideologicznego...” (Cezary Michalski. 2010. *Życie umysłowe i uczuciowe*. Warszawa: Wydawnictwo Czerwone i Czarne, s. 19). Jadwiga natomiast myślała pojęciami, dostrzegała podobieństwo form, struktur i procesów. Zawsze trudno było jej się porozumieć z rodzicami. Zresztą z ludźmi w ogóle też. Przyszła socjolożka mówiła o sobie, że ma autyzm, który umożliwia jej oddzielenie się od własnych emocji i dokonywanie pogłębionych obserwacji ludzkich zachowań.

Edukacja

Na poziomie średnim Jadwiga Staniszkis uczyła się w surowej instytucji prowadzonej przez zakonnice. Na miejsce studiów wybrała więc Warszawę, po to by nie wracać do domu rodzinnego. Jak sama przyznawała, przeszkadzał jej tam swoisty brak luzu. W 1965 roku uzyskała magisterium w Sekcji Socjologicznej Wydziału Filozoficznego UW. Jej nauczycielami byli Stanisław i Maria Ossowsky (1897–1963, 1896–1974), Zygmunt Bau-

man (1925–2017), Maria Hirszwicz (1925–2007) oraz Julian Hochfeld (1911–1966), którego szczególnie ceniła, chociażby za to, że potrafił się przyznać, że się pomylił co do natury komunizmu nad Wisłą. Zaledwie w wieku osiemnastu lat Staniszkis opublikowała swój pierwszy tekst naukowy pt. *Spór o istnienie elit władzy między Millsem a Dahlem*. Artykuł ukazał się w „Studiach Socjologiczno-Politycznych”. W tym okresie swojego życia spędzała najwięcej czasu ze starszymi kolegami, np. z Jakubem Karpińskim (1940–2003) i Markiem Lewickim, który później został jej mężem. Jadwiga Staniszkis była trzecim rocznikiem reaktywowanej warszawskiej socjologii.

Wydarzenia marcowe

Okres tuż przed Marcem '68 był w pewnym sensie przełomowy dla Jadwigi Staniszkis. Po pierwsze, rozpadło się jej małżeństwo. Została samotną matką małej Joanny. Po drugie, dostała się na staż na socjologię i zaczęła myśleć o przygotowaniu pracy doktorskiej. Po trzecie, zaczęła wyróżniać się w życiu politycznym uczelni, choć nigdzie formalnie nie przynależała. Nie utożsamiała się z grupą „komandosów”. Uważała zresztą ich rozumowanie za dość naiwne i uproszczone. Zdawała sobie sprawę z tego, że studenci nie porwą za sobą całego społeczeństwa. Wzięła jednak udział w strajku 8 marca. Była nawet w grupie negocjacyjnej wysłanej do władz uczelni i z balkonu Pałacu Kazimierzowskiego namawiała studentów do rozejścia się, czego bardzo żałowała. Za to została aresztowana na siedem miesięcy. Straciła też pracę na uczelni, podobnie jak Maria Hirszwicz, jej szefowa. Zdaniem Staniszkis, spirala prześladowań całkiem wymknęła się spod kontroli. Nie chodziło już o usunięcie kilku rozpolitykowanych studentów, ale głębsze czystki, do których wykorzystano także kryterium etniczne. Razem z Jakubem Karpińskim i Andrzejem Mencwelem (ur. 1940) napisała „Deklarację Ruchu Studenckiego”, w której domagano się utworzenia autonomicznej organizacji studenckiej, rzetelnej informacji o sytuacji ekonomicznej kraju oraz przestrzegania prawa.

Jadwiga Staniszkis trafiła na dłużej do więzienia w czerwcu 1968 roku. Rzekomo ze względu na nawiązane kontakty międzynarodowe. Sama wspominała o romansie z pewnym Czechem. Być osadzoną było trudno, zwłaszcza że grożono jej odebraniem córki. Była jednym z najdłużej więzionych uczestników Marca, obok Aleksandra Smolara (ur. 1940 r.). Sami funkcjonariusze ponoć powiedzieli jej, że siedzi na zasadzie reprezentatywności, bo miała dziadka (i przecież też ojca) endeka, a samych Żydów zamykać nie mogą (Michalski 2010, s. 96). Po wielu latach okazało się, że jest na liście Wildsteina jako kandydatka na TW, co bardziej ją dotknęło niż sam fakt skazania. Uznała, że agenci znaleźli w niej jakąś „skazę”, pewien potencjał do złamania i to ją smuciło.

Zatrzymana kariera?

Po wyjściu z więzienia Staniszkis miała trudności w znalezieniu pracy. Rękę wyciągnął do niej wtedy znajomy dziadka, prof. Bogusław Kozusznik (1910–1996). Socjolożka prowadziła zajęcia w studium doskonalenia zawodowego lekarzy i pielęgniarek na warszawskich Bielanach. Potem dochodziły kolejne miejsca, m.in. liceum dla pielęgniarek. Zimą 1971 roku Staniszkis obroniła doktorat pt. *Patologie struktur organizacyjnych: próba podejścia systemowego*. Jak wspominała, na samą obronę przyszły tłumy. Na tym wydarzeniu pojawił się też Ireneusz Iredyński (1939–1985), pisarz i ówczesny partner socjolożki.

W 1976 roku za opublikowaną pracę doktorską dostała nagrodę im. Ossowskiego. Pojawiła się też możliwość wyjazdu na stypendium do Stanów Zjednoczonych, które zaproponował prof. Stefan Nowak (1924–1989). Sponsorem było American Council of Learners' Society. Mimo wielu prac i zajęć Staniszkis pojechała tam z gotową do druku książką. Do pracy na UW wróciła dopiero w 1981 roku po kolejnym stypendium w Stanach, tym razem w ramach programu „Future Leaders”. Książka, która miała ukazać się w Ameryce, musiała zostać zmieniona, bo powstała „Solidarność”. Ostatecznie nosiła tytuł *Poland's Self-Limiting Revolution* (1984). Co ciekawe, w swoim



Źródło: foto.karta.org.pl Fot. Zbigniew Trybek

Strajk w Stoczni Gdańskiej, sierpień 1981. Jadwiga Staniszkis wraz z Tadeuszem Mazowieckim, Waldemarem Kuczyński, Lechem Wałęsą i Anną Walentynowicz (tyłem)

dorobku Staniszkis ma także tekst, który ukazał się wyłącznie w języku japońskim (tłumaczony z angielskiego manuskryptu: *The dialectics of socialist society: Polish case* z 1981 roku). Zresztą Japończycy cenili ją jako komentatorkę życia społecznego i zapraszali do siebie na dłuższe i krótsze pobyty. W 1983 roku Jadwiga Staniszkis uzyskała stopień doktora habilitowanego nauk humanistycznych w dziedzinie socjologii. Na profesurę musiała poczekać do zmiany. Nominacja przyszła w 1991 roku.

W najlepszej sukience

W sierpniu 1980 roku na zaproszenie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku przybyła do stoczni. Przyjechała w swojej najelegantszej sukience i wysokich obcasach. Była członkinią Komisji Ekspertów MKS. Nie miała w sobie zbyt dużego entuzjazmu do zmian, ale była przekonana, że trzeba to zobaczyć, zwłaszcza że pisała akurat o tym książkę. Starła się nie przekraczać swojej doradczej roli i nie „wchodzić w buty” robotników, którzy jej zdaniem byli prawdziwymi aktorami tego spektaklu. Uważała, że Geremek i Mazowiecki nieco tę granicę przekraczali. Sama postulowała, żeby wszystkie ustalenia były prezentowane robotnikom i żeby to oni mogli je demokratycznie przegłosować. Tak się to jednak nie odbywało. O Wałęsie mówiła, że był sprytny, wyczuwał nastroje ludzi i nie patrzył przez ideologiczne okulary. Samą Solidarność oceniała sceptycznie, jako ruch mało zorganizowany, podlegający łatwo manipulacjom i nieposiadający w sobie znaczącego potencjału rewolucyjnego. Obawiała się, że strajkujący zostaną ukarani tak samo jak studenci w Marcu. Za obecność w stoczni Staniszkis straciła pracę w Centrum Doskonalenia Kadr Kierowniczych. Jednak po zawarciu Porozumień Sierpniowych nadal wspierała robotników i pisała w prasie podziemnej. Podczas stanu wojennego jeździła z wykładami w ramach Wszechnicy Solidarności (Michalski 2010, s. 139–170).

Ciągle w ruchu

W 1982 roku Staniszkis podupała na zdrowiu. Miała problemy z krążeniem i doszło do martwicy nerwu wzrokowego w jednym oku. W drugiej połowie lat 80. zdiagnozowano u niej nowotwór, który leczą w Stanach. Mimo to pracowała. W 1987 roku skończyła pisać *Ontologię socjalizmu*. Oprócz pracy na UW, prowadziła także zajęcia w Wyższej Szkole Biznesu – National-Louis University w Nowym Sączu, była związana z Instytutem Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, zasiadała w Komitecie Socjologii PAN. Wyjeżdżała z wykładami na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles, Uniwersytet Harvarda, Uniwersytet Michigan, a także do Chin, Japonii i na Tajwan. Była też stypendystką Wilson Centre w Waszyngtonie. Nie zawsze jej wykłady były przyjmowane z zachwytem. Często po nich odbywała się burzliwa dyskusja. Pod koniec lat 80. zaczęła rozważać pozostanie na emigracji na stałe. W ojczyźnie widziała „coraz bardziej fałszywą sytuację, grę, która odbywa się w jakichś zupełnie fałszywych językach czy przebraniach” (Michalski 2010: 186).

Więcej prac socjolożki w języku ojczystym zaczęło się ukazywać po okresie transformacji. Warto wspomnieć o książkach *Postkomunistyczne państwo: w poszukiwaniu tożsamości* (2001), *Postkomunizm: próba opisu* (2001), *Władza globalizacji* (2003), *O władzy i bezsilności* (2006). Była także aktywną felietonistką. Jej teksty ukazywały się w tygodnikach „Wprost”, „Ozon”, „W Sieci”, często występowała w telewizji. Znała osobiście większość ówczesnych aktywnych polityków, co paradoksal-



Zdjęcie: UW

nie nie pomogło jej w pracy naukowej. Staniszkis wspominała o blokadzie na publikację, która pojawiła się w ostatnich latach życia, pomimo otrzymania nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w 2004 roku i odznaczenia w postaci Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski (2006).

„Takość”

Doświadczenie podobieństwa i różnicy w zestawieniu z dziełami literatury dawały zdaniem Staniszkis dobre okazje do zrozumienia, kim się naprawdę jest. Nawiązując do kultury azjatyckiej, używała tu określenia „takość”. Doświadczenie własnego „ja” może być efektem oddziaływania obiektu kulturowego. Przedmiot ma władzę, gdy pozwala nam sobie uświadomić własne „ja”.

Z tytułowym Lordem Jimem z powieści Conrada podzielała doświadczenie dialektyki winy i niewinności. Czasem o niewłaściwym (w ocenie społecznej) zachowaniu może zadecydować przypadkowy impuls. Lord Jim jako oficer opuścił statek, który – wydawało mu się – był stracony, zostawiając na nim ośmiuset pasażerów. Socjolożka swoje podobieństwo do Lorda Jima widziała w karaniu siebie. Może gdzieś w jakimś momencie historii zachowała się niewłaściwie, skoro znalazła się na osławionej liście Wildsteina. Powstała u niej też niechęć do tych, którzy byli głęboko zanurzeni w komunizm, a dosyć łatwo sobie wybaczyli i dziś przyjmują rolę sędziów moralności. Podobnie jak w powieści, jedynie tytułowy bohater stawia się na proces, a reszta załogi unika odpowiedzialności. Tak samo w realnym życiu: wielu byłych zwolenników czy beneficjentów komunizmu nie zapłaciło żadnej ceny.

Inną literacką inspiracją prof. Staniszkis był Yukio Mishima (1925–1970), japoński powieściopisarz, poeta i dramaturg. Mishima uważał, że uczucia nie istnieją. Szczególnie widać to w jego sztuce *Madame de Sade* (1965), w której tytułowa bohaterka zawsze zachowywała spokój mimo trudnych sytuacji. Zdaniem Mishimy uczucia są efektem realizowania cudzych oczekiwań, więc gdy się ich wyzbędziemy, tak naprawdę stajemy się wolni. Zbliżamy się do własnej „takości”, czyli tego, kim

jestemy przede wszystkim w aspekcie formy, w której utrzymaniu pomaga rytuał. To odniesienie literackie mówi sporo o tym, jak Jadwiga Staniszkis postrzegała własne i cudze emocje. Były dla niej czasem czymś zbędnym, co utrudniało rozeznanie w sytuacji.

Kolejnym literackim pokrewieństwem była książka Malcolm Lowry'ego *Ultramarina*. Dotyczyła ona zjawiska „buntu za przyzwoleniem”. Młody człowiek wbrew woli rodziców ucieka na statek, gdzie dobrze sobie radzi, a potem okazuje się, że ojciec z dystansu cały czas pilotował jego karierę i chronił go. Dla socjolożki wydarzenia z Marca '68 były przykładem takiej sytuacji. Studenci zostali wykorzystani jak marionetki w ramach poważniejszej gry frakcyjnej i pokoleniowej w aparacie władzy. Stąd też u Staniszkis ciągnęła obawa przed manipulacją, doszukiwanie się „drugiego dna”, lęk przed odpowiedzialnością za innych.

Do swoich kolejnych literackich inspiracji zaliczyła też *Dzienniki Zofii Nałkowskiej* i *W drodze* Jacka Kerouaka. Z Nałkowską podzielała zdolność do przetrwania, żywotność oraz niechęć do starzenia się; z amerykańskim pisarzem – pasję do podróżowania jako wartość samą w sobie. Jadwiga Staniszkis kochała pociągi i autobusy. Lubiła w nich spędzać godziny, patrząc na zmieniający się krajobraz za oknem, czytać w nich, pracować. Posiadała kilka różnych kryjówek, nawet w odległych zakątkach Polski, do których robiła spontaniczne wycieczki. Jak sama wspominała, lubiła się czuć jak „paczka w drodze” (J.S. 2008, s. 31).

Mobilność i nauka

Staniszkis pisała, że najlepiej pamięta podróże, które dopiero planuje. Potrzebny jest wtedy konkret, liniowość, natomiast retrospektywa jest zawodna. Powrót w miejsca, w których się już było, uświadamia nam, jak bardzo się zmieniliśmy. Można się także dzięki nim dowiedzieć, jak wiele jest punktów widzenia na różne sprawy. Na przykład w kulturze japońskiej czeka się, aż rzeczywistość da się poznać sama, nie robi się wyprzedzających uogólnień (J.S. 2008, s. 81). W podróży można też dostrzec, jak poszczególne kultury manipulują przestrzenią na swoje potrzeby, żeby uzyskać chociażby wrażenie potęgi i siły. Wyjazdy były dla Jadwigi Staniszkis inspirujące na polu naukowym. Spowodowały, że przeniosła swój fokus z zagadnień krajowych na unijne. Zwróciła uwagę, że w Europie mieliśmy do czynienia z przejściem od klasycznej teorii konfliktu w stronę „liberalizmu międzyproceduralnego” – sytuacji, w której współobecność i prawomocność różnych procedur wymagała poszukiwania konsensusu na drodze negocjacji. Tak działała zdaniem socjolożki Unia w pierwszej dekadzie XXI wieku (J.S. 2008, s. 89). Sądzę, że jest to nadal aktualna diagnoza. Ważniejsze od rozumienia świata jest obserwowanie jego procesu stawania się.

W uprawianiu nauki najciekawszy jest etap wstępny, kiedy ma się jeszcze nadzieję niezderzoną z rzeczywistością, gdy wydaje się, że można dany problem naukowy rozwiązać. Niekiedy pisanie prac naukowych miało dla Staniszkis wymiar osobisty. Było sposobem na życie. Na przykład *Ontologia socjalizmu* była autorskim rewanżem na komunistycznej władzy. Sposób prowadzenia analiz przez socjolożkę był dosyć abstrakcyjny. Pisała, że bierze się to poniekąd z jej deficytów neuronalnych, życia w spektrum autyzmu, osobistej odporności na stereotypy, umiejętności dostrzegania wewnętrznych i zewnętrznych ograniczeń oraz logiki form. Jednocześnie Staniszkis miała świadomość swojej nietrafności: (...) „piszę o czymś albo zbyt wcześnie, bo dla innych to nie jest – jeszcze – ważnym problemem, albo zbyt hermetycznie” (J.S. 2008, s. 111). Przyznała także w jednym z wywiadów, że niezależnie od tego, jaki jest temat aktualnej rozmowy, „problem medialny”, zawsze i tak nawiązuje do

tego, nad czym aktualnie pracuje. Te myśli są zbyt absorbujące i wymagające uwagi, by ich nie konfrontować ze światem. Choć bywa to trudnym doświadczeniem.

We wspomnieniach zapisała pewne spostrzeżenia o emocjach, które wydają mi się istotne dla zrozumienia charakteru prof. Staniszkis. Nade wszystko ceniła sobie refleksyjność i adekwatność do sytuacji. Trzeba posiadać odpowiedni kapitał kulturowy, żeby mądrze rezonować ze światem. „Zawsze drażniły mnie dwie rzeczy: brutalność wobec słabszych i bezpośredniość przeżywania świata pozbawiona elementów samoobserwacji, gry, symbolicznych odniesień czy wycucia formy i jej ograniczeń. Choć bowiem sama rzadko uczestniczę w emocjach towarzyszących wytwarzanej społecznie «intersubiektywności», pasjami lubię ją rekonstruować na poziomie pojęciowym, poszukując wewnętrznej racjonalności, związków przyczynowych i myślowych pułapek” (J.S. 2008, s. 182).

Domy, ulubione przedmioty, zwierzęta

W latach 90. Jadwiga Staniszkis wyszła za mąż po raz drugi za Michała Korca, który nauczył ją doceniać nowe początki, przybliżył Azję, żydowskość oraz doświadczenie bycia emigrantem. Jak pisała, było to idealne małżeństwo na drugą połowę życia, bo nikt nikogo nie chciał zmieniać (J.S. 2008, s. 187). Ich główną siedzibą był dom w Podkowie Leśnej, do którego byli bardzo przywiązani. Pani Profesor była też babcią trójki wnuków. Zawsze w miejscu zamieszkania było kilka psów (ale nigdy więcej niż cztery) i kotów, takich znalezionych, przygarniętych, chorych lub problematycznych. Czasami mogło się wydawać, że socjolożka miała więcej serdeczności dla zwierząt niż dla ludzi.

Na terenie Polski miała wiele kryjówek, które wynajdowała z ogłoszeń: małe mieszkanka, szalasy, domki w górach, nad morzem, nad jeziorami. W tych miejscach otaczała się przedmiotami, które miały dla niej znaczenie i do nich wpadała u kresu spontanicznych wycieczek. W autobiografii wspomina o chińskiej lampie z brązu w kształcie konia, o XVII-wiecznej figurce św. Sebastiana, portrecie *Pani z czerwoną szminką* Witkacego, meblach udających śląski barok, mazurskiej skrzyni z obrazem nieba, plakacie Jamesa Deana czy starej lalce z Chin. Te przedmioty stanowiły pamiątki z podróży, ale często były też kupione ze względu na to, że bohaterkę zachwycała niezwykła forma, nieco zbyt groteskowa, przerysowana, nieadekwatna do „istoty” przedmiotu. Do rzeczy, które były na pozór zwykłe, ale jednocześnie w jakiś sposób inne, najbardziej się przywiązywała.

Koniec drogi

Podsumowując swój życiorys, Jadwiga Staniszkis napisała, że w sumie czuje się szczęśliwa. Jednak w wielu jej przemyśleniach widoczne było rozczarowanie. Wynikało ono być może z tego, że autorka miała poczucie zmarnowanego czasu i energii na walkę z komunizmem, której nie dało się wygrać. Gdyby mogła cofnąć czas, chciałaby uczyć się więcej filozofii, matematyki, języków obcych i starać się dokonać czegoś naprawdę znaczącego (J.S. 2008, s. 222). Z wiekiem czuła też coraz większe rozczarowanie socjologią i jej naiwną wizją socjalizacji, choć na emeryturę przeszła dopiero wiosną 2008 roku. Była też wtedy pełna entuzjazmu do podróży, które były przed nią. Tak jak pisałam, te ułożone w przyszłości były dla niej najbardziej atrakcyjne.

Jadwiga Staniszkis przestała występować w mediach w okolicach 2021 roku. W ostatnich latach życia zmagiała się z chorobą Alzheimera. Zmarła 15 kwietnia 2024 roku. Na miejsce wiecznego spoczynku wybrano ukochaną przez socjolożkę Podkowie Leśną.

Tylko prawda jest ciekawa



W humanistyce trafia się czasem przekonanie, że książka literaturoznawcza napisana „po bożemu” – czyli np. zbierająca w całość najważniejsze informacje o konkretnej postaci czy zagadnieniu – nie może być naprawdę ani ciekawa, ani odkrywca. Zrozumiałem, że tak nie jest, już na pierwszym roku studiów polonistycznych, gdy spędziłem fascynujący weekend na lekturze... podręcznika do historii literatury średniowiecznej. Aleksandra Ziółkowska-Boehm pokazuje, że przypominanie tego, co już wiadomo, potrafi być równie i ciekawe, i istotne,

jak badanie nowych (lub starych) zagadnień za pomocą nowych narzędzi teoretycznych.

Dlaczego istotne? Melchior Wańkowicz właściwie jednoosobowo ukształtował polską szkołę reportażu, do silnej inspiracji jego twórczością przyznawali się wszyscy jej istotni przedstawiciele z czasów PRL, z Ryszardem Kapuścińskim na czele. Reportaż jako gatunek pisarski w jego ujęciu łączył dwie cechy: próbę oddania prawdy (zarówno na poziomie faktograficznym, jak i głębszej istoty danego problemu) z książkowymi rozmiarami, co pozwalało ująć daną tematykę bardziej całościowo. Fragmentaryzacja obrazu świata w mediach nie jest wynikiem pojawienia się ani telewizji, ani internetu, była charakterystyczna już dla masowej prasy w czasach młodości Wańkowicza. Przypomnienie jego dorobku pozwala przypomnieć także, że rozumienie wymaga czegoś więcej niż obecność na miejscu zdarzenia, a nawet pojedynczy epizod niekoniecznie da się ująć w lapidarnym tweecie. Jest to szczególnie widoczne, gdy autorka opisuje dokładność wykazaną przez Wańkowicza podczas pisania jego monumentalnego dzieła o bitwie pod Monte Cassino, mimo iż oddał nim chwałę polskim bohaterom, fact-checkingu informacji podawanych przez jego rozmówców mogłoby się od niego uczyć wielu współczesnych reportażystów, nie mówiąc już o dziennikarzach i publicystach. Jednym z powodów, dla których długo planowana przez tego autora książka o Wołyniu nigdy nie powstała – poza kwestiami organizacyjnymi i finansowymi – była właśnie ambicja, by zachować wierność faktom, a nie głównie przedstawić własne opinie (i to mimo iż problematykę tę Wańkowicz znał jak niewielu innych).

Syntetyczne ujęcie Ziółkowskiej-Boehm pozwala autentycznie zainteresować się dorobkiem Wańkowicza, którego znajomość wydaje się mimo wszystko nawet wśród naprawdę czytanej publiczności dość fragmentaryczna. Dzięki takim zestawieniom jak opisywane czytelnik może podjąć – użyję tu anglojęzycznego pojęcia – *informed decision*, co jeszcze mogłoby go zainteresować. Książka zawiera także kompletne zestawienie dzieł Wańkowicza, szczegółowe kalendarium jego życia i wyimki z wybranych tekstów, odbiorca ma zatem pełny kontekst dostarczony przez specjalistkę. Autorka wie, że wybitny pisarz obroni się sam, a świadomego czytelnika nie trzeba prowadzić za rękę, sam będzie wiedział, co może być ciekawe. Szczególnie cenne wydaje mi się wskazanie na to, jak Wańkowicz pisał o polskości obecnej poza przedwojenną i powojenną Polską: o emigracji Polaków do Kanady i USA, o Polakach w Prusach Wschodnich, o sybirakach. Widział w polskości ogromną wartość, ale nawet gdy pisał o prześladowaniach, nie było w tym nigdy resentymentu, pielęgnowania pragnienia odwetu czy poczucia moralnej wyższości cierpiących. Nie musiał nawet nazywać zbrodni i niesprawiedliwości po imieniu, czytelnik mógł to zrobić sam, gdyż prawda przemawiała siłą samej prawdy. Po wydaniu *Na tropach Smętka* władze III Rzeszy chciały odpowiedzieć swoją książką o mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku, ale okazało się, że prawda broni się sama, że jest czymś więcej niż równoprawne, rywalizujące „narracje”. Ziółkowska-Boehm przypomina przede wszystkim, że prawda ma znaczenie.

Marek Misiak

Aleksandra ZIÓLKOWSKA-BOEHM, *Melchior Wańkowicz – przypomniany*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2024.

Myślmy samodzielnie



„Nie wdawaj się w dyskusję z głupotą, bo sprowdzi cię do swojego poziomu i pokona doświadczeniem” – to mogłoby być motto najnowszej książki Tomasza Witkowskiego, zwłaszcza pierwszej jej części, w której autor obnaża mechanizmy współczesnych dyskusji publicznych, w których mądrość czy też mądrzy ludzie są bez szans.

To kolejna publikacja znanego ze sceptycyzmu psychologa, która jest w istocie krytyką współczesności. Składa się z esejów w większości publikowanych już w periodykach, na potrzeby książki jednak poszerzonych i uaktualnionych. Choć

bowiem autor pisze to, co sam myśli, opiera swoje rozważania na najnowszych doniesieniach naukowych. Liczą się fakty, a nie poglądy, podkreśla, w postmodernistycznym zwrocie (w jego radykalnej wersji) upatrując rozmaitych zagrożeń społecznych.

„Dawniej szkoła była miejscem zdobywania wiedzy o otaczającej nas rzeczywistości – pisze. – Nic z tych rzeczy! (...) szkoła jest miejscem, w którym przez lata trenujemy umiejętność formułowania własnych poglądów i żądania tolerancji dla nich. Są oni [uczniowie] przekonani, że obiektywna rzeczywistość i twierdzenia o niej to złudzenia pozytywistów. To, co naprawdę się liczy to poglądy, zatem wszelka próba podważenia tychże to zamach na ich prawa i wolność. Walka o prawo do własnego poglądu jest rzeczą świętą, bez względu na to, co ów pogląd głosi. Że śnieg jest czarny? A któż może wykazać, że jest inaczej? A nawet, jeśli spróbuje, to jakie ma prawo pozbawiać cię Twoich przekonań? Albo, co gorsza, nazwać je złudzeniami?”

Witkowski stara się dociekać istoty rzeczy. Bez względu na to, czy krytykuje coaching i psychoterapię, roztrząsa temat samobójstwa czy przestępstwa przed marmieniem o świecie bez pracy, zawsze posiłkuje się bogatą argumentacją, szeregiem przykładów i naświetla zjawisko – zdawałoby się – ze wszystkich stron. Wiele jest tu myśli „oprzytomniających”, zdarzają się też chyba zbyt daleko idące. Do pierwszych zaliczyć można te o normalności.

Często mówi się o zachowaniach normalnych lub odbiegających od normy. De facto jednak opisywane są wtedy zachowania przeciętne, bo pojęcia te zostały stworzone z wykorzystaniem średniej arytmetycznej, rozkładu normalnego i odchyień standardowych. To, co normalne, jest po prostu najczęstsze w danej kulturze. Zatem „wszelkie rady formułowane z wykorzystaniem odniesienia do norm społeczno-kulturowych nie mają nic wspólnego z nauką. Odnoszą się zawsze do tych wartości, które ceni większość” – przypomina autor.

„Każdy człowiek jest inny” – to z kolei, i o dziwo, zdanie, którego wyjątkowo nie lubi. Propagujących je nazywa „fałszywymi humanistami” i dowodzi, że więcej nas łączy niż dzieli. W przeciwnym razie nie byłoby systemów: edukacji, lecznictwa, technik prowadzenia negocjacji, motywowania pracowników czy rehabilitacji. Nie byłoby też masowo produkowanych ubrań w kilku rozmiarach, niewielkiej w sumie liczby podejść terapeutycznych ani praw człowieka. Autor jakby nie zauważał, że fraza „każdy człowiek jest inny” ma wiele poziomów znaczeniowych i wcale nie musi się za nią kryć negacja systemowych rozwiązań.

Tomasz Witkowski nie jest jednak od pouczania, jest od twórczej krytyki dającej do myślenia. Pouczających, zwłaszcza tych, którzy „radzą, jak żyć”, krytykuje szczególnie w tytułowym eseju. Mówcy motywacyjni, książki samopomocowe, różnorodne praktyki psychoterapeutyczne, które „uczą”, jak się rozwijać, jak się spełniać w życiu rodzinnym, jak zachować zdrowie psychiczne i poprawić kondycję, nie mają nic wspólnego z nauką, mimo że opierają się na danych naukowych, twierdzi psycholog.

Książka jest świetnie, dynamicznie napisana. Miejskami kontrowersyjna, w całości prowokacyjna. Z poczuciem humoru, o czym świadczy też dobór ilustracji.

Anna Jawor

Tomasz WITKOWSKI, *Przepędźcie guru, którzy radzą, jak żyć i inne eseje*, Wyd. Bez Maski, Wrocław 2024.

Imperium i naśladowcy



Ledwie 160-stronicowa historia cesarstwa rzymskiego jakże kontrastuje z wielotomowymi dziełami Edwarda Gibbona czy Maxa Cary'ego i Howarda Hayes'a Scullarda. Autor zamieścił w niej treści nie tylko związane strictly z cesarstwem, lecz chronologicznie przedstawił podboje okresu republiki skutkujące rozległością terytorialną (5 milionów km²) nadchodzącego imperium. Cesarstwo w II w.n.e. zamieszkiwało ok. 60 milionów ludzi i spora część materiału książki poświęcona została życiu codziennemu, obyczajowości. Kelly przedstawia sposoby prezentowania

się władzy cesarskiej, żądania niektórych władców, by zrównać ich z bogami i płynące stąd uzasadnienie kultu, ale i tych, którzy sprawując urząd, starali się zachowywać jak zwyczajni ludzie. W książce znajdziemy rozdział o życiu i umieraniu w cesarskim Rzymie, a także rozdziały dotyczące chrześcijan i współczesnej recepcji cesarstwa.

Sukces elit lokalnych władających w prowincjach, które przecież były ostoją cesarstwa, wynikał z umiejętności przetrwania początkowej traumy podboju i porzucenia myśli o jakichkolwiek próbach oporu. Korzyści pozostawiania w dobrych relacjach z rządzącą centralą były oczywiste. Tej ostatniej zależało właśnie na wzmocnieniu i podporządkowaniu miejscowych oligarchicznych klik, by móc w ten sposób kontrolować lokalne społeczności.

Kelly proponuje ciekawe tezy dotyczące chrześcijaństwa. Jedną z nich obnaża nieumiejętność postępowania z chrześcijanami przed sądem. Przesłuchiwanie podczas procesu chrześcijanie na pytanie, co mają w torbie, odpowiadali, że pisma dotyczące Jezusa lub ich własnych wspólnot. Sędziowie nie zadawali sobie trudu, by wprowadzać ten wątek do sprawy. Wydawanie wciąż większej liczby chrześcijan na śmierć, którą ci mimo lęku często przyjmowali ochoczo, powodowało coraz większy szok mentalny pogańskiej ludności nierozumiejącej takiego absurdu. Budziło to w nich także wciąż wzrastające zaciekawienie. „Gdyby rzymskie władze w pierwszych dwóch stuleciach naszej ery naprawdę zainteresowane były stłumieniem chrześcijaństwa, dużo bardziej efektywną strategią byłoby ignorowanie poszczególnych chrześcijan, a w to miejsce przejęcie i spalenie ich ksiąg”.

Chaos w panteonie bóstw rzymskich i prowincjonalnych był coraz bardziej uciążliwy administracyjnie. Jest to też jedna z dostrzeganych przez autora przyczyn, dla których cesarz Konstantyn wybrał najbardziej atrakcyjne rozwiązanie gwarantujące silną i sprawdzalną bazę wierzeń. Należało jeszcze określić i uporządkować liczbę pism, zdefiniować chrześcijańskiego boga, zmierzyć się z tematem boskości Chrystusa, a temu wszystkiemu miała posłużyć ekumeniczna konferencja biskupów zwołana w Nicei (dzisiejsza północno-zachodnia Turcja) w 325 roku. Naciski Konstantyna przyniosły owoc w postaci spisania po raz pierwszy tzw. nicejskiego wyznania wiary: „Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego”... Pozostaje ono do dziś podstawową formułą wyrażenia wiary przez współczesnych chrześcijan głównych wyznań.

Cesarstwo miało swych naśladowców. Niewielu zwiedzających współczesny Rzym zdaje sobie sprawę z tego, że to Benito Mussolini, wyburzając ponad tysiąc obskurnych budowli (średniowiecznych domów, barokowych kościołów!), przyczynił się do wyeksponowania starożytnych zabytków. Od 1932 roku Aleja Cesarstwa – Via dell'Impero – biegnie w linii prostej od Pałacu Weneckiego przez dawne średniowieczne miasto do Koloseum. W maju 1938 roku Rzym odwiedził Adolf Hitler. Był pod ogromnym wrażeniem. Odwiedziny wzmogły jego determinację, by przebudować Berlin. W tym celu i aby prześcignąć Mussoliniego, zlecił zaprojektowanie nowego Berlina Albertowi Speerowi. Nowa Germania (Berlin) niczym Cesarstwo Rzymskie miała olśnić i przytłoczyć swym blaskiem pozostałe światy.

Bogdan Bernat

Christopher KELLY, **Cesarstwo Rzymskie**, tłum. Andrzej Kompa, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024.

Beckett na scenie



Książka Gontarskiego, jednego z najważniejszych i żyjących znawców twórczości Samuela Becketta, ma klarowny podział na dwa rozdziały: pierwszy dotyczy omówienia najważniejszych dzieł, np. *Czekając na Godota* czy *Eleutherii*, zaś drugi zawiera w sobie pozostałą twórczość dramatyczną, która nie zyskała takiego rozgłosu ani w postaci dzieła pisanego, ani jego realizacji scenicznej. Rozdziały owe poprzedza wcale ciekawe i przydatne kalendarium najważniejszych faktów z biografii Becketta, m.in. o porzuceniu

pracy w Trinity College i wyjeździe do Francji, gdzie spędził pół wieku, o znajomości z Jamesem Joyce'em, który wywarł istotny wpływ na jego pisarstwo. Beckett tak ukochał nową ojczyznę, że na wieść o wybuchu drugiej wojny światowej wrócił do Paryża i walczył w francuskim ruchu oporu. Gontarski wspomina także o sobie, że był dla Becketta spiritus movens do napisania jednego z drobniejszych dramatów *Impromptu „Ohio”*.

Beckett, rocznik 1906, zapewne najbardziej znany światu z dramatu o Godocie, pierwsze jego wystawienie na deskach teatru „zaliczył” w roku 1953 w Paryżu i sztuka ta spotkała się z bardzo mieszanymi opiniami. Zarzucano mu, że treść jest nudna, niezrozumiała i irytująca, co w zasadzie nie powinno dziwić, bo o ile widz tradycyjnie oczekuje, że na scenie coś będzie się działo, w jakiegokolwiek formie, to *Czekając na Godota* może być właśnie antytezą owego „dziania się”. Vivian Merciert, krytyk francuski, dosadnie skomentował w swej recenzji, że „nic się nie wydarza po dwakroć”. Kolejna próba teatralnej realizacji podjęta w 1956 w Miami Beach na Florydzie, a reklamowana jako tragicomedia, okazała się kompletną kląpą, gdyż spragnieni latwej i przyjemnej rozrywki letnicy oczekiwali zdecydowanie innego repertuaru. Stanley Gontarski ironizuje, że chyba najlepszymi odbiorcami tego dramatu byli w 1957 pensjonariusze słynnego więzienia o zaostrowym rygorze w San Quentin (może stąd czerpał inspirację do koncertów Johnny Cash?), którym zaprezentowało inscenizację San Francisco Actor's Workshop. Osadzonym, podobnie jak dwójce głównych bohaterów, nieobce było oczekiwanie na jakąkolwiek zmianę własnego położenia. Swoją drogą coś jest na rzeczy z tymi więźniami. W 1985 roku szwedzki reżyser Jan Jönson zamierzał wystawić ową sztukę, z piątką osadzonych, na scenie Teatru Miejskiego w Göteborgu, jednakże tuż przed premierą czterech z pięciu „aktorów” uciekło przez okno w garderobie.

Oczywiście liczba czytelników Irlandczyka bez wątpienia zwiększyła się po przyznaniu mu Nagrody Nobla w 1969 (ujawnione w ostatnich latach dokumenty dowodzą, że w owym roku w ścisłej czwórce pretendentów był również Witold Gombrowicz), której nie odebrał osobiście, wysyłając po nią swego wydawcę Jérôme'a Lindona, zaś sam wyjechał do Tunezji, gdzie poświęcił fotoreporterom jedynie pięć minut w hallu hotelu. W ostatnim zdaniu wstępu Gontarski pisze, że „po śmierci uznano go za najbardziej innowacyjnego i wpływowego dramaturga stulecia”. Przyznać trzeba, że chwalebna to, a jednak i smutna konstatacja. Ostatnie dwie dekady życia Becketta to rozwój jego zainteresowań na polu reżyserii teatralnej. O ile na początku korzystał z zaproszeń bycia doradcą w inscenizacji własnych sztuk, o tyle później sam reżyserował, tworząc właściwie własny rodzaj teatru. Odnalazł również przyjemność w pisaniu radiowych scenariuszy i w samym radiu jako medium.

Nie ukrywam, że twórczość Becketta znana mi była dotąd (nie jestem zapewne osamotniony) jedynie z *Czekając na Godota*, ale książka Gontarskiego bez wątpienia stała się impulsem chociażby do odświeżenia, o ile nie poszerzenia wiedzy o spuściznie irlandzkiego noblisty o kolejne jego dramaturgiczne pozycje. *Beckett. Przewodnik* ze swą monograficzną formułą może być idealnym résumé dla znawców tematu i dla czytelników, którzy dopiero rozpoczynają przygodę z irlandzkim pisarzem, w czym bez wątpienia pomoże mnogość opisanych przez Gontarskiego dzieł.

Jacek Hnidiuk

Stanley E. GONTARSKI, **Beckett. Przewodnik**, tłum. Piotr Szymor, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024.

Eksponat jako delikt



Restytucje dzieł sztuki i pamiątek dziedzictwa kultury rozmaitych narodów budzą spore emocje i duże zainteresowanie. W Polsce jest to temat bardzo gorący, gdy brać pod uwagę to, że wielka liczba dzieł zrabowanych w czasie okupacji i drugiej wojny światowej wciąż do nas nie powróciła. Ponieważ restytucja dzieł sztuki kojarzy się w oczywisty sposób z historią sztuki i kultury, to bardzo często naszej uwadze umyka fakt, że mamy do czynienia z zagadnieniem prawnym.

Dlatego też z uznaniem należy odnotować ukazanie się wartościowej i interesującej pozycji autorstwa Agnieszki Platy *Spór o zbiory Muzeum Brytyjskiego*. Mamy bowiem do czynienia z książką, której autorka łączy wysokie kompetencje z zakresu prawoznawstwa z wiedzą na temat historii oraz sztuki. Prezentuje także biegłość w zakresie regulacji prawnych (nie tylko brytyjskich) oraz organizacyjnych muzeów. Wreszcie, co jest naprawdę bardzo ważnym atutem omawianej książki, tekst ukazuje wielką erudycję autorki nie tylko w zakresie prawa czy też muzealnictwa, ale także historii kultury czy sztuki. Bez takiego zaplecza książka byłaby trudna do czytania i w gruncie rzeczy banalna.

Problem z potencjalną restytucją eksponatów zgromadzonych w British Museum wynika przede wszystkim z istniejącego prawa, które nie pozwala na pozbawianie się przez tę instytucję swoich zbiorów, ale nawet biorąc pod uwagę, że prawo stanowione można zmieniać, czyniąc zwrot poszczególnych dzieł do krajów powstania możliwym, pada pytanie o uzasadnienie takiej decyzji i o to, czy jest ono wystarczające.

To bardzo skomplikowany problem, autorka zauważa bowiem, że dobro kulturalne to nie tylko artefakt i jego materialna wartość, ale także niemożliwa do określenia wartość niematerialna. Skutkiem tego niemożliwe jest jednoznaczne i powszechnie obowiązujące wyznaczenie zasad własności i wartości tychże dzieł. Przykładem mogą być znajdujące się w Londynie dzieła o charakterze religijnym.

Autorka podaje w swojej książce rozległy katalog argumentów za i przeciw restytucji dzieł. Systematycznie je wymieniając i poddając krytyce, wykazuje jak skomplikowana jest to problematyka. Oczywiście nie ma tutaj miejsca na powtórzenie całości jej wywodu warto jednak wskazać na dwa bardzo istotne problemy.

Pierwszym jest fakt, że w dużej części eksponaty przywiezione do Londynu zostały zdobyte lub nabyte dawno temu i w momencie ich przejmowania muzeum działało zgodnie z ówczesnym prawem, a także nie naruszało obowiązujących w tym czasie norm. Argumentem przeciwnym jest fakt, że mamy do czynienia z dziedzictwem kolonialnym, że Imperium Brytyjskie i jego przedstawiciele działali z pozycji siły, w najmniejszym stopniu nie licząc się z opinią narodów, których te dzieła były dziedzictwem.

Drugim zagadnieniem jest kwestia przynależności kulturowej zgromadzonych w Muzeum Brytyjskim dzieł. Przechowywanie ich poza krajem powstania jest naruszeniem swoiście rozumianej własności. Z drugiej strony podnoszony jest argument, że dzieła kultury nie przynależą do poszczególnych ludzi i ludów, ale do całej ludzkości i że przechowywanie w wyspecjalizowanej instytucji zapewnia nie tylko możliwość prezentowania ich większej liczbie ludzi, ale także należyte ich konserwowanie i badanie. Decyzja o tym, który z tych argumentów jest słuszny, jest trudna do oceny i z całą pewnością subiektywna.

Agnieszka Plata nie udziela nam jednoznacznej odpowiedzi, ale daje czytelnikom do ręki doskonały materiał pozwalający na wypracowanie własnego stanowiska. A fakt, że jej rozważania są oparte na konkretnym przykładzie, czyni je paradoksalnie o wiele bardziej uniwersalnymi, niż gdyby były one czysto teoretyczne.

Juliusz Gałkowski

Agnieszka PLATA, *Spór o zbiory Muzeum Brytyjskiego jako trudny przypadek w prawie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Narodowy Instytut Dziedzictwa, Gdańsk-Warszawa 2024.

Książki nadesłane

Barbara FRYZEL, Aleksander MARCINKOWSKI, *Południe zarządzania. Odzworowania świata organizacji i biznesu w malarstwie i fotografii*, Wyd. UJ, Kraków 2024.

Literacka ziemia wieluńska, wybór, wstęp i oprac. Jarosław PETROWICZ, Wieluńskie Towarzystwo Naukowe, Wieluń 2023, seria: „Biblioteka Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego”.

Emma SMITH, *Przeñośna magia. Historia książek i ich czytelników*, Wyd. UJ, Kraków 2024.

Rafał KUCZYŃSKI, *Obrazy nieskończoności. Perspektywa Erwina Panofskiego i Pawła Florenskiego*, Fundacja Augusta hrabiego Cieszkowskiego, Warszawa 2023.

Bogusław DOPART, *Poemat romantyczny, epepeja, summa poetica. O „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza*, Wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 2023.

Anna CHORĄŻEWSKA, Adam PROŃ, *Intellectual Property Rights and Scientific Authorship: Legal and Ethical Considerations. Case Study in Hard Sciences and Natural Sciences*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Ks. Antoni BARTOSZEK, *Apostolstwo Chorych. 100-letnie doświadczenie duchowe – podstawy teologiczne – perspektywy pastoralne*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Gustaw MORCINEK, *O tym, jak górnik Maślak kramarzył ze Skarbnikiem. O Skarbniku, duchu kopalni*, zaadaptowali i opracowali Jolanta Tambor i Tomasz Gęsina, Wyd. UŚ, Katowice 2024, seria: Czytaj po polsku. Poziom podstawowy A1 – A2. Polska regionalna.

Zygmunt JASIŃSKI, *Raz na wodzie, raz pod wodą. Wspomnienia 1930-1961*, wstęp, przypisy i oprac. Merytoryczne Mariusz Borowiak, wpraw. i przypisy Piotr Semków, IPN KŚZPNP, Warszawa 2024.

Gall ANONIM, *Kronika i czyny książąt i władców polskich*, oprac. i tłum. Tadeusz Grudziński, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024, seria: Homines et Historia.

Wspomnienia z lat burzy i przełomu (1980-1990), red. Wojciech POLAK, Michał DAMAZYN, Sylwia GALIJ-SKARBIŃSKA, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023.

Nathan VARDI, *Dla krwi i pieniędzy. Miliarderzy, biotechnologia i poszukiwania leku, który przyniesie fortunę*, tłum. Andrzej Goździkowski, Przeźwity, Warszawa 2023.

Lubomír HAMPL, *Świat awifauny VI w polskich i czeskich przekładach Pisma Świętego. Wróbel*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Aleksander KOPKA, *Inne życia. Polityka i etyka żaloby w pismach Jacques'a Derridy*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Jan KOPCEWICZ, Andrzej SADURSKI, Andrzej STROBEL, *Ziemia. Planeta życia*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024.

Waldemar RAPIOR, *Moralność milcząca. Odsłanianie interakcyjnych mechanizmów moralności poprzez post-teatr*, TaiWPN Uniwersytas, Kraków 2024.

Agnieszka PIEŁA, *Literatura źródłem związków frazeologicznych. Słownik*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Anna MATYSEK, *Model systemu zarządzania indywidualną wiedzą naukową w humanistyce*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Grzegorz GLUPCZYK, *Profilaktyka zachowań ryzykownych młodzieży w środowiskach defaworyzowanych społecznie*, Wyd. UŚ, Katowice 2024, seria: Praca społeczna.

Dorota KORWIN-PIOTROWSKA, *Gołąb zdębiał. Książka do śmiechu i wspominania*, Wyd. UJ, Kraków 2024.

Dominika BYCZKOWSKA-OWCZAREK, *Batutą i skalpelem. Ciało w zawodach wysokospecjalistycznych*, Wyd. UŁ, Łódź 2024.

Romantyzm w dyskursach pedagogiki kultury, praca zbiorowa, Difin, Warszawa 2024.

Jerzy BESALA, *Tam kiedyś była Rzeczpospolita. Ziemie litewskie*, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2023.

Krzysztof POMIAN, *Muzeum. Historia Świata, t. 3: Na podbój świata 1850–2020*, Wyd. słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2024.

Pogoń za uciekającym czasem

Pierwszym życzeniem Fausta było to, aby znowu mógł stać się młody. W historii, nie tylko zresztą literatury, znajdziemy sporo przykładów ludzi, którzy podejmowali różne próby, mając nadzieję, że uda się im cofnąć czas. Jedni chcieli się zahibernować, inni pili tajemnicze mikstury. Niestety, jak dotąd, żadne z tych starań nie przyniosło pożądaných efektów. Czas płynie nieubłagalnie. Można jednak spróbować nie poddać się jego dyktatowi. Chociażby pielęgnując i rozwijając swoje pasje, by nie wygasły wraz z wiekiem. Nie bez kozery mówi się przecież o ludziach metrykalnie dojrzałych, ale pełnych energii i zaangażowania, że choć są starzy ciałem, to nadal młodzi duchem. Młodość to wszak nie tylko gładka twarz pozbawiona zmarszczek, ale także otwartość na otaczający nas świat. O tym, jak wiele może być jej definicji, przekonać się można w trakcie lektury magazynu Polskiej Akademii Nauk „Academia” (nr 2/2024).

Ruszając tropem różnych określeń młodości, zaczniemy od ciała. Od niego bowiem uciec się nie da. Ta złożona i skomplikowana maszyna ma, na nasze nieszczęście, ograniczoną zdolność do regeneracji. Jakby tego było mało, owa zdolność maleje wraz z upływem lat. Nadziei na zmianę takiego stanu rzeczy upatrywać można w badaniach dotyczących nowych technologii. Już dziś, dzięki rozwojowi kosmetologii i medycyny estetycznej, udaje się przecież dłużej zachować młody wygląd skóry. W przyszłości poprawić się może także funkcjonowanie całego organizmu ludzkiego. Tu w sukurs przyjdą z pewnością biomateriały. Obecnie za ich pomocą tworzy się implanty, na przykład kości. Coraz precyzyjniejsze kształty zaczną z pewnością powstawać dzięki możliwościom, jakie oferuje technologia biodruku 3D. Wydaje się więc, że mamy powody do optymizmu. Tym bardziej, że coraz więcej wiemy na temat działania podstawowej jednostki strukturalnej naszego ciała, czyli komórki. Dzięki analizie bioinformatycznej, która ułatwia zrozumienie aktywności genów na poziomie pojedynczej komórki, naukowcy odkryli, że istnieją subtelne różnice w funkcjonowaniu komórek „w różnych stanach zdrowia i choroby”. Co to oznacza w praktyce? Otóż ta nowoczesna metoda realnie przybliżyła nas do dalszego rozwoju spersonalizowanej medycyny. Takiej, w której stawia się precyzyjne diagnozy i dopasowuje rodzaj terapii do potrzeb konkretnego pacjenta.

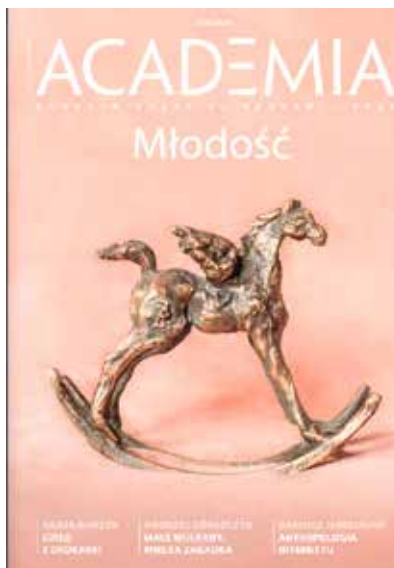
Ale może dość już o ciele. Zobaczmy teraz, co kryje się w świecie młodych ludzi. Z pewnością odnajdziemy w nim energię i zapał do działania. Ale nie tylko. Nie można bowiem zapomnieć, że dorastanie jest trudnym etapem w życiu czło-

wieka. Nastolatek dojrzewając fizjologicznie, uczy się innego spojrzenia na siebie i rzeczywistość. Jednocześnie zaczyna mierzyć się z różnymi dylematami codzienności. Przejście z etapu adolescencji do dorosłości wymaga więc zaangażowania całego otoczenia. Młody człowiek pozostawiony sam sobie nie potrafi przecież stawić czoła trudnościom i kryzysom egzystencjalnym. Dlatego tak ważne jest wypracowanie odpowiedniego modelu wsparcia. Rzecz w tym, by zamiast udzielać instrukcji, jak się należy zachować, dawać wskazówki, w jaki sposób unikać zagrożeń. Młodym ludziom trzeba także pozwolić na

kreatywność na różnych płaszczyznach. Dać im szansę, by budowali swój świat z elementów, które tylko dla nich są zrozumiałe. Oni doskonale się czują, kiedy na przykład tworzą własny slang językowy. To pozwala im na swobodę budowania komunikacyjnej wspólnoty. Młodzi, jeśli tylko da im się przestrzeń do działania, potrafią wiele zrobić na rzecz swoich lokalnych społeczności. To m.in. dzięki ich zaangażowaniu w 2023 roku Lublin, jako pierwsze miasto w Polsce, uzyskał tytuł Europejskiej Stolicy Młodzieży. Warto wykorzystywać ich zapał i jeszcze bardziej aktywizować jako młodych obywateli. Ci bowiem często bywają wyobcowani z systemu politycznego. Rzadziej głosują w wyborach, przez co są niedostatecznie reprezentowani w głównym nurcie polityki. A przecież czynny udział w działaniach obywatelskich przynosi niewątpliwie

korzyści. Podnosi pewność siebie, socjalizuje i otwiera oczy na społeczny wymiar rzeczywistości.

Otworzyć oczy zresztą powinien każdy z nas. Chociażby po to, by dostrzec to, co najmniejsze. W niewielkich przejawach różnorodności kryje się bowiem wiele zagadek. Spójrzmy choćby na odkryty w ostatnich latach nowy rodzaj wulkanów podwodnych, które z uwagi na swój niezbyt okazały rozmiar, do tej pory nie były widoczne. Petit-spot mają zazwyczaj wysokość kilkudziesięciu metrów i powstają wzdłuż szczelin u podstawy płyt tektonicznych. Ale życie toczy się nie tylko w wielkich wodach. Także w zwykłej kałuży, gdzie zamieszkują niektóre z małych płazów. Narażone na niebezpieczeństwo ataku ze strony drapieżników, nie mogą spać spokojnie, bo może się okazać, że ich dom wyschnie, zanim kijanka zdoła się przeobrazić. Czemu jednak ludzi miałby przejmować ich los? Otóż badania wskazują, że płazy są najbardziej zagrożoną wyginieciem grupą lądowych kręgowców na Ziemi. Dlatego jak najszybciej należy zrobić wszystko, by pomóc im przetrwać. One też zasługują na to, by przeżyć swoją młodość.



FORUM AKADEMICKIE

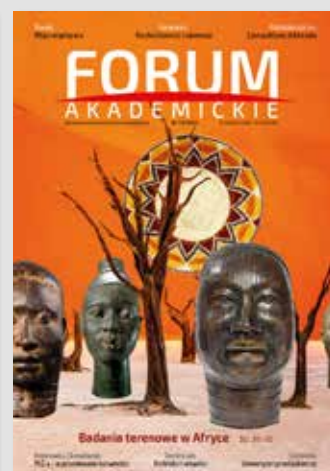
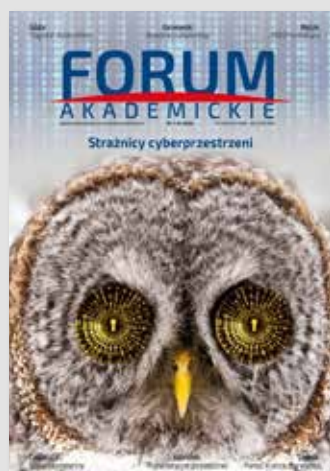
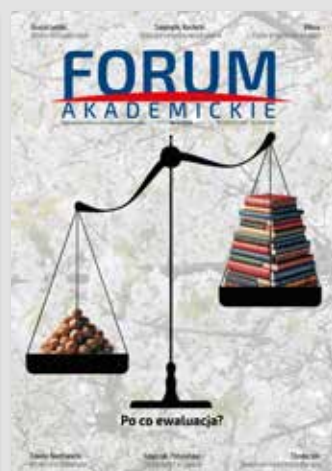
„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach

systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objawiamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2025

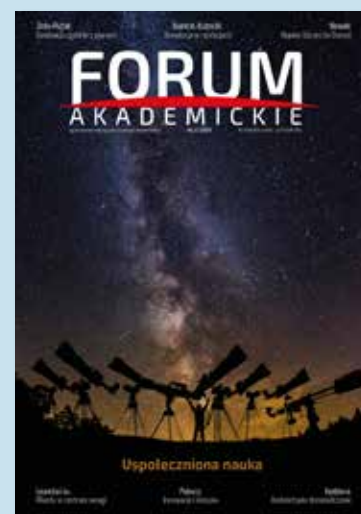
Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2025 roku.

Roczna prenumerata wydania drukowanego (12 numerów w 11 zeszytach, w tym zeszyt łączony 7-8) kosztuje **250 zł**; prenumerata numerów 1-6 kosztuje **132 zł**, a 7-12: **118 zł**.

Cena jednego egzemplarza wynosi **22 zł**. Cena zeszytu łączonego (nr 7-8) wynosi **30 zł**.

Prenumerata wydania elektronicznego w roku 2025 (12 numerów w 11 zeszytach) kosztuje **165 zł**.

Redakcja





Zdj. UG i Ewa Kosta (Fokarium na Helu)
Więcej o UG w numerze

